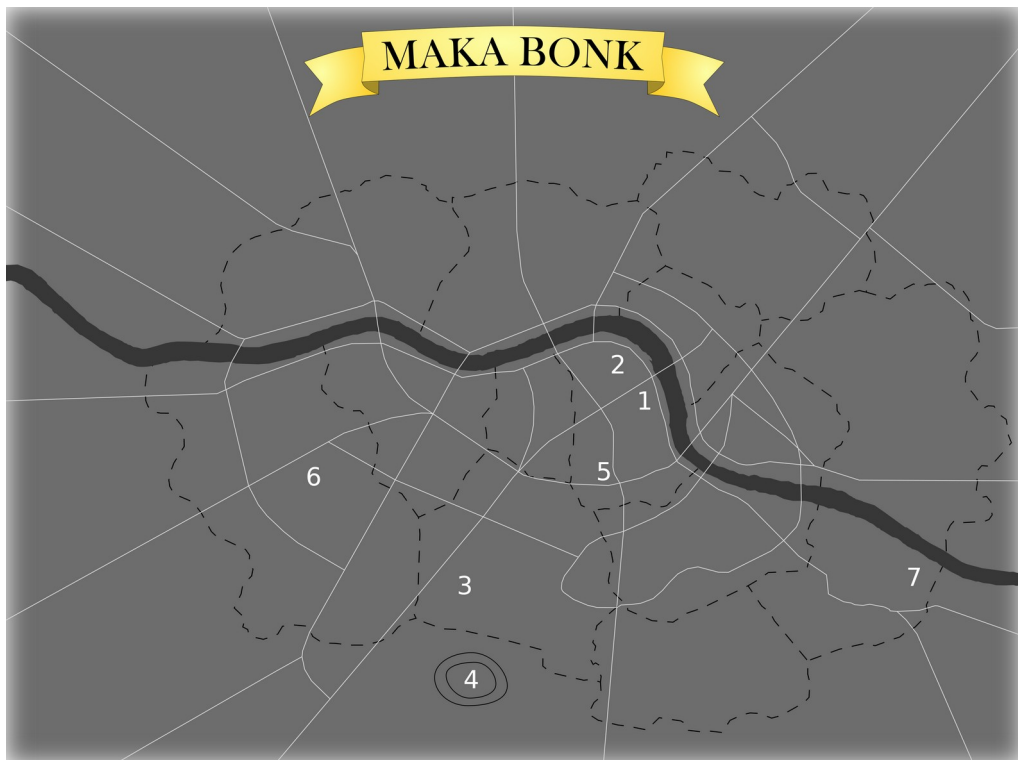


A. J. Gnoun

Kłątwa Aghroru



MAKA BONK



- 1 – Zamek Królewski
- 2 – Park Królewski
- 3 – Inn Valida
- 4 – Przybliżona lokalizacja Studni Aghroru
- 5 – Komenda policji Maka Bonk
- 6 – Dom Denila
- 7 – Opuszczony magazyn

Spis Treści

| | |
|--------------------|-----|
| Rozdział I..... | 4 |
| Rozdział II..... | 9 |
| Rozdział III..... | 16 |
| Rozdział IV..... | 21 |
| Rozdział V..... | 29 |
| Rozdział VI..... | 34 |
| Rozdział VII..... | 46 |
| Rozdział VIII..... | 58 |
| Rozdział IX..... | 71 |
| Rozdział X..... | 82 |
| Rozdział XI..... | 95 |
| Rozdział XII..... | 104 |
| Rozdział XIII..... | 116 |
| Epilog..... | 127 |

I

W oddali rozlegały się trzaski.

Z czasem stały się one bliższe i bliższe. Wreszcie szum był na tyle głośny, że Brond uświadomił sobie, że jest przytomny. Dziwne uczucie, którego doświadczył chwilę po tym, gdy człowiek naprzeciwko niego rozmazał się w tafli stawu, ustąpiło, i mężczyzna poczuł, że powraca mu uczucie we wszystkich częściach ciała.

Otworzył oczy. Wypłynął na powierzchnię stawu, głośno wciągając powietrze. Żył. W tej samej chwili zobaczył, że ze stawu wychodzi druga postać, pospiesznie kierując się w stronę wyjścia.

Brond nie mógł dać mu uciec.

Sięgnął jego nogi, lecz było już za późno. Nasir, choć tak samo jak Brond nie był jeszcze całkowicie przytomny, zdołał się już wydostać ze stawu i pospieszył ku wyjściu. Brond wsparł się rękoma, choć z początku wydawało mu się to niezwykle trudne, i wydostał się ze stawu. Wraz z wysiłkiem poczuł, jak wracają mu siły.

Staw wyglądał inaczej. Był jakby mniejszy, a płyn, który się do niego wylewał, musiał w jakiś sposób zniknąć. Jednak Brond nie miał czasu na przemyślenia.

Szybkim biegiem podążył za al-Chemią. Co ciekawe, tajemniczy mężczyzna nie próbował nawet utrudnić mu biegu, mijając wszystko, co znajdowało się w głównym pomieszczeniu groty. Przebiegając obok przewróconego, pustego kotła, nie sięgnął nawet po żadne z mikstur znajdujących się wciąż na drewnianych półkach przyczepionych do skał. Po prostu pobiegł do wyjścia. Wraz z donośnymi hukami i trzaskami Brond uświadomił sobie jednak, dlaczego tak się spieszył.

Grota się zapadała.

Nie przerywając biegu, minął osuwające się skały. Mniejsze okruszki z sufitu niekiedy uderzały go w głowę i w plecy. Jednym silniejszym dostał w ramię; nie spowolniło go to jednak. Za sobą słyszał coraz silniejsze bulgotanie stawu, co oznaczało, że dalsze pomieszczenie musiało zawałać się z jeszcze większą prędkością. Gdyby go nie opuścił, zapewne już by nie żył.

W wyjściu okazało się, że nie tylko z groty osuwają się skały, lecz również z góry nad nią. Nasir biegł już zaledwie kilka kroków od niego, rzucając mu na chwilę spojrzenie i natychmiast odwracając głowę, zmęczony ruszając do dalszej ucieczki. Oddalając się od ostatnich spadających skał, detektyw ledwie uniknął jednej z nich, która niemal wpadła mu na lewą nogę. Unikając jej, nie zauważył drugiej, większej, która wpadła mu prosto na prawą łydkę i wywróciła z równowagi.

Brond zdołał przebyć jeszcze kilka kroków, jednak z nogi pulsował ból. Upadł z jękiem na ziemię. Znajdujący się kilka kroków od niego Nasir al-Chemia obrócił się i zatrzymał. Spojrzenie kierował jednak nie na detektywa, lecz na coś za nim.

– Dokonało się – wydyszał, podnosząc głos. – Nie ma już powrotu. Zmusiłeś mnie do tego. Teraz obaj jesteście przekłęci, przekłęci na zawsze!

Jego głos niemal się załamywał. Brond nie zrozumiał. Zanim powstał, ścigany zaczął już biec. Detektyw chciał go gonić, jednak jego bieg przypominał bardziej kuśtykanie. Po chwili uświadomił sobie, że w takim stanie nie da rady dogonić zbiega. W bezpiecznej odległości od groty przystanął, pozwalając, by ścigany przez niego człowiek utonął między zaroślami. Nasir nie odwrócił się już ani nic nie powiedział, po prostu zniknął. Brond wierzył, że go schwytają, jednak szanse były nikłe – z tego, co wiedział, tylko kaczka mogła go rozpoznać.

Usiadłszy na trawie, by dać odpocząć nodze, dopiero teraz uświadomił sobie, że jest znacznie jaśniej, niż gdy gonił al-Chemię w stronę groty. Spojrzał w górę. Słońce górowało na błękitnym niebie, a towarzyszyła mu grupka niewielkich chmur. Musiał przebywać w grocie przez co najmniej kilka godzin. Wydawało się to dziwne, biorąc pod uwagę, że obudził się zanurzony pod taflą stawu. Przecież musiał jakoś oddychać przez cały ten czas.

Ból nie dał mu o sobie zapomnieć. Poza rażąco dużą raną na łydce czuł również ból po niedawnym skaleczeniu w rękę, pobudzony przez wodę. Siedział, powoli wysychając na słońcu. W międzyczasie trzęsienie ziemi skończyło się. Brond zastanawiał się, czy sprawdzić, co zostało z groty, odrzucił jednak tę myśl. Trzęsienie mogło się jeszcze powtórzyć i wolał nie ryzykować, zwłaszcza, że był już wyjątkowo ranny. Z groty zapewne nie było czego wynosić – sufit, jeśli się nie zawalił, osunął się

na tyle mocno, że z naczyń rozmieszczonych na półkach i innych przedmiotów najpewniej nic nie zostało. Nie mogła się zachować żadna lecznicza substancja. Postanowił więc wykonać opatrunek z liści.

Znalezienie odpowiednich liści, by wykonać opatrunek, nie było trudne, i wkrótce detektyw był gotów wracać. Ruszył tą samą ścieżką. Musiał koniecznie powiadomić króla Rab-Dawiego, że w okolicy grasuje jeszcze jeden przestępca, chyba że zrobiła to już Kaczka. Nawet jeśli król wiedział o drugim zbiegu, nie mógł rozmieścić straży po całym lesie, gdyż był on po prostu za duży i gęsty. A już na pewno nie mogli zostać w lesie przez noc.

Przypomniawszy sobie o czasie, jaki upłynął, ponownie pogрузzył się w myślach. Usiłował sobie przypomnieć, co dokładnie się wydarzyło, kiedy wbiegł za Nasirem al-Chemią do groty, jednak ostatnie z wydarzeń wczorajszej nocy wydawały się niewyraźne. Jedyne, co zachowało mu się w głowie, był skok do stawu w celu złapania zbiegłego kapturnika. Pamiętał, że do niego wskakiwał, ponieważ to właśnie w nim się obudził. Tylko co stało się w stawie, że zapadł w nim w sen? Był pewien, że przez moment trzymał wtedy Nasira, ale później chyba przestał. Dlaczego?

Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie, popatrzył na ścieżkę i zauważył, że zaczyna znikać nieco wcześniej, niż ostatnio. Cała ścieżka w ogóle wydawała się mniej wyraźna niż poprzednim razem. Uderzyła go myśl, że mogła minąć więcej niż jedna noc, uznał ją jednak za bezpodstawną. Jedyne magiczne moc stawu, o ile istniała, mogłaby spowodować, że zasnął na tak długo. Czy tego chciał, czy nie, istnienie mocy było w tej chwili jedyną nasuwającą się przyczyną takiego obrotu wydarzeń.

O bólu w łydce przypominały mu już tylko chaszcze, które ocierały się o jego nogi, ustępując drogi. Ścieżka się już skończyła, ale detektyw nieprzerwanie szedł w stronę, gdzie powinno znajdować się miasto. W końcu odgarnął ostatnie liście popychane chłodnym, spokojnym wiatrem, i wyszedł z lasu.

To, co ukazało się jego oczom, nie wyglądało, jak to, co zapamiętał z obrzeży miasta.

Domy wyglądały na o wiele lepiej urządzone. Białe jak marmur ściany podtrzymywały kolorowe, ceglane dachy. Każda z działek miała

ogrodzenie i wyglądała na zadbaną. Niekiedy ogrodzenia porastały rośliny. Między domami biegła gładka, szeroka droga, kończąca się nieopodal jego stóp.

Detektyw ze zdziwieniem szukał oznak biedy, która zawsze dominowała na granicach. Gdzie ja jestem?, pomyślał. Musiałem dotrzeć do bogatszych części miasta.

Jednak zamku, który górowałby gdzieś na horyzoncie, najwyraźniej nie było widać. Brond postanowił więc wdrapać się na drzewo. Po kilku chwytach sięgnął po grubszą, stabilniejszą gałąź i wspiął się na nią. Był teraz na wysokości dachów.

Wstrząsnął nim widok podobnie zadbanych działek w całej okolicy. To nie wyglądało na obrzeża Maka Bonk takie, jak je zapamiętał. Czyżby dotarł gdzie indziej? Lecz jakież miasto jest na tyle bogate? Maka Bonk jest przecież stolicą, a w pobliżu nie znajdują się żadne inne miasta.

Myśl, że mógł przespać więcej, niż kilka dni, na moment omal nie wytrąciła go z równowagi. Utrzymał się jednak na gałęzi. Ileż miałby przespać, aby miasto wyglądało w ten sposób? Coś nie było w porządku.

„... obaj jesteście przekłęci, przekłęci na zawsze!” , zabrzmiał mu w głowie głos Nasira. „Nie ma już powrotu.”

Mimo letniej pogody przeszedł go zimny dreszcz.

Ostrożnie zszedł z drzewa. Po krótkim namyśle postanowił, że mimo wszystko pójdzie naprzód. Nawet, jeśli nie było to jego miasto, nie miał innego wyjścia.

Brzuch detektywa wyraził zgodę długim burczeniem. Brond uświadomił sobie, że ostatni posiłek jadł jeszcze w Inn Validzie przed tym, gdy został złapany i uwięziony w grocie. Jeśli faktycznie nie odnajdzie się w mieście, nie może chodzić z pustym żołądkiem.

Chętnie wstąpiłby teraz do Wrednego Smakosza, intuicja podpowiadała mu jednak, że karczma jest niedaleko. Ulubiony bar zaś nie znajdowałby się w takiej dzielnicy.

Wkrótce zauważył coś jeszcze dziwniejszego. W pewnym miejscu droga zmieniała się ze zwykłej w ciemnoszarą, płaską powierzchnię. To nie wyglądało jak nic, co dotąd widział. Przyjrząwszy się bliżej tej powierzchni, zauważył, że jest niezwykle twarda.

Obawiam się, że to nie jest Maka Bonk, pomyślał. Ani cokolwiek, z czym miałem do czynienia.

Szedł dalej uważnie, aż napotkał przechodnia. Zatrzymał się i zmrużył oczy. Nie wyglądałby on tak dziwnie, gdyby nie jego nadzwyczaj dobrej jakości ubranie. Tamten, spostrzegłszy go, również się zatrzymał. Obaj patrzeli na siebie ze zdziwieniem, aż detektyw odezwał się:

– Gdzie ja jestem?

Bezpośredniość pytania zaskoczyła przechodnia.

– Na ulicy Sosnowej – odparł po chwili. – Nieopodal ulicy Prostej.

Brondowi nazwy te niczego nie mówiły.

– W jakim mieście? – odważył się spytać.

– Maka Bonk – odparł zdziwiony chłopak.

– Dziękuję – odrzekł po chwili detektyw. – Musiałem się upewnić.

Chłopak przeszedł obok niego, nadal nieco zdziwiony rozmową. Brond przez moment stał i wpatrywał się w przestrzeń.

Maka Bonk. A więc tak wygląda.

Cokolwiek się stało, Brond nie był w domu. To nie mogło być jego miasto. Koniecznie musiał przemyśleć swoje położenie.

A przy okazji coś zjeść, dodał brzuch.

Dotarłszy do skrzyżowania, zauważył nieopodal duży, zadbanej budynki pokryty ceglany dachem, o żółtych ścianach i zachęcającym otoczeniu. Nad drzwiami przybito sporych rozmiarów tabliczkę, na której widniał biały, wyraźny napis: „Inn Valida”.

Po raz pierwszy tego dnia Brond poczuł się jak w domu.

II

Otoczenie karczmy znacznie się różniło od ostatniego razu, gdy ją widział. Nie zwrócił jednak na to uwagi, dopóki nie wszedł do środka.

Niewiele wyglądało tak, jak zapamiętał.

Część ścian wyglądała na drewniane, inne musiały być wykonane z czegoś trwalszego. Stoliki były bardziej równe i wykonane z niezwykłą precyzją. Podłoga, wyłożona płytkami o nieregularnym kształcie, miała delikatny wygląd. Źródło światła, bijące przeważnie z żyrandoli na suficie, było silniejsze. Do tego cała karczma wręcz połyskiwała czystością.

W głębi karczmy rozlegały się odgłosy muzyki. Śpiewającemu w obcym języku głosowi towarzyszyły instrumenty, z czego niektóre wydały się detektywowi osobliwe. Co najdziwniejsze jednak, nie był w stanie określić, gdzie znajdują się ludzie grający tę muzykę. Sądząc po względnej ciszy, musieli znajdować się w odległym miejscu.

Zamiast znajomego głosu Komala bądź Glemina zastał go ktoś inny. Był wyższy, miał włosy w kolorze brązowym i był luźniej ubrany niż karczmarz, którego zapamiętał. Wszyscy ludzie w karczmie, nawet kobiety, były w ten sposób ubrane, i Brond znów poczuł się nieswojo.

– Dzień dobry – powiedział karczmarz z akcentem, który wydał się detektywowi obcy. Sądząc po jego wzroku, był z początku zaskoczony wyglądem gościa. Spojrzenie to sprawiło, że przez detektywa nagle przeszło wręcz irracjonalne poczucie, że jest obcy temu światu.

– Dzień dobry – odpowiedział Brond najpewniej i najzwyczajniej, jak mógł się na to zdobyć.

– Życzy pan sobie menu?

– Słucham? – nie zrozumiał Brond.

– Kartę dań – wyjaśnił karczmarz głosem, w którym nie pobrzmiewało zaniepokojenie. Najwyraźniej zaadaptował się do nietutejszości przybysza.

– Tak, poproszę – odparł Brond zakłopotany i zaskoczony zarazem. Nigdy nie spotkał się z takim określeniem.

Karczmarz podał detektywowi menu i Brond wybrał sobie stół w podobnym miejscu, co ostatnio, w kącie przy oknie. Dotarwszy do niego, uświadomił sobie, że ściany, które wyglądały na drewniane, w rzeczywi-

stości były tylko pokryte płótnem o wyglądzie drewna. Brond stał przez chwilę w osłupieniu.

– Czy wszystko w porządku? – usłyszał głos z tyłu.

Odpowiedział, że tak, i usiadł.

Muszę mniej się dziwić tym miejscem, bo zaczną na mnie patrzeć, jak na dziwaka, pomyślał. Już patrzył.

Jeden z ludzi wyraźnie mu się przyglądał, lecz po spotkaniu ze wzrokiem detektywa odwrócił wzrok. Brondowi wróciły wspomnienia z poprzedniej wizyty w Inn Validzie, kiedy zastanawiał się, czy ktoś może go wydać kaptownikowi.

Przemknął też myślami po samym Nasirze. Ciekawe, gdzie się teraz znajdował. Mógł uciec w zupełnie inną stronę. Tak czy inaczej, detektyw nie zamierzał rezygnować ze złapania przestępcy. Kiedy tylko zrozumie, co się wokół niego dzieje, zrobi wszystko, aby dorwać al-Chemię.

Otworzył menu i jego oczom ukazała się cała lista dań, z czego niektóre nie były mu znane. Wszystkie napisy były wręcz idealne. Jeśli zostało coś z jego poczucia obeznania z otoczeniem, właśnie się ulotniło. Przebywał w zupełnie innym miejscu, które nazywało się tak samo, w zupełnie innej karczmie, która nazywała się tak samo.

Nie patrzył zbyt długo na menu. Szybko zdecydował się zamówić potrawkę z kurczaka oraz – jak zwykle w takich okazjach – czerwone wino półsłodkie.

Otrzymawszy wino, wypił łyka i poczuł, jak dawno nic nie pił ani nie jadł. Tylko bardziej nabrał ochoty na kurczaka.

Myśląc tak, zaczął patrzeć przez okno, i omal się nie wywrócił, ujrzawszy przemykający po ulicy pojazd. Był co najmniej tak szybki, jak galopujący koń.

Rozległ się brzęk. W swoim zaskoczeniu Brond nie zauważył, że wywrócił szklanekę z winem, która teraz stłukła się na podłodze.

– Najmocniej przepraszam – powiedział, zobaczywszy, jak na czystej podłodze rozlewa się czerwona kałuża.

Karczmarz powiedział tylko, że nic nie szkodzi, posprząta się, i wkrótce podał mu drugie wino. Brond podziękował.

Odstawiwszy nową szklanekę, usłyszał kolejny szum za oknem. Właśnie przejeżdżał kolejny pojazd. Tym razem, mimo że nadal był pod wielkim wrażeniem, Brond dokładniej mu się przyjrzał. W środku, o ile

zdołał zauważyć, siedział człowiek, jedną ręką trzymający wystające przed nim koło. Drugą rękę trzymał gdzieś głębiej, a wzrok miał utkwiony ponad kołem. Pojazd poruszał się na kółkach obracających się z niezwykle szybką prędkością. Teraz Brond uświadomił sobie, że płaska powierzchnia ulic idealnie nadaje się dla gładkich kół samochodu, i zapewne jest dla nich stworzona.

Muzyka uległa zmianie. Rzuciwszy wzrokiem na karcznię, zauważył, że wychodzący mężczyzna pozostawił po sobie jakieś papiery na stoliku nieopodal. Brond zerknął na nie i zobaczył, że na pierwszej stronie znajduje się wielki napis „gazeta niecodzienna”, pod nią zaś nagłówek „Cisza przed burzą”.

Człowiek, który zostawił gazetę, już zapłacił i wyszedł, nie zamierzał więc wracać. Detektyw sięgnął po gazetę i zaczął czytać. Pierwsza strona informowała o „ciszy wyborczej” (cokolwiek miało to znaczyć). Gazeta twierdziła, że sytuacja nie była tak napięta od czasu wyborów z roku 1947. Brond zamrugał kilkakrotnie. Rok 1947?!

– To niemożliwe... – wyszeptał, opuszczając gazetę.

Jeśli gazeta miała rację, Brond mógł przenieść się aż tysiąc pięćset lat do przodu. To cud, że ta karczma jeszcze istnieje, pomyślał. Po chwili opamiętał się i przejrzał gazetę. Przy żadnej dacie nie było odniesienia do Buraka; detektyw znalazł jedynie napomknięcia o „nowej erze”. Nawet jeśli nie przeniósł się do innego miejsca o tej samej nazwie, w co starał się wierzyć, różnica w czasie mogła być znacznie mniejsza.

Nad stłuczoną szklanką pochylił się chłopczyk wysłany przez karczmarza. Mógł mieć dziesięć, góra jedenaście lat. Z podobnych rys twarzy Brond wywnioskował, że może on być synem karczmarza, który uczy się u ojca i pomaga w pomniejszych sprawach. Uśmiechnął się na widok młodzieńca rwiącego się do pracy. Ujrawszy to, chłopak również obdarzył go życzliwym uśmiechem.

Widok rozlanego wina nagle przypomniał Brondowi o płynie, który rozlewał się w grocie. Kiedy z niej wychodził, nie zostało po nim ani śladu. To tylko potwierdzało jego obawy, że w rzeczywistości nie przeniósł się w inne miejsce, lecz w inną epokę. Niewiarygodne, że Studnia potrafiła takie rzeczy.

Ale grota się zawaliła. Nie ma powrotu. W głowie detektywa znów zabrzmiał głos Nasira. To klątwa. Klątwa Aghroru.

Młodzieniec skończył sprzątać i ruszył z powrotem na tyły karczmy, zapewne aby pomóc w przygotowaniu dania.

Brond pomyślał o krewnych karczmarza i zauważył coś na ścianie przy wejściu. Wyglądało to jak drzewo z małymi, lecz bardzo dokładnymi obrazkami ludzi. Niektórzy byli umiejscowieni wyżej, niektórzy niżej, a na samym szczycie znajdował się również karczmarz – Kein Harlon – i jego syn – Neol. Brond wstał, żeby przypatrzeć się dziełu. Drzewo pokazywało aż osiem pokoleń. Jednak żaden z obrazków nie przedstawiał Glemina, karczmarza, którego mógłby rozpoznać.

Gdy tak patrzył, powrócił karczmarz, trzymając zamówioną przez Bronda potrawkę.

– Widzę, że zainteresowało pana nasze drzewko – uśmiechnął się, już swobodniej mówiąc do detektywa.

– Tak. – Brond się zastanawiał. – Czy wiadomo panu coś o poprzednich pokoleniach?

– Niestety, niewiele na ich temat się zachowało – odparł karczmarz. – Drzewo zapoczątkował mój pra-pra-pra-pradziadek, Hagar z Sulk, ponad trzysta lat temu. Nie tylko on i jego potomkowie pracowali nad drzewem, lecz to ich praca zachowała się najlepiej. Nie wiemy zbyt wiele o innych, którzy żyli za czasów Hagara.

Trzysta lat, pomyślał Brond. Brzmiało to strasznie, ale nie tak bardzo, jak rok z gazety.

– Myślał pan o kimś konkretnym? – spytał pan Kein.

– Znałem... to znaczy słyszałem o człowieku imieniem Glemin – odparł detektyw nieco zmieszany. Myśl, że znany mu karczmarz należał już do przeszłości, nie dodawała mu otuchy.

– Hmm... Obawiam się, że nie słyszałem o nim. Może w innej Inn Validzie znalazłby pan coś na jego temat. Nie wszystkie jednak...

– W innej? To jest ich kilka? – przerwał Brond.

– Ależ tak. Stary Hagar, po odwołaniu z funkcji namiestnika prowincji Sulk, przybył do Maka Bonk bogaty. Zakupił karczmę od kogoś, kto nie znany jest nam z imienia, wiemy jednak, że ten ktoś otrzymał karczmę od swego stryja o imieniu Salmin. To najstarszy karczmarz Inn Validy, o którym nam wiadomo. Wracając do tematu, Hagar rozwinął interes, przejmując inne karczmy w mieście i budując nowe. Dziś w samym

Maka Bonk są jeszcze co najmniej cztery Inn Validy; słyszałem też o dwóch w innych miastach.

– Interesujące. Wiadomo, która z nich była tą pierwszą? – zapytał po chwili Brond.

– Ależ oczywiście. Pierwsza znajduje się przy ulicy Targowej. Numeru nie pamiętam, lecz nietrudno ją zauważyć, zwłaszcza po renowacji. Tak się składa, że karczmarzem jest tam mój odległy kuzyn. Rzadko się spotykamy, ale utrzymujemy kontakt.

– Dziękuję. Postaram się tam kiedyś wstąpić.

Nazwa „ulica Targowa” była Brondowi znana, nie pamiętał tylko, że karczma się tam znajdowała. Teraz uświadomił sobie, że faktycznie tak jest, i to musi być ta karczma. Być może tam dowiedziałby się więcej. Jednak „prowincja Sulk” nic Brondowi nie mówiła. Najwyraźniej od czasów Rab-Dawiego zmieniła się również administracja królestwa.

Karczmarz o nic więcej nie pytał. Postawił danie i wrócił, aby obsłużyć nowego klienta. Przemięły człowiek, pomyślał Brond. Nie przeszkadzał mu nietypowy wygląd dawnego detektywa, ani jego nieco nadzwyczajne zachowanie. Traktował go jak zwykłego człowieka.

Muzyka się uspokoiła i zwolniła tempo. Brond wziął się za jedzenie i okazało się, że kurczak jest przepyszny. Być może to dlatego, że od dawna nic nie jadł, ale czuł, że to najlepsze, co kiedykolwiek miał w ustach. Jedząc, czuł, że odzyskuje siły. Zastanowił się więc nad swoim obecnym położeniem.

Rab-Dawi odszedł. Po nim odeszło również wielu następnych królów, których nigdy nie poznał, jednak co najważniejsze, w związku z tym nie był już królewskim detektywem. Właściwie był nikim. Perspektywa ta wydawała się przerażająca, jednak biorąc pod uwagę warunki, w jakich się znalazł, nie powinien mieć problemów z przetrwaniem, o ile znajdzie sposób na zdobycie pieniędzy. Większym problemem wydawało się przystosowanie się do poziomu rozwoju, jaki osiągnął świat do tego czasu.

Odeszli również inni, których znał. Został jedynie Nasir, którego pragnął znaleźć i schwytać za dokonane zbrodnie. Nikt poza Nasirem i Doktorem Prundem raczej nie wiedział o istnieniu Studni, a nawet jeśli, to w każdej chwili płyn zasilający moc stawu mógł się wyczerpać, prze-

rywając połączenie między światami. Sam Prund zaś został schwytyany i uwięziony.

Był wielce ciekaw, jak potoczyła się historia królestwa. Kiedy tylko będzie miał szansę, postara dowiedzieć się jak najwięcej.

Wszystko to pozostawało wiele możliwości, które początkowo przetrastały detektywa. Postanowił skupić się na jednej, która wydawała mu się najbardziej sensowna.

Odnajdzie królewski zamek, poinformuje władze o nowym przestępicy i postara się odzyskać pracę detektywa.

Wkrótce skończył jeść, podszedł do karczmarza i oznajmił, że chce zapłacić.

– Kartą czy gotówką? – spytał pan Kein.

– Pieniędzmi – oznajmił Brond, zastanawiając się, czy jest taka możliwość.

Karczmarz podał cenę – dwadzieścia dwa pięćdziesiąt. Dawny detektyw wyjął sakiewki i zaczął liczyć pieniądze.

– Niezwykły z pana człowiek – zaśmiał się karczmarz. – Wygląda pan niemal jak żywy przedstawiciel średniowiecza. Pieniędze w sakiewkach!

Brond nie wiedział, co odpowiedzieć. Zmusił się do uśmiechu, tak jakby karczmarz powiedział dobry żart.

– A cóż to? – zdziwił się karczmarz, kiedy Brond wręczył mu pieniądze. – To wygląda jak coś, czego nie używa się od bardzo dawna!

Bronda przeszedł dreszcz.

– Niestety nie mam przy sobie innych pieniędzy – wybąkał. – Mają jakąś wartość, prawda?

Pan Kein zamyślił się, trzymając w ręku monetę.

– Właściwie to mogą mieć ogromną wartość... – westchnął. – Wezmę najmniejszą. I tak bez wątpienia jest warta więcej, niż dwadzieścia dwa i pół premów.

Brond osłupiał. Był bogaty!

– Dziękuję – powiedział po chwili, po czym spytał: – Istnieje jakiś sposób, abym mógł zamienić to na... premy?

– Oczywiście, że tak. W mieście jest wiele punktów wymiany walut. Wspaniale, pomyślał Brond.

– W takim razie będę się zbierać. Dziękuję jeszcze raz za wszystko – wrzucił resztę pieniędzy z powrotem do worka, wziął jeszcze gazetę i zatrzymał się przy wyjściu. – Czy wie pan, którędy najłatwiej dojść do królewskiego zamku?

– Do zamku? – karczmarz się zamyślił. – Nie jest bardzo daleko. Myślę, że powinien pan podążać mniej więcej w tę stronę – wskazał kierunek, a Brond podziękował.

Muzyka znów się zmieniła. Brond spojrział w stronę, z której mogła się wydobywać.

– Pańscy muzycy są niezawodni – dodał jeszcze.

– ... Dziękuję – powiedział karczmarz wyraźnie zmieszany.

Znowu coś spartaczyłem, pomyślał detektyw.

Pożegnał się i wyszedł, kierując się we wskazaną stronę.

III

Brond szybko się domyślił, że piesi chodzą chodnikiem, a nie po ulicy pełnej pędzących samochodów. Odkrył, że wcale nie przeszkadza mu nowy wygląd miasta.

Gorzej było z jego własnym wyglądem.

Ponieważ nadal nosił opatrunki z liści, sakiewki przywiązane do pasa, dwa noże również przy pasie, a jego ubranie było brudniejsze i bardziej pomięte, niż praktycznie każdego przechodnia, jakiego mijał, większość osób trzymała się od niego na dystans lub patrzyła ze zdziwieniem.

Zanim dotrze do zamku, musi koniecznie dostosować swój wygląd do otoczenia, bo inaczej wezmą go za świra, kiedy już tam dotrze. Ale żeby to zrobić, musiał wymienić pieniądze.

Kilkakrotnie zatrzymywał przechodniów, pytając, gdzie znajdzie punkt wymiany walut, jednak spotkał się albo z ignorancją, albo z niewiedzą. Jeszcze inni mówili, żeby sprawdził sobie „na mapach”. Kiedy znów się na takiego natknął, spytał:

– A gdzie mógłbym znaleźć mapy?

Spodziewał się, że przechodzień wskaże mu miejsce, jednak on wyjął z kieszeni coś, co przypominało cegielkę, i postukał w nią.

– Proszę bardzo. Najbliższy punkt wymiany znajduje się trzy przecznice stąd – nieznajomy odwrócił cegielkowy przedmiot w stronę Bronda. Była na nim mapa.

Kiedy już domyślił się, jak iść, i podziękował, detektyw zadziwił się precyzją na tak niewielkiej mapie. Najpierw obrazki, potem mapa... wszystko to stało się o wiele mniejsze i jednocześnie dokładniejsze.

Doszedł do miejsca, w którym przez ulicę przebiegały paski. Na ile zdołał się zorientować, były to punkty, w których można było przedostać się na drugą stronę ulicy. Jednak dwaj pozostali ludzie stali i widocznie na coś czekali. Po drugiej stronie stał słup ze znacznikiem czerwonego ludzika.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Bronda, w pewnej chwili ludzik zmienił się z czerwonego w zielonego. Samochody zatrzymywały się przed przejściem, a piesi przechodzili.

Wreszcie wyszedł z osłupienia i uznał, że też skorzysta, zanim znaczek na słupie znów się zmieni. Następnie w ten sam sposób przeszedł kolejne przejście i ruszył dalej.

Te znaki na przejściach są bardzo intuicyjne, pomyślał Brond. Czerwony odpowiada krwi, więc czerwony ludzik musi oznaczać martwego. Przejdziesz – zginiesz. Zielony ludzik to bezpieczny ludzik.

Kiedy tak szedł, za nim jacyś ludzie głośno się spierali. Nagle Brond zorientował się, że biegną w jego stronę, wołając go.

– Hej, panie w dziwnym ubraniu! Tak, pan! – krzyczał jeden, aż zatrzymał się przed nim. – Tylko teraz! Ma pan niepowtarzalną okazję przystąpić do naszej reklamy i wygrać nagrodę!

– "Tylko teraz"? – zastanowił się Brond. – To jakiś szantaż?

– Wygląda pan, jakby całe życie spędził w dziczy – dodał drugi. – Właśnie tego potrzebujemy! Może pan wiele zyskać.

– Właśnie tak – zgodził się pierwszy. Jego gesty wskazywały na to, że przewodził grupą. – To potrwa tylko chwilę, a może pan wygrać najnowszy telefon firmy Fanxiang z darmowym internetem na miesiąc od Śmigacza!

Brond miał wrażenie, że nie rozumie ani słowa. Dopiero gdy młody człowiek wyjął tajemniczy przedmiot w kształcie cegielki, detektyw doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować.

– Dobrze. Co mam więc zrobić?

– Stanie pan przed tym murkiem – przełożony grupy wskazał niewielki murek przed domem o złocistych ścianach i brązowych dachówkach. – Proszę wyglądać na silnego i dumnego, w końcu jest pan prawdziwym survivalowcem.

Trochę skołowany, Brond przyjął pozę pełną pewności siebie i dumy z bycia „survivalowcem”.

– Dobra... Nieco większy uśmiech. O tak. Panie Henk, jesteśmy gotowi zaczynać. – Pan Henk, który dotąd stał z tyłu, wyjął jakiś skomplikowany sprzęt i zaczął go rozkładać na chodniku. Przełożony dalej mówił do Bronda: – Będziemy coś mówić, a kiedy wskażę na pana, powie pan tak:

Wziął kolorową puszkę od kolegi i ustawił się obok Bronda. Następnie skierował wzrok na pana Henka i nadzwyczaj energicznie gestykułując, powiedział:

– Tak jest! Czuję, jak rodzi się we mnie pradawna moc! Przybywają siły, o których nawet nie wiedziałem!

Starał się przeradzać w gest każde słowo, nawet „jest” i „których”. Obserwując tą scenę, Brond nie wiedział, czy się śmiać, czy uciekać.

– Nie musi pan robić tylu gestów – dodał ktoś inny. Przełożony grupy rzucił mu poddenerwowane spojrzenie kogoś, kto zna się lepiej.

W międzyczasie Henk rozstawił sprzęt. Całość stała na kilku podpórkach, a najbardziej wysunięta część była skierowana prosto na nich. Przez chwilę Brond poczuł się niebezpiecznie.

– Gotowy? Zaczynamy! – ryknął z entuzjazmem przełożony grupy.

Henk wykonał jakiś ruch i facet zaczął mówić w jego stronę:

– Chcesz wrócić do korzeni i poczuć się jak nowo narodzony?! Nowy napój energetyczny Diabeł da ci to, czego pragniesz! Oto żywy przykład! – bez ostrzeżenia rzucił puszkę Brondowi, który zdołał ją złapać. Henk wykonał ruch w jego stronę.

Widząc, że nadeszła jego kolej, Brond z udawaną dumą i pewnością siebie, choć bez energicznych gestów, odegrał swoją rolę. Następnie przy nim znów pojawił się energiczny facet.

– Ty też odkryj w sobie nową moc już teraz! Napoje Diabeł znajdziesz w każdym sklepie na każdej ulicy. Moc jest w zasięgu ręki!

– Dokładnie. – Brond poczuł, że wczuwa się w rolę. – Wypij Diabła, i pocuj w sobie diabła. – Zrobił przy tym zaciśniętą pięść, kierując wzrok prosto w obiektyw, cokolwiek miało to znaczyć.

Przez chwilę wpatrywali się w niego, jakby zrobił coś nie tak.

– I co teraz? – spytał.

– To było doskonałe! – zawołał młody człowiek, któremu z entuzjazmu niemalże lał się pot z czoła. – Czemu wcześniej nie wpadliśmy na to hasło?! Rany, jest pan genialny! Panie Henk, jak wyszło?

– Znakomicie – odparł Henk. – Trzeba by tylko coś zrobić z pańską zaskoczoną miną na końcu.

Przełożony zespołu coś mruknął. Następnie ktoś obok wyjął cegielkę.

– Proszę. Oto nagroda. – Przełożony odebrał cegielkę i wręczył ją Brondowi, który z zaciekawieniem przyjrzał się urządzeniu.

– A tak właściwie... – zaczął Brond – mógłby mi ktoś wyjaśnić, jak to działa?

– Ach, tak... – facet podrapał się po głowie.

– Proszę się nie martwić – odparł pan Henk, którego najwyraźniej nie zdziwił fakt, że Brond, niczym prawdziwy człowiek z dziczy, faktycznie nie zna się na elektronice. – To łatwiejsze do zrozumienia, niż się wydaje. Aby uruchomić telefon, wystarczy nacisnąć mniejszy guzik na obudowie.

Zademonstrował to na trzymanym w rękach Bronda telefonie. Nagle czarna, szklana powierzchnia zaświeciła. Brond omal nie wypuścił telefonu ze zdziwienia.

– Nie ma się czego bać – dodał szybko. – Nie robi panu krzywdy.

Kiedy Brond już otrzeźwiał, pan Henk zaczął tłumaczyć, jak korzystać z telefonu. Najpierw pokazał kilka podstawowych funkcji – rozmowa przez telefon, mapy, aparat, notatnik, ustawienia. Brond był oszołomiony pojawiającymi się i znikającymi okienkami, ale gdy Henk dał mu spróbować, szybko się przyzwyczyił i doszedł do wniosku, że to całkiem wygodne urządzenie. Telefon miał już numer i Henk dodał tylko swój, aby pokazać, jak rozmawia się na odległość. Następnie pokazał mu wyszukiwarkę.

– Naprawdę można tu wpisać cokolwiek i znaleźć informacje? – spytał Brond z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdził Henk. – Z tym, że informacje powstają dzięki innym ludziom i jeśli na przykład wyszukasz „Henk”... – wyszukał i pokazał ekran – ... raczej nic nie znajdziesz. – Westchnął i wzruszył ramionami. – W końcu nie jestem jakąś znaną osobistością – dodał z niejakim uśmiechem.

Następnie Henk pokazał jeszcze, jak ustawić kod, aby nikt niepożądany nie dostał się do telefonu. Wiedząc już mniej więcej, do czego służy urządzenie, Brond uznał to za bardzo istotną funkcję. Na koniec detektyw podziękował i obiecał, że postara się jakoś odwdziżyć.

– W porządeczku – uspokoił go Henk. – W razie problemu, zawsze możesz zadzwonić i spytać.

– Skończyliście już? – spytał podirytowany przełożony, który przez cały czas czekał i wyglądał, jakby cała energia z niego uszła. W międzyczasie reszta poszła kupić lody na patyku i młody szef otrzymał jednego z nich. Nie pojawiły się jednak żadne oznaki, które miałyby świadczyć o poprawie jego humoru.

Przełożony dał znak i grupa zaczęła się zbierać. Henk złożył sprzęt do nagrywania.

– Do zobaczenia. Zostaniesz przez nas zapamiętany jako Dzikie Brond – rzekł do niego Henk na pożegnanie.

Brond również się pożegnał i ruszyli w przeciwną stronę. Odchodząc, detektyw słyszał jeszcze rozmowę Henka z szefem:

– Niech pan się nie irytuje. W końcu pan Brond dał nam nowe hasło reklamowe! Moim zdaniem to wspaniały człowiek.

Przełożony coś odpowiadał z nadęsaniem, lecz Brondowi zagłuszył go świst przejeżdżającego samochodu.

Dawny detektyw uśmiechnął się. Minęła ledwie godzina, a w nowym świecie zawarł już dwie znajomości i zdobył coś, co posiadała większość obywateli. Jak się wkrótce przekonał, mapy były niezawodne i bez problemu odnalazł się w mieście.

Samo miasto wyglądało na o wiele większe, niż je zapamiętał. Nie przypominał sobie, żeby po drugiej stronie rzeki ciągnęło się tyle ulic. Po jego stronie miasto również było bardziej rozbudowane, i to we wszystkich kierunkach. Brond pamiętał, kiedy granice na wschodzie i zachodzie znajdowały się kilka kilometrów bliżej. Znajdował się na nowym terenie, którego zbadanie zajmie znacznie dłużej niż jeden dzień.

Czekało go wiele atrakcji.

IV

Sklepek odzieżowy „Wilcza Skarpeta” przechodził kryzys, z którego już raczej nie miał wyjść cało, ani nawet jedną ze swych manekinowych nóg. Otóż w okolicy otwierało się nowe centrum, a wraz z nim nowe sklepy. Niemniej, nie trzeba było słów „centrum” i „sklepy”, by przyciągnąć przeciętnego konsumenta; słowo „nowe” wystarczało w swojej prostocie.

To nie był dobry dzień, ani nawet miesiąc, dla firmy „Wilcza Skarpeta”. Stojący sam z siebie, bez pomocy centrum, budynek przetrwał już trzynaście lat jako sklep odzieżowy, a wcześniej czterdzieści cztery jako spożywczy. (Poprzednio budynek wynajmowała firma „Świeży Smakosz”, jednak sprzedawała go za dość pokaźną cenę, która z początku wydawała się opłacalna.)

Sprzedawczyni, pani Ralia, z podbródkiem opartym o rękę wpatrywała się przez dużą, prostokątną szybę nad manekinami w przejeżdżające ulicą samochody i przechodzących przechodniów. Wszyscy mijali jej sklep. Odkąd zapadła decyzja o budowie centrum, dni sklepiku były policzone, jednak dopiero teraz, kiedy je otwarto, widoczny był ogrom zmian. Pamiętała dobre czasy, kiedy nie mogła się doczekać chwili, gdy przez moment nie było nikogo w sklepie. Wychodziła wtedy na minutkę do kawiarni naprzeciwko i wracała z kubkiem gorącej kawy. Dzisiaj dopijała już drugi kubek, a jak dotąd w sklepie zagościły zaledwie cztery osoby.

Zastanawiała się, czy liczba klientów wpłynie na jej pensję. Tak jak co miesiąc, obiecano jej tysiąc dwieście premów, jednak nie wyglądało na to, żeby ilość zarobionych pieniędzy miała dorównać tej ilości. Miesiąc powoli płynął ku końcowi, a jak na razie zapłacono jej w okolicach ośmiuset premów. Myślała już o nowej pracy. Najbardziej, jak sądziła, odpowiadałaby jej praca fryzjera. Interesowały ją trendy i nie przeszkadzał jej bezpośredni kontakt z klientem. Musiałaby jedynie przejść odpowiedni kurs, a miała pieniądze.

Z rozmyślań wyrwał ją nowy klient.

Nie był to zwyczajny klient. Jego wygląd przeczył jakiegokolwiek modzie, czy to współczesnej, czy sprzed ostatnich pięćdziesięciu, a

może i pięciuset lat. Ubranie wyglądało, jakby przetrwało więcej trudnych chwil, niż ten, kto je nosił. Sam gość miał krótkie, choć nierówne włosy, twarz obcą i jednocześnie tutejszą, rany pokryte liśćmi oraz wzrok rozglądający się gdzie popadnie. Wszystkie te szczegóły rzucały się pani Ralii w oczy i przysysały się niczym pijawki.

Klient prędko ją zauważył i z początku pani Ralii wydało się, że jego wzrok wyrażał zdziwienie, jednak to wrażenie szybko znikło.

– Dzień dobry – przywitał się przyjemnym głosem. Brzmiał jakby był stąd, ale też trochę jakby nie był. – Można tu zakupić ubrania, prawda?

– Oczywiście – pytanie wyrwało panią Ralię z zamyślenia.

Mężczyzna rozejrzał się uważnie po sklepie.

– Myślę więc – mówił, wędrując wzrokiem po ubraniach – że chciałbym się ubrać zgodnie z dzisiejszą modą.

– Ach... – odparła nadal w lekkim osłupieniu. – Tak, to raczej konieczne.

Gość uśmiechnął się w odpowiedzi. Następnie pani Ralia pokazała mu kolory i style, napisy i obrazki („Pomysłowe”, skomentował niektóre ze szczerym uśmiechem), oraz sekcję z obuwiami. Pokazała mu również to, co jej zdaniem było najlepsze. Ku jej zadowoleniu, klient stwierdził, że weźmie to pod uwagę.

Następnie klient wziął się za przymierzanie obuwia i Ralia wróciła, aby dopić kawę. Nie sięgnęła nawet po kubek, a znów zastała niespodziewany widok.

Wejście jednego klienta najwyraźniej zachęciło kolejnego. Ten jednak wyglądał zwyczajnie. Przywitał się (Ralia odpowiedziała), po czym zaczął wędrować po sklepie.

Ralia nie dopiła jeszcze kawy, a wrócił pierwszy klient. Nowe ubranie od razu na siebie założył. Dodatkowo kupił jeszcze dwie pary koszulek, drugie spodnie, zapas bielizny oraz czerwoną czapkę z daszkiem z napisem „znakomicie”. Za całość zapłacił pięćdziesiąt cztery premy. Pieniądze wyjął prosto z plecaka na plecach, który najwyraźniej był ich pełny (Ralia nie pytała, bo to nie leży w zakresie obsługi klienta).

– Dziękuję – Ralia przyjęła pieniądze. – Do zobaczenia ponownie.

– Wzajemnie – odparł klient. – Z pewnością tu jeszcze wstąpię.

Kiedy wychodził, Ralia odkryła, że po raz pierwszy w tym miesiącu szczerze się uśmiecha. Nie, pomyślała. Popracuję tu jeszcze przynajmniej z miesiąc.

*

Pomarańczowa substancja przelewała się z flaszki, ostrożnie trzymanej przez naukowca, do naczynia z roztworem o mniej wyraźnym kolorze i słabszej konsystencji. Początkowo wydawało się, że zachodzi jakaś zmiana, jednak końcowy rezultat był taki sam.

Po chwili odwrócił się do przełożonego z twarzą wyrażającą zmartwienie.

– Nie pomogło – rzekł.

Szef pokiwał z dezaprobatą.

– Niech to – mruknął, patrząc wokół siebie. – Gdyby tylko był tu jeden człowiek. Jeden człowiek! On znał się na tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Oprócz środkowego stołu, w pokoju stały jeszcze dwa stoły laboratoryjne zajmujące większą część ścian. Część z nich była zajęta przez pracujących naukowców. Szef właśnie mijał jeden ze stołów i rzucił okiem na otwartą wcześniej księgę. Potarł dłonią poźółkłe, poniszczone strony. Napisy już blakły i przełożony badań zdawał sobie sprawę, że trzeba je będzie przepisać, jednak nikogo nie pociągało to zadanie, a w końcu księga nie należała do laboratorium.

– Wylej to, Fillis – poradził. – Spróbujemy jeszcze raz.

Fillis nie wyglądał na chętnego, lecz wylał zawartość naczynia w odpowiednie miejsce i, podawszy je komuś innemu, wziął następne i wziął się do powtarzania większości procedury, próbując zrozumieć zawartość starej księgi.

Szef nie przeszkadzał mu już. Podeszedł do szyby, zajmującej trzecią ścianę, i spojrzał na znajdujący się poniżej placyk otoczony zielenią. Przed budynkiem zaparkowano co najmniej trzydzieści samochodów. Żelazna brama broniła przed intruzami. Promienie słońca nie uderzały już w szybę tak silnie, jak przed paroma godzinami.

Z upływem lat szef nabrał cierpliwości, której brakowało mu w młodym wieku. Mimo doznanych porażek nauczył się cieszyć tym, co ma.

W końcu był na o wiele bardziej uprzywilejowanej pozycji, niż kiedyś. Uzyskał własny obszar działań i oddanych podwładnych, którzy skrupulatnie dążyli do spełniania potrzeb jego i firmy. Brakowało mu tylko jednego.

Coś zawibrowało w jego kieszeni. Spojrzał, kto do niego dzwoni. Przeprosił na moment i poszedł w zaciszne miejsce. Odebrał telefon.

– Słucham uważnie – powiedział przyciszonym głosem.

– Witaj, Doktorze... – przywitał go ciepły głos. Był spokojniejszy od głosu szefa, brzmiał wręcz niewinnie. Nigdy nie zdradzał w sobie agresji. Szef zawsze był pod wrażeniem jego opanowania. – Przepraszam, że zajmujemy panu czas podczas pracy.

– Nie przeszkadza mi pan – zapewnił szef. – W czym problem?

– Nie mamy z panem żadnych problemów – odparł przyjemnie głos.

– Wręcz przeciwnie. Dzwonię, aby pana poinformować, że pańska zguba się znalazła.

Szef otworzył usta z zaskoczenia.

– Nareszcie... – wyszeptał triumfalnie.

– Słyszę, że pana usatysfakcjonowaliśmy – odparł głos. – Niech pan tylko pamięta o swoim długu.

– Oczywiście – zapewnił szef. – Nie zapomnę o nim.

– Znakomicie. W takim razie spotkamy się jutro pod Szklanym Uzdrowiskiem około godziny trzynastej.

– Wspaniale. – Szef podziękował i rozłączył się.

Kilka sekund później rozległ się dźwięk dzwonka. Dla naukowców oznaczało to porę obiadową. Wszyscy ulotnili się z piętra i podążyli na dół.

Gdyby ktoś w tej chwili stał na trzecim piętrze, usłyszałby cichy pomruk zadowolenia. Pomruk ten ciągnął się, nabierając euforii. W końcu przerodził się w donośny, złowrogi śmiech.

*

Mimo swojego usytuowania, lokal nie wyglądał znajomo. Malowany sufit i duże szyby z pewnością nie mogły się tu znajdować za średnio-wieczna. Jednak drewniana podłoga, meble oraz szara ceglana ściana, pod którą siedział, dodawały Brondowi odrobinę poczucia swoich czasów.

Wprawdzie przyzwyczał się już do szarych, betonowych ulic, pędzących samochodów, a nawet magicznych, świecących cegiełek zwanych telefonami, lecz znajome otoczenie działało uspokajająco i pozwalało zebrać myśli. Poza przyjaznym wnętrzem, restauracja oferowała również ładny widok na brukowaną drogę starego Maka Bonk. Nowi ludzie chodzili starymi ulicami. Budynki były kolorowe i szare, ceglane i drewniane, niskie i niekiedy wyższe. Trzy przecznice od Bronda znajdował się mur, stary i nienaruszony, otaczający to miejsce starością.

Stara dzielnica nie wyglądała zupełnie tak, jak zapamiętał ją Brond, ale i tak przypominała mu dawne czasy. Dlatego uznał, że to miejsce jest najlepszym, aby zastanowić się, co dalej.

Nie wszedł do zamku. Wprawdzie był to budynek, który najbardziej dodawał znajomości otoczeniu, lecz Brond szybko przekonał się, że władze już od dawna się tam nie znajdowały. Po pierwsze, przed zamkiem było wielu ludzi, którzy wchodzili i wychodzili. Po drugie, nad główną bramą widniał napis „Muzeum Starego Miasta Maka Bonk”. O ile Brondowi pojęcie „muzeum” było obce, było jasne, że zamek zmienił swoją funkcję. Czuł się tam dziwnie, patrząc na coś starszego niż on, nawiedzonego przez nowość.

– Proszę bardzo. Oto pańskie danie główne.

Brond podziękował. Po postawieniu talerza z pastą, frytkami i dodatkami, kelner udał się na obsługę następnego klienta. Brond z zaskoczeniem odkrył, że podoba mu się obsługa. Pomimo sporej liczby klientów, dzięki licznoci i szybkim działaniu, mogli zająć się jednym po drugim. Jak się już również przekonał, restauracja miała przyjemnie urządzonej toaletę, w której spokojnie można było załatwić swoje potrzeby.

Detektyw musiał rozeznac się w sytuacji, jednak aby nie rzucać się w oczy, wykorzystał urządzenie, które otrzymał od grupy reklamującej. Po raz pierwszy otworzył wyszukiwarke, dotykając okrągłej kolorowej ikonki. Najpierw postanowił dowiedzieć się czegoś o zamku.

W otwartym artykule przeczytał: „Zamek Królewski w Maka Bonk – zamek, który dawniej służył monarchom jako ich oficjalne miejsce zamieszkania.” Następnie napotkał informacje o położeniu i stylu architektonicznym. Poszukawszy nieco, odszukał rok, w którym powstał zamek: 914!

To musiało oznaczać, że zmieniono kalendarz – kiedy Brond wszedł do Studni, był rok 426 po Buraku. Detektyw zaczął analizować, ile lat mogło minąć. O ile pamiętał, za jego czasów królestwo istniało już przez co najmniej pięćset lat. Nie znał jednak roku powstania zamku w starym kalendarzu. W najgorszym przypadku mógł się przenieść nawet o tysiąc lat...

Podczas kiedy Brond dokonał przerażającego odkrycia, muzyka rozkręcała się w najlepsze. Brzmiało to trochę jak stara pieśń, lecz o szybszym tempie i niezbyt pasującym, zdaniem detektywa, akompaniamentem.

Wpadł na lepszy pomysł sprecyzowania daty. Przecież mógł odnaleźć datę pierwszego Dnia Zasadzenia!

Tym razem wyszukał „Jedyny Burak”. Wybrał pierwszą stronę, również artykuł. Artykuł głosił: „Jedyny Burak – jedna z dominujących religii północno-zachodniej Premorii od wczesnego średniowiecza do Wieku Światła.” Brond przeczesał artykuł i znalazł: „Pierwszym władcą, który oficjalnie uznał czczenie buraka jako dominującą religię, był Burugar Wysoki z dynastii Rabzanidów.” Znajome Brondowi nazwy świeciły się błękitnym kolorem linków. Brond minął je jednak, szukając roku. Wreszcie odnalazł: „Wydarzenie, nazwane później pierwszym z „dni zasadzenia” miało miejsce wiosną 833 roku”!

Po dokonaniu odpowiednich obliczeń, Brond ostatecznie przekonał się, że przeniósł się w czasie niecałe siedemset lat. Nie brzmiało to tak przerażająco jak tysiąc lat, lecz i tak od znajomych czasów dzieliła go ogromna przepaść.

W tej samej chwili zauważył, że wciągając się w poszukiwania, zupełnie zapomniał o jedzeniu. Biorąc się za dalsze czytanie artykułu, zaczął jeść pysznego pstrąga, który znakomicie komponował się z frytkami, czymś, czego nigdy wcześniej nie miał w ustach. Brond koniecznie musiał wypróbować wszystko, co miał do zaoferowania nowy świat. Każdego dnia zamierzał spróbować czegoś innego.

Przez moment oglądał jeszcze artykuł o Buraku, dowiadując się o przyszłości religii jego królów. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, widząc nagłówek: „Okrucieństwo i działalność fanatyków w XVI wieku”. Był nawet link do osobnego artykułu. Według tekstu, wyznanie przeszło gwałtowne zmiany i po „Świętych Wojnach” (link do osobnego artyku-

łu: „Przemiany religijne i kulturowe XVII wieku”) przestało być oficjalną religią królestwa, księża musieli uciekać do krajów „sojuszu północnych stron”, a fanatycy byli tropieni i skazywani na karę śmierci. Represje zmalały w XVIII wieku po przewrocie i nastaniu republiki.

Brondowi znane było to słowo. Republika. Nie sądził jednak, że może nastać tutaj. Za jego czasów republika by się nie sprawdziła. To oznaczało, że skala zmian na świecie była naprawdę duża.

Będąc już przy siłach wyższych, postanowił sprawdzić również, co się wie na temat Studni Aghroru. Wpisał to hasło w wyszukiwarkę, ale napotkał tylko losowe strony wspominające o studniach. Nazwa „Aghror” nie pojawiała się nigdzie, nawet, gdy wpisał tylko to słowo. Cóż, z drugiej strony, pomyślał Brond, kto miałby cokolwiek wiedzieć o niewielkim stawie w grocie, którą spotkało trzęsienie ziemi. Nasir miał rację mówiąc, że są przeklęci na zawsze.

Nigdy nie wróci do swojego dawnego domu.

Rozbrzmiewało to w jego głowie już wiele razy, jednak to właśnie tutaj, w restauracji na Starym Mieście, jedząc soloną rybę z frytkami i przeglądając sieć, Brond ostatecznie pogodził się ze swoim losem. Musiał zacząć nowe życie w tym tajemniczym świecie przyszłości. Czekąco go wiele odkryć i nie zamierzał z nimi czekać. Ogromnym pocieszeniem było to, że bez trudu udało mu się zdobyć pieniądze i ubranie. Pozostało znaleźć mieszkanie, pracę i poznać nowych ludzi. Musiał też, za radą gościa od wymiany walut, założyć konto w banku, aby pomieścić wszystkie swoje pieniądze. We wcześniej zakupionym plecaku pomieścił tylko niewielką część swojego bogactwa, a resztę miejsca zapchał ubraniami na zapas. Stare ubranie wyrzucił.

Nie zamierzał czekać. Po skończeniu ryby, zapłacił za jedzenie – przy czym, naśladując zachowanie innych klientów, zostawił napiwek – a następnie zarzucił plecak na plecy i wyszedł.

Jedną z zalet Starego Miasta, o którą trudniej było w reszcie Maka Bonk przyszłości, było świeższe powietrze, niemalże takie, jakie pamiętał ze swoich czasów. Hałaśliwe, zapchane ludźmi centrum o wysokich budynkach i mnóstwie pędzących samochodów, które mijał w drodze do Starego Miasta, nie przemawiało do niego. Tak jak w swoim dawnym świecie, Brond wolał trzymać się dalej od centrum, choć wtedy powody były inne.

Oprócz ludzi, po ulicach i dachach gromadziły się również ptaki. Większość stroniła od ludzi, chyba, że rzucali im coś do jedzenia, albo nie ruszali się, tak jak na tą chwilę Brond, który się zadumał, zorientowawszy się, że nie wie, dokąd wyruszyć.

Nagle zauważył, jak pod jego nogami przechodzi stado kaczek. Grupka żwawym krokiem poruszała się chodnikiem, wszystkie skierowane w tą samą stronę. Ten niespodziewany widok przywiódł Brondowi na myśl pewne wspomnienia.

„Jestem bogiem wszystkich kaczek.”

„Król co chwila przychodzi do mnie zakłopotany i błaga o pomoc.”

„Żyję dostatecznie długo, żeby się na tym znać.”

Nie zaszkodzi spróbować.

V

Miasto płonęło. Smugi dymu unosiły się w powietrze i znikwały w czerni nieba. Szalona burza, przeszedłszy przez cały obszar, teraz cichła.

Nie było pewne, co się stało. To runęło z całą siłą na miasto gdzieś w nocy, a on spał i o tym nie wiedział. Obudziło go tłuczone szkło. Deszcz, który dotychczas rytmicznie uderzał w sufit, zaczął przedostawać się do środka. Przespał czas próby. Zawiódł wszystkich.

Nie pamiętał dokładnego przebiegu wydarzeń. Coś zaatakowało miasto i nie było miejsca, w którym noc nie byłaby żywa, pełna błysków, grzmotów, ognia i ciemności.

Chyba z kimś walczył, ale nie był pewien. To coś wyglądało jak cień lub nawet nim było. Coś, czego nie zauważył, coś, co pominął, teraz mściło się na nim za to, że stanął przeciw niemu. Wróg zniknął i pojawiał się za ścianami budynków, za zakrętami, za drzewami; za wszystkim, co mogło coś skrywać. A było tego wiele. Wróg mógł zaatakować z każdego zakamarka.

Krwawił. Krew lała się z rąk, dłoni, czoła, i zapewne z jeszcze kilku miejsc; było ich zbyt wiele, żeby czuć je wszystkie naraz. Pobudzona kroplami deszczu, czerwona ciecz cienkimi strużkami spływała z ciała. Rany były raczej lekkie; pozwalały na dalszą walkę, choć czyniły go niepewnym zwycięstwa. Tak jakby wróg chciał, aby walczył dalej.

Przeszywający chłód i ciemność zimowej nocy komponowały się z gorącym blaskiem ognia w intensywną atmosferę. Nie było ani ciepło, ani zimno, ani jasno, ani ciemno. Nic nie było pewne. Być może walczył z własnym cieniem, a być może to on był cieniem.

Umierające dusze opuszczały zakrwawione, w dziki sposób zasztyletowane i zmasakrowane ciała pozostawione w gęstniejącym od ulewy błocku. Wszelkie ptactwo ulatywało z miasta – niebo było niemal pokryte ich zwinnie pracującymi skrzydłami. Wszyscy muszą być uwolnieni z cierpień, mówił wróg. Nadszedł czas, aby złamać pradawne brzemie.

Nadszedł czas Żniwa.

Słyszał krzyki, które jednak natychmiast cichły, tak jakby nie było pewne, czy były rzeczywiste, czy były tylko tworem jego wyobraźni.

Jedynym, czego był pewien, były wyraźne słowa przeciwnika, który ponownie zaatakował, tym razem z niespodziewanej strony. Szept, a zarazem krzyk, niósł się po całym niebie; niosły go ptaki, niosły go smugi dymu.

– Żegnam, panie Brond...

Z pomocą lekkiego powiewu wiatru, promienie słońca przewyciężyły opierające im się płatki liści, i teraz z całą mocą uderzyły w twarz dawnego detektywa.

Brond przebudził się. Serce biło mu szybciej, niż kiedy ścigał al-Chemię. Cały był spocony. Odruchowo sprawdził, czy coś mu się nie stało. Był cały i zdrowy, poza dawnymi ranami na ręce i łydce. Przez chwilę słyszał ostatnie słowa snu, lecz zanim dotarł do pełni świadomości, wraz z resztą zniknęły w otchłani niepamięci.

Wstał z gęstej trawy porastającej park. Wokół niego rozlegał się przestronny szum liści. Jak za dawnych czasów, park porastało mnóstwo drzew, choć wiele z nich mogło ulec zmianie po tylu latach. W tamtych czasach Brond rzadko chodził do parku i nie był pewien, jak wiele się tu zmieniło.

Poprzedniego wieczoru, kiedy dotarł do parku, zaczynało się już zciemniać. Tamtego dnia przyszedł w poszukiwaniu kaczki. Było tu o wiele więcej ludzi, niż kiedyś, bowiem królewski park był teraz dostępny nie tylko dla uprzywilejowanych, lecz dla wszystkich. Przy wejściu nie stała żadna straż i Brond mógł zwyczajnie wejść.

Najpierw udał się do stawu pośrodku parku. To tam było najwięcej kaczek. Rozejrzał się. Kaczki były wszędzie, o różnych kolorach, małe i duże. Jednak jedna kaczka nie pasowała do reszty. Nie była taka, jak inne. Coś ją wyróżniało.

Po chwili do jednej dołączyła kolejna. Wsyłepowało u nich o wiele więcej barw, miały białe bruszki i czerwone dzioby. Rozmiarem i zachowaniem nie różniły się od zwykłych kaczek.

Zaintrygowany Brond zastanawiał się, skąd mogły się wziąć takie kaczki. Wcześniej nigdy w życiu ich nie widział. Zastanawiał się, czy mają jakiś związek ze Złotą Kaczką. Może to jej potomkowie?

Rozglądał się po całym parku, lecz nie znalazł żadnych innych nietypowych kaczek ani innych ptaków wodnych. Powoli zapadał zmrok.

Zdesperowany podszedł do jednej z barwnych kaczek i spróbował z nią porozmawiać. Pytał przyciszonym głosem, czy zna Złotą Kaczkę. Wkrótce ludzie nieopodal zauważyli jego dziwne zachowanie i zaczęli wpatrywać się w niego w podejrzany sposób. Kaczka przez chwilę zdawała się go słuchać z podniesionym dziobem, jednak już w następnej chwili odwróciła wzrok. Najwyraźniej go nie rozumiała.

Zdając sobie sprawę, że już wystarczająco się skompromitował, Brond zszedł ludziom z oczu. Wędrował chwilę i wreszcie postanowił spędzić noc w trudno zauważalnym miejscu ukrywanym przez gęste krzaczki. Noc była cicha, a chłód nie przeszkadzał. Zasnął całkiem szybko.

Teraz szedł jedną z głównych ścieżek, zastanawiając się, czy z dawnych czasów faktycznie nic mu nie pozostało.

Idąc, przypomniał sobie pewien raz, kiedy szedł tą właśnie drogą z królem Rab-Dawim i kilkoma innymi osobami. Król zebrał ich wtedy na spotkanie, trochę towarzyskie, trochę poważne. Wracając, to Brond rozmawiał z królem, a reszta trzymała się z tyłu. Naradzali się odnośnie przyszłego starcia, jakie miało wtedy nastąpić między narodami. Król wyjeżdżał na wojnę, na dłuższy czas. Pieczę nad stolicą mieli sprawować inni, między innymi Brond.

Teraz dawny detektyw szedł sam. Teraz to jego czekało wiele starć, z przyszłością, zaś pieczę nad stolicą, jak i całym państwem, miał ktoś inny, zupełnie mu nieznany. Brond postanowił już jednak, że nie będzie wplątywać się w politykę. Zawsze była skomplikowana, a w nowym świecie dochodziło tylko więcej komplikacji.

Przy wyjściu minął kilka kaczek i wróbli. Te ostatnie odleciały nieco dalej. Detektyw nie zwrócił już na ptaki szczególnej uwagi.

W wyjściu spotkał go szum pojazdów przejeżdżających nowoczesną ulicą. Poczuł się trochę jak na granicy dwóch światów, tyle że park również należał już do tego drugiego. Po drugiej stronie ulicy stały nowoczesne budynki, wysokie i precyzyjne. Brond zastanowił się przelotnie, czy ta idealność nie działała komuś na nerwy. Ruszył chodnikiem z kostki brukowej, zrobionym na styl dróg z jego czasów, w pewnym sensie stanowił więc swoistą granicę starego i nowego. Obok niego przechodzili ludzie, każdy zajęty swoimi sprawami, nie zwracający uwagi na mijają-

nych przechodniów. Brond zapewne również stałby się obojętny na przechodzące osoby, gdyby nie instynkt detektywa.

Instynkt kazał mu patrzeć uważnie. I nie mylił się.

W pewnej chwili zauważył, kogo mija. Mimo zgodnego z otoczeniem ubrania i krótszych włosów, rozpoznałby go wszędzie po charakterystycznych bliznach widniejących na jego twarzy.

Nasir też uświadomił sobie, obok kogo przechodzi, lecz dopiero po minięciu detektywa.

– Tu jesteś! – Brond wyjął nóż i odwrócił się, atakując.

Nasir ledwie zdołał go uniknąć. Szok na jego twarzy prędko zastąpił gniew. W tej samej chwili wyjął własny nóż.

Zaskoczeni ludzie zatrzymali się bądź uciekli od walczących. Niektórzy nawet zareagowali krzykiem.

To na chwilę odwróciło uwagę Bronda, jednak nie na tyle, żeby nie mógł cofnąć się przed ciosem.

Stali teraz dwa kroki od siebie, wpatrując się w siebie z wyczekiwaniem. Brond nie miał ochoty na rozmowę. Najchętniej wykończyłby al-Chemię na miejscu.

Ciął od boku, ale nie trafił. Nasir ze wściekłością wpatrywał mu się w oczy. Brond skupił się na trafieniu w łokieć i zaatakował od góry.

Tym razem Nasir złapał go za rękę i miał już zaatakować, kiedy Brond złapał jego rękę z nożem. Ostrze detektywa znajdowało się centymetry od twarzy wroga. Obydwaj dyszeli ze wściekłości.

Wreszcie Nasir kopnął Bronda, wydostając rękę z bronią. Detektyw wykonał unik przed niezbyt dobrze wymierzonym atakiem, i sam zaatakował. Jego atak też był dość spontaniczny. Nasir złapał go drugą ręką i wytrącił ostrze z dłoni.

Następny cios był dość niedokładny i łatwy do uniknięcia. Tuż po nim, al-Chemia rzucił się do ucieczki. Biegając, zaczął krzyczeć wniebogłosy:

– Taxi!!!

Brond nie tracił czasu na podniesienie noża. Wyjął drugi i cisnął w stronę nóg uciekającego. Nóż ciał go w łydkę i upadł obok.

Nasir zawył i odwrócił się w stronę podnoszącego pierwszy nóż detektywa. Nie patrzył jednak na niego, lecz na coś za nim. Kiedy detektyw zaczął biec w jego stronę, wyprzedził go czarny pojazd. Nasir bły-

skawicznie otworzył drzwi i wpadł do środka. Brond złapał drzwi, które już prawie się zamknęły.

– Jedź!! – wrzasnął Nasir do kierowcy.

W tej chwili samochód ruszył do przodu i Brond puścił drzwi, które zamknęły się z trzaskiem.

Detektyw zaklął siarczyście. Już miał go w rękach. Uciekinier już byłby martwy, gdyby nie nowoczesna technologia.

Nagle uświadomił sobie, że wokół bylstali inni ludzie. Teraz zaskoczeni uciekali lub zachowywali odległość. Niektórzy trzymali telefony w rękach na wysokości twarzy.

– To przestępca! Morderca! – zaczął tłumaczyć Brond. – Niech ktoś coś zrobi, żeby go złapać!

Niektórzy stali w miejscu. Niektórzy cofali się, zapewne mu nie wierząc lub bojąc się interweniować. Inni mówili z telefonem przy uchu. Nie wyglądało na to, żeby ktoś miał mu pomóc.

Zdenerwowany detektyw nie wiedział, co robić. Przestępca już uciekał i pieszo by go nie dogonił. Spojrzał na przejeżdżające pojazdy.

Wreszcie również wziął taksówkę.

VI

Dzień był piękny, słoneczny. Ruch na ulicy był mniejszy, niż zwykle. Promienie słońca odbijały się od szyby taksówki.

Taksówkarz Marin, ze wzrokiem skupionym na ulicy, podziwiał otoczenie. Właśnie przejeżdżał obok parku. Widok spokojnej natury odpowiadał względnemu spokojowi na ulicy. Zielonymi liśćmi powiewał lekki wiatr, który taksówkarz zaprosił do pojazdu lekkim osunięciem szyby.

Jadąc tak i patrząc przed siebie, nagle zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Niedaleko przed nim, na chodniku pojedynkowało się dwóch mężczyzn. Jeden zaczął uciekać i nagle głośno zawołał taksówkarza.

Nie było na co czekać. Marin podjechał na krawędź ulicy i zatrzymał się. Uciekający człowiek wszedł i zaczął zamykać drzwi, lecz nie udało mu się. Zanim taksówkarz zdążył cokolwiek powiedzieć, pasażer krzyknął:

– Jedź!!

W tym momencie Marin pojechał. Przed siebie.

Rozsądek wrócił do niego dopiero, gdy dojechał do skrzyżowania.

– Gdzie jechać? – spytał zdezorientowany.

– Jak najdalej stąd – odparł pasażer, po czym po chwili dodał: – Wyśadź mnie gdzieś koło najbliższej stacji metra.

Taksówkarz nie przypominał sobie, żeby pozwolił do siebie mówić na „ty”. Mimo to skręcił i jechał dalej. Skup się na drodze, myślał.

Skręcili jeszcze raz i wkrótce znaleźli się w gęściej zabudowanym miejscu. Kierowali się w stronę centrum miasta. W lusterku Marin zauważył, że pasażer rozgląda się dookoła. Co jakiś czas też syczał i wydawał ciche jęki. W pewnej chwili złapał się za nogę.

– Czy coś panu dolega? – spytał taksówkarz, po czym natychmiast się skarcił w myślach. Skup się na drodze.

– Nie. Jedź dalej! – odparł dość niemiłym tonem pasażer.

Marin posłusznie nie przestawał jechać.

Pasażer co chwila dalej syczał. Coś musi go boleć, myślał Marin, skupiając się na drodze. Może coś mu się stało w pojedynku?

– Może powinienem zawieźć pana do szpitala?

– Nie trzeba! Jedź szybciej!

Taksówkarzowi nie spodobało się zachowanie pasażera, lecz rozumiał, że coś wywoływało u niego to zdenerwowanie, a pewnie też ból. Nie zamierzał interweniować w nie swoje sprawy. W końcu musi skupić się na drodze.

Minęli kolejne skrzyżowanie i mimo wszystko zaczął myśleć o sprawie pasażera. Dlaczego walczył z tym drugim człowiekiem? O co poszło? To wyglądało na poważną walkę, nie jakąś bijatykę. Pasażer był spocony. Jego nieprzyjemny zapach wypełnił całą taksówkę, i Marin był pewien, że nie był to tylko zapach potu.

W pewnej chwili pasażer uniósł nogę. Nie było wątpliwości.

– Pan jest ranny!! – wykrzyknął taksówkarz.

– Nie twoja sprawa, matole. Skup się na drodze!

Taksówkarz nie zwrócił nawet uwagi na obrazę, bo drugie zdanie zlało się z jego myślami. Jednocześnie musiał silnie zahamować. O mało nie uderzył w samochód!

– Dostyc tego – pasażer już nad sobą nie panował. Otworzył drzwi i wysiadł.

– Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt – wyrwało się Marinowi.

– Chciałeś mnie zabić, a teraz jeszcze chcesz zapłaty? Wal się. – Pasażer z jękiem wy dostał krwawiącą nogę z pojazdu.

– Należy się dwadzieścia dwa pięćdziesiąt – powtórzył już z naciśnięciem Marin. – Inaczej zawiadomię odpowiednie służby.

– Masz, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści! – pasażer niemal pisał, rzucając pieniądze na tylne siedzenie. – Zostaw mnie w spokoju.

Z tymi słowami zatrzasnął drzwi i uciekł.

*

W pokoju było całkiem ciemno. Jedyne oświetlenie stanowiły promienie słońca lekko przebijające się pod zasłonami oraz lampka stołowa z abażurem stojąca na biurku, przy którym siedział wąsaty mężczyzna, przeglądając stronę tytułową gazety.

Ciszę zakłóciła druga osoba wchodząca do środka.

– Pan Nasir życzy sobie rozmowy.

– Pan Nasir jest mile widziany. Zapraszam – odparł przemiłym tonem mężczyzna z wąsem, opuszczając wzrok z gazety.

Za gościem podążały dwie osoby z bronią. Przystanęli tuż za nim. Poprzednia osoba opuściła pokój.

Szybko po oficjalnych powitaniach wąsaty człowiek zaczął, nie zmieniając tonu głosu, przyjaznego i wiecznie spokojnego:

– Przyjacielu, jesteś tu mile widziany, ale nie nadużywaj mojej gościnności. Pamiętaj, że nie zasłużyłeś sobie jeszcze na miano przyjaciela rodziny. Czy sprowadza cię coś ważnego?

– Otóż tak. – Przybyły nie starał się o takt. Wskazał na zasychającą już krew na nodze. – Przed chwilą ledwie uszedłem z życiem. Jestem ścigany przez tego Bronda. Jest uzbrojony i niebezpieczny. Gdyby nie taksówka...

– Ależ spokojnie. Doskonale rozumiem pana problemy – zapewnił wąsaty człowiek.

– Nie wydaje mi się. To wszystko mnie przerasta. Załatwcie Bronda albo dajcie mi ochronę. Sam nie mogę się poruszać po mieście.

Ludzie z tyłu dali znak, że są gotowi zatrzymać przybysza.

– Nie widzę potrzeby, aby używać panu moich ludzi. – Starszy człowiek starannie dobierał słowa. – Uważam, że istnieją mniej drastyczne sposoby na rozwiązanie sprawy, które nie przyniosą niepotrzebnego zamętu.

– Nie ma na co zwlekać – warknął przybyły. – Zlikwidujcie go natychmiast!

Strażnicy złapali gościa, który wydawał się tracić nad sobą kontrolę. Wąsaty starzec dał im znak i puścili go.

– Panie Nasir. Nie jesteśmy zbójcami, o których mógłbyś pomarzyć. Nie usuwamy ludzi na prawo i lewo. Robimy to tylko wtedy, kiedy nie mamy innego wyjścia.

– Rozumiem – odparł po chwili przybysz spokojniejszym głosem. – Tylko co mam zrobić? Prędzej czy później mnie dopadnie, jeśli tu zostanę.

– Niech się pan nie martwi. Nie będzie pan musiał uciekać z miasta. Zawiadomimy odpowiednie osoby, które uciszą problem tak bardzo, jak będzie to możliwe, z korzyścią dla wszystkich.

– Dobrze – odparł Nasir. – Oby to nie zajęło zbyt wiele czasu. Tym dłużej ten człowiek pozostaje na wolności, tym gorzej dla nas obu.

– Zapewne ma pan rację, panie al-Chemia. Rozważę, czy zagrożenie jest realne i zdecyduję, czy należy podejmować się poważniejszych kroków. A tymczasem może się pan nie martwić o swoje zdrowie.

Po tych słowach przybysz podziękował i pożegnał się, po czym został odprowadzony do wyjścia. Średnio oświetlony pokój zaszczyliła ta sama osoba, która informowała o nadejściu przybysza.

– Nasz nowy znajomy przysparza nam tylko problemy – powiedział nowo przybyły. – Czasem myślę, że o wiele łatwiej by było, gdybyśmy pozbyli się jego, a nie jego problemów.

– Może i Nasir jest dość uciążliwy – przyznał starszy – lecz są powody, żeby zostawić go przy życiu. W końcu wiadomo nam tylko o dwóch przybyłych, prawda?

– Zgadza się.

– A więc nie widzę przeciwwskazań, aby działać przeciw interesom, które są w zgodzie z naszymi. Jeśli zagrożeniem faktycznie jest jeden człowiek, sprawa powinna się rozwiązać najpóźniej do jutra.

*

Kakao było dla Bronda czymś nowym. Dawniej nie słyszał o podobnym napoju, a tym bardziej o smaku. Teraz popijał je, wpatrując się przez szeroką szybę lokalu w przejeżdżające po drodze pojazdy.

Przed kilkoma godzinami jechał jednym takim. Było to niesamowite doświadczenie i Brond stwierdził z przekonaniem, że kiedy zaznajomi się już z nowym światem, postara się o własne auto. Będę mógł nim pojechać gdziekolwiek zechcę, pomyślał.

Pościg za Nasirem skończył się na niczym. Kiedy docierali do jednego ze skrzyżowań, taksówka z Nasirem właśnie zawracała i skręciła w innym kierunku, lecz ściganego nie było już w środku. Dawny detektyw zapłacił i wyszedł z pojazdu, próbując go jeszcze znaleźć, lecz przecho-dzenie przez pasy było czasochłonne i zmniejszyło szansę, że biegnie we właściwą stronę. Po kilku minutach nie miał wątpliwości, że zbieg znów uciekł. Z tym, że został poważnie ranny. Jednak znając przestępców ze swoich czasów, Brond domyślał się, że Nasir zaszyje się gdzieś teraz i już nigdy o nim nie usłyszy ani go nie zobaczy, a obcość nowego miasta

(a także świata) nie napawała go optymizmem. Po tej bójce równie dobrze mógł zdecydować się uciec z miasta.

Brond wypił kolejny łyk kakaa. W tej samej chwili ktoś usiadł w krześle naprzeciwko. Gdy Brond opuścił kubek, mężczyzna patrzył mu w oczy. Miał mocno opaloną skórę i krótkie ciemne włosy. Wyglądał, jakby łyślał, lecz z pewnością nie dlatego właśnie wpatrywał się w dawnego detektywa.

– Taksówka zawiodła, co? – spytał na tyle cicho, żeby inni nie usłyszeli, lecz na tyle głośno, żeby nie musieć się powtarzać.

Bronda zaskoczyła taka konfrontacja, lecz zachował zimną krew. Biorąc pod uwagę ludzi z telefonami, nie trzeba było nawet być na miejscu, aby dowiedzieć się o walce.

– Owszem – odparł Brond, odpowiadając tym samym pokerowym spojrzeniem.

Faceta z opaloną skórą najwyraźniej rozśmieszyła ta odpowiedź, okazał to jednak tylko śladowym uśmiechem. Nie doczekawszy się dalszej reakcji detektywa, kontynuował:

– Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że bójka nie uszła uwadze zwykłych ludzi, przechodzących ulicą...

Brond patrzył z wyczekiwaniem.

– ... lecz nie znam człowieka, który by czekał, aż policja przyjedzie go zgarnąć, popijając kakao na widoku.

Zaskoczony wyraz twarzy stanowił wystarczającą odpowiedź.

– Właśnie tak. Sam nie wiem, jak to się stało, ale policja ściga pana już teraz. – Ostatnie słowo wypowiedział z naciskiem. – Lepiej się zwinąć. Nie wiem, po której jest pan stronie. Jak pan widzi, sporo ryzykuję, pomagając panu.

– Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę?

– Udowodnię to panu. Ale teraz chodźmy.

Nie mówiąc nic więcej, wstał i wyszedł, nawet się nie oglądając. Zapewne chciał sprawić wrażenie, że Brondowi nie spodobało się, cokolwiek miał do zaoferowania ten człowiek, aby nikt w otoczeniu nic nie podejrzewał. To przynajmniej było jedyne logiczne wytłumaczenie, na jakie później wpadł detektyw.

Dopiwszy kakao, wstał i nie wzbudzającym podejrzeń krokiem opuścił lokal. Tajemniczy facet czekał na niego kilka kroków dalej. Na dro-

gę padały ostatnie promienie słońca, miasto było teraz odrobinę cichsze, niż po południu. W milczeniu podążyli chodnikiem. Szli szybkim krokiem, ale nie biegli.

Brond przez chwilę szedł zamyślony, po czym przerwał ciszę:

– Musiał pan długo podążać moim śladem.

– Koło trzech godzin – odparł, nie zmieniając tonu głosu, choć wewnątrz musiał być pełen satysfakcji. Brond zauważył, że wcześniej spojrział na niewielką obrączkę na jego prawej dłoni. Znajdowała się tam tarcza z cyferkami. Brond przypomniał sobie, jak Henk wspominał, co oznaczają cyferki w górnej części ekranu telefonu. Na zegarku widniały cyfry „21:47”. Były też inne, mniejsze cyfry i literki, których detektyw nie zrozumiał.

Idąc, facet wyciągnął papierosa i zapalniczkę. Ruchem dłoni zasugerował, że może jednej użyć Brondowi, ten jednak odmówił lekkim ruchem głowy.

– Też uważam, że ktoś macza w tym palce. – Brond nie pamiętał, żeby facet wcześniej go o to pytał. – W dzisiejszych czasach policja jest zbyt leniwa, żeby gonić każdego obywatela, który wszczyna bójkę, zaledwie kilka godzin po wydarzeniu. Inaczej mogłoby być po mnie. – Brond z podejrzeniem zerknął na faceta, który właśnie puszczał dym z ust. – Wyobraźnia źle panu podpowiada, to nie było żadne wielkie przewinienie. Choć musiałem się przeprowadzić. Dwa razy. Szczęście panu sprzyja, bowiem moje nowe mieszkanie znajduje się całkiem niedaleko, i wynajmuję je od zaledwie dwóch miesięcy.

Facet zaczynał się rozgadywać. Mając duszę detektywa, Brond nie zamierzał przeszkadzać, wierząc, że powie mu coś więcej, ale na tym się skończyło.

– Zatem ukrywa się pan przed policją – odparł Brond, a w myślach dodał: „Jako detektyw powinienem pana zatrzymać”. Tylko że nie był już detektywem, a co gorsza nie miał środków, aby utrzymać drania w niewoli. Zamiast tego wczuł się w swoją rolę. – I proponuje mi pan pomoc. Jak na moje oko, jest tu co najmniej o jednego zbiega za dużo.

Słuchając go, facet znów się zaciągnął, po czym odparł:

– Nie licz pan na jakąś współpracę. Już dostatecznie złamałem swoje zasady, darząc pana zaufaniem. I chyba odrobinę rozluźnił mi się język.

– Skręcił w lewo. – Mogę tylko zaoferować azyl na kilka dni. Nic więcej.

Na tym rozmowa się skończyła. Wkrótce facet dotarł do budynku, który był niczym nie wyróżniającym się szarym blokiem mieszkalnym. Ostatnie promienie słońca zniknęły za jego niskim dachem.

Patrząc na ilość okien i balkonów, Brond po raz pierwszy uświadomił sobie, że niektórzy ludzie właśnie w ten sposób teraz mieszkają. W wielkich blokowiskach o całkiem niewielkich pokojach. Nie uznał tego za nieludzkie, ale był pewien, że jemu takie życie by nie pasowało. Nie zamierzał się tu zatrzymywać na długo.

Zastanawiał się, czy coś powiedzieć, ale facet bez słowa wystukał jakiś kod i otworzył drzwi, po czym, wyrzuciwszy papierosa, poprowadził dawnego detektywa po schodach na trzecie piętro. Oświetlenie było najgorsze, ale Brond był pewien, że podczas wchodzenia po stopniach facetowi wypadło kilka włosów.

Wreszcie facet otworzył drzwi pokoju numer 34 i przepuścił detektywa.

– Witam w mojej dziupli – mruknął.

Pokój był niewielki, ale na tyle duży, żeby pomieścić się w nim fotel, telewizor na niewielkiej komodzie naprzeciwko, szafka i troje drzwi, nie licząc wejściowych. Za fotelem było okno z balkonem oraz drzwi. Pozostałe dwoje drzwi mieściło się w głębi pokoju. W pomieszczeniu panował nieprzyjemny zapach, spowodowany nie tylko papierosami.

Brond nawet temu się nie przyjrzał, bo tuż po zamknięciu drzwi facet wpatrzył się w niego.

– Na początek kilka spraw. Nie mogę użyczyć komuś swojego pokoju, nie wiedząc, jak się nazywa.

– Jestem Brond – oświadczył Brond.

– To nazwisko czy imię?

Uczucie, o którym Brond już zapominał – że świat stanął mu do góry nogami – właśnie powróciło. Potem przypomniał sobie, jak oglądał drzewko genealogiczne w „Inn Validzie”, i zrozumiał.

– Po prostu tak się nazywam. Brond z Maka Bonk.

Facet popatrzył na niego podejrzliwie, ale najwyraźniej zaakceptował taką odpowiedź.

– Niech będzie. W takim razie ja nazywam się Denil. Z zadupia.

W takich okolicznościach podali sobie ręce. Brond zdecydował się nie dociekać, z jakiego „zadupia” jest Denil, zaś on kontynuował:

– Sprawa numer dwa: po wszystkim zostawi mi pan sto premów. Na razie jasne?

– O ile faktycznie mnie ścigają – odparł Brond.

– O tym zaraz się pan przekona. – Danil podniósł z fotelu pilota, który dla Bronda był tylko szarym kijkiem, usiadł na niej i nacisnął czerwony przycisk.

Ekran naprzeciwno zamigotał i pokazał kanał informacyjny. Facet coś mruknął i wcisnął jeszcze kilka przycisków. Wyświetlił się szary prostokąt z listą zatytuowaną „powtórki”, z której Denil wybrał jeden z wyższych elementów.

Na ekranie wyświetlał się teraz ten sam kanał informacyjny z niebieskim paskiem i tą samą kobietą, która Brondowi wydała się ładna, choć sam nie wiedział dlaczego, tyle że tym razem na krawędzi paska widniały cyferki „14:35”.

Kobieta zaczęła coś mówić, ale Denil przewinął do przodu, aż pokazało się nagranie z telefonu przechodnia przedstawiające chwilę, w której jeden człowiek próbuje zaatakować drugiego, po czym rzuca się do ucieczki. Wokół panowała napięta atmosfera, bardziej niż zapamiętał to dawny detektyw.

Bronda nie tyle zdziwiło to, że tak szybko pojawił się w telewizji, ile to, że po raz pierwszy widział siebie od zupełnie innej perspektywy. Z wrażenia opadła mu szczęka, co nie uszło uwadze Denila. Po chwili kliknął przycisk i w momencie, gdy Brond rzucał w Nasira drugim nożem, wszystko znieruchomiało. Skupiona twarz Bronda, zdesperowany Nasir i nóż wiszący w powietrzu. Zwłaszcza to ostatnie wywarło na dawnym detektywie jeszcze większe wrażenie.

Chciał coś powiedzieć, ale początkowo nie wydobył z siebie słów.

– W telewizji twierdzą, że to pan był atakującym, i wszystko wydaje się z tym zgadzać – rzekł Denil. – Ale nie pasuje mi tu kilka szczegółów. Pomijając, że ten drugi też miał przy sobie broń, początkowo walczył z równą zaciekłością. Ja na jego miejscu od razu bym uciekł, z bronią czy bez. Wniosek jest prosty: obaj chcecie ze sobą skończyć – popatrzył Brondowi w oczy. – Ale w przeciwieństwie do pana, jego twarz jest pokryta bliznami. Na pierwszy rzut oka nagranie jest słabe, ale wystarcza-

jąco wyraźne, żeby to zauważyć. Za to pańska rana na nodze jest całkiem świeża. – To ostatnie wywnioskował już, patrząc na obecny stan nogi, która nie potrzebowała już opatrunku.

Gość jest sprytniejszy, niż się wydaje, pomyślał Brond, dochodząc do siebie.

– Rzadko spotykam ludzi, którzy chodziliby po mieście z nożami w gotowości. Czy też w ogóle. To wygląda na grubą sprawę. A ja nie mam przy sobie broni. – Oparł się na fotelu, ukazując puste dłonie.

– Jak już pan powiedział, sporo pan ryzykuje, panie Denil... z „zadupia”.

Denil parsknął.

– Doprawdy, ciekawy z pana człowiek.

– Z pana również, prowadząc nieznanego z nożem do domu i bezbrinnie proponując azyl za pieniądze.

Denil znów się zaśmiał, lecz szybko się zreflektował.

– Mniejsza z tym – machnął ręką. – Zanim się tu udomowisz, bracie zbiegu, powiedz mi o tym drugim człowieku. Co między wami zaszło?

Brondowi nie spodobało się określenie „brata zbiega”. Nie miał też pomysłu na wiarygodną wersję wydarzeń, ale musiał coś odpowiedzieć.

– No? – ponaglił Denil. – Tylko żadnych wersji „na poczekaniu”.

– A byłbyś w stanie uwierzyć, że ścigam go, bo jest odpowiedzialny za autentyczne moderstwo? Albo nawet kilka?

– Brzmi dość niezwykle, ale pewnie tak.

– A gdybym ci powiedział, że w poprzednim wcieleniu byłem detektywem i tropiłem złoczyńcę, któremu on pomagał?

Denil podrapał się po brodzie. Przez chwilę Brond miał wrażenie, że autentycznie w to wierzy.

– To byłoby trudniejsze. Nawet jeśli poprzednie wcielenia to nie bzdura, jak byłeś w stanie go rozpocząć?

Chwila milczenia.

– Był tą samą osobą – wzruszył ramionami Brond. – Ta sama twarz, ten sam głos, to samo...

– Dobra, dobra, już rozumiem – przerwał Denil. – W innym mieście byłeś detektywem, ale wylali cię z pracy czy coś, pewnie za spapraną akcję, ale się nie poddałeś i ścigałeś gościa aż tutaj. Nie chcesz powie-

dzieć, gdzie to było, bo pewnie chcesz rozstać się z przeszłością, czy coś. To chcesz mi przekazać?

Racja. Nie ma po co drążyć tematu.

– Jasne – odparł Brond, mając nadzieję, że w jego głosie nie po-
brzmiewa niepewność.

– ... I sprawa tak szybko się rozeszła, bo w tym drugim mieście coś
przeskrobałeś? I już wiedzą, kim jesteś?

– To całkiem prawdopodobne. – Brond zaczynał nabierać ochoty,
żeby uwierzyć w tą wersję, bo wyglądało na to, że Nasir całkiem szybko
coś wykombinował. Zanim mógł pomyśleć, co, Denil przerwał jego roz-
myślenia:

– Skoro jesteś detektywem, a on prawdziwym mordercą, to czemu
choć jeden z was nie ma przy sobie broni palnej?

Brond nie znał tego pojęcia. I tu facet z opaloną skórą i łysiejącą gło-
wą przyjął to samo poważne spojrzenie, którym obdarzył dawnego de-
tektywa w lokalu, w którym popijał kakao. Towarzyskiego, wygadanego
Denila znów zastąpił obcy, nie zdradzający uczuć facet.

– To niezbyt miłe, panie Brond. – Wrócił do formy „pan”. – Ja pana
przestrzegam, proponuję panu azyl, a pan jeszcze mnie okłamuje? Czym
sobie na to zasłużyłem?

Siedzenie na fotelu nie było już odpowiednie, więc wstał. Ciasny po-
kój powodował, że stali ledwie dwa kroki od siebie.

– Hm? – dodał. – Boi się pan, że pana wydam? Równie dobrze pan
mógłby wydać mnie. Oczekuję rekompensaty. Lepiej bądźmy kwita.

Brond westchnął.

– Racja. Nie jestem z innego miasta. Próbowałem to dla pana upro-
ścić, bo prawda jest nieco trudniejsza.

– Ach tak. – We wzroku Denila nie było zdenerwowania, a zniecier-
pliwienie. Jakby chciał dać znać, że wszystko mogło potoczyć się ła-
twiej. Brond był pewien, że ten człowiek mógłby pracować w branży de-
tektywistycznej.

– Samemu trudno mi w to było uwierzyć, ale dostatecznie wiele już
widziałem, żeby tak się stało – zaczął Brond, drapiąc się po głowie. De-
nil słuchał z uwagą. – Tak naprawdę obaj znaleźliśmy się tu przez przy-
padek... chociaż Nasir, ten drugi, pewnie uznał to za jedyne rozwiąza-

nie, jakie mu zostało. Stało się to za sprawą czegoś, co nazywał „Studnią Aghroru”.

Denil zmrużył oczy, a po chwili głośniej westchnął, jakby przypuszczał, że może go czekać kolejne zawiedzenie.

– On może to potwierdzić – zapewnił Brond. – Widziałem księgę na ten temat, ale została tam... po drugiej stronie.

– Aha, rozumiem. Czyli nie chodziło o wcielenie, tylko o portal? – Brond w duszy odetchnął z ulgą. – Bramę między światami?

– Owszem. Nie spodziewałem się, że takie coś może istnieć, ale właśnie w ten sposób znalazłem się tutaj. To dlatego nie wiedziałem o „nazwisku”, „broni palnej” i tym podobnych rzeczach.

Denil uniósł brwi, słysząc wyznanie w głosie dawnego detektywa.

– Brzmi dość niezwykle. Gdybyś tylko mógł mi pokazać...

– Niestety to niemożliwe – przerwał Brond. – Studnia była w grocie, a ta zawaliła się, kiedy biegłem za Nasirem. – Denil westchnął ze zdenerwowaniem. Brond zaczął mówić bardziej do siebie, niż do faceta przed nim: – Zaczynam myśleć, że specjalnie to tak ustawił. Wcześniej wylał tę substancję z kotła, i musiała mieć jakiś wpływ na wodę, bo wcześniej Studnia nie działała. Widocznie chciał się udać jak najdalej od czasów, w których mogliby go rozpoznać...

– Do licha – odparł Denil, najwyraźniej nie słuchając. – Chyba nie pomagam uciekinierowi ze szpitala dla obłąkanych? A już na pewno nie powiem tak władzom, jeśli się tu przypadkiem znajdą.

Rozległ się trzepot na balkonie. Brond wcześniej tam nie patrzył, więc nie zauważył ptaka, dopóki nie odleciał. To mogła być jedna z tych barwnych kaczek. Denil stał tyłem do balkonu i nie zwrócił na to uwagi.

– Wprawdzie nie wygląda mi pan na obłąkanego, ale... portal między światami w zawalonej grocie? To niepojęte na zdrowy rozsądek.

– Tak jak mówię, sam bym w to nie uwierzył. – Nie zamierzał wspominać o kaczce mówiącej w ludzkim języku ani o wylewaniu krwi do stawu w akcie, jak to określiła Złota Kaczka, fanatyzmu religijnego. – Jeszcze kilka dni temu wiodłem zwyczajne życie, z którego nagle przeniosłem się tutaj.

Denil westchnął.

– Dobra, wystarczy tego chłamu – machnął ręką. – Powiedzmy, że ci wierzę. Gdyby jakimś cudem znalazła się tu policja, jesteś moim kuzy-nem i przyjechałeś w odwiedziny na kilka dni. Wszystko jasne?

Oświetlenie nie było najlepsze, ale Brond był pewien, że w ciągu rozmowy facetowi wypadły co najmniej trzy kolejne włosy.

– Jasne – odparł.

– Śpisz tam – wskazał drzwi do sypialni. – Ja i tak zawsze śpię w fo-telu, więc się nie przejmuj.

Przed zaśnięciem Brond wstąpił jeszcze do łazienki. Była jeszcze mniejsza, niż salon. Na wąskiej szafeczce stał środek na łysienie i grze-bień. W niewielkim koszu obok znajdowały się dwa inne środki, które zdesperowany Denil uznał za nieskuteczne. Bronda z początku zaintry-gowała kabina, ale po mokrej wodzie na podłodze domyślił się, do czego służy.

Po chwili kombinowania z prysznicą trysnęła zimna woda. Brond krzyknął (co Denil, jeśli to usłyszał, mógł uznać za kolejny dowód, że detektyw mówił prawdę) i wyłączył ustrojstwo. Po chwili już zachwyco-ny wynalazkiem mył się w ciepłej wodzie.

Denil raczej nie miałby nic przeciwko, gdyby gość skorzystał z jego ręcznika. I grzebienia. Brakowało suszarki, ale dla Bronda i tak było to kolejne nieznanne ustrojstwo.

Sypialnia była niewiele większa. Jedyne okno, małe i położone zbyt wysoko, by przez nie spojrzeć, nie dodawało komfortu, ale dawnemu de-tektywowi to wystarczało. W końcu jego stara chatka była niewiele lep-sza – nigdy nie pozwalał sobie na luksusy, upodabniając się do otocze-nia, w jakim pracował. Rzucił plecak obok szafki nocnej, nakrył się koł-drą i po raz pierwszy w nowym świecie usnął szybko i wygodnie.

VII

Rano wstał wypoczęty. Tej nocy żadne koszmary go nie nawiedziły. Instynkt podpowiadał mu, żeby określić porę dnia, a małe okienko nie pomagało w określeniu pozycji słońca, więc natychmiast wyszedł z pokoju.

W świetle dnia stopień zakurzenia salonu jawnie wskazywał na to, że Denil nie zaprzętał sobie głowy sprzątaniami, odkąd się tu wprowadził dwa miesiące wcześniej. Sam wynajmujący siedział w fotelu i nawet nie rzucił okiem na nowego współlokatora. Gapił się znudzonym wzrokiem w ekran, na którym wyświetlana była powtórka gry, w której ludzie biegali za piłką po polu z dwoma bramkami. W jednej dłoni trzymał pilot, jakby obawiał się, że ktoś mógłby mu go odebrać. Drugą badała wnętrza torebki z krakersami. Sprawiał wrażenie, jakby patrzył na ekran z obowiązku.

Uświadomiwszy coś sobie, Brond rozejrzył się po mieszkaniu.

– W tym domu nie ma kuchni?

– Była – Denil wskazał telewizor pilotem. – Kwestia priorytetów.

Brond zmrużył oczy w namyśle.

– Jadłeś chociaż coś porządnego?

Denil mruknął pod nosem coś, co mogło brzmieć jak „Nie widzisz?”. Ekran w tej chwili bardziej przyciągał jego uwagę; nawet westchnął ze zdenerwowania, kiedy Brond przemknął mu przed twarzą, kierując się do wyjścia. Kiedy Denil wreszcie znalazł ukrywającego się krakersa, Brond zobaczył, że na jego zegarku widnieją cyferki „10:48”. Nie wiedział, co to dokładnie oznacza, ale wychodząc z szarego bloku, zrozumiał, że zbliża się południe. Nieźle przysnął.

Tego dnia, jak i przez kilka następnych, zamierzał lepiej zapoznać się z miastem, i poszukać jakichkolwiek informacji o Nasirze. Liczył na to, że pozostał on w mieście, a poza tym była to zapewne jego ostatnia robota do wykonania jako detektyw. Nie znał żadnych miejsc, do których mógłby wstąpić jego wróg, a do zawalonej groty raczej nie zamierzał wracać. Przelotnie pomyślał o przesłuchaniu taksówkarza, który przewiózł wroga, lecz nie był pewien, czy uda mu się go znaleźć – pamiętał tylko jego twarz, kiedy skręcał, i to nienajlepiej. Tego samego

dnia zamierzał pójść do banku. Poza tym poodwiedza jakieś restauracje i pozna nowe jedzenie.

Nie wszystko jednak miało być tak łatwe, jak się tego spodziewał.

*

Wans wstał cztery godziny wcześniej. Zwykle dawał sobie jeszcze chwilę odpoczynku, lecz w mieście pojawiło się nowe niebezpieczeństwo i trzeba było złapać drania, żeby pokazać, jak dobrze sobie radzi jako komendant policji Maka Bonk. Odkąd awansował, ilość zbirów spadła, według statystyk. To z pewnością jego zasługa – w końcu nie tylko kieruje policją, ale też osobiście uczestniczył w kilku akcjach złapania oprychów, porywaczy i innych przeciwników prawa. Ze względu na jego funkcję miał duży wpływ na morale całej policji.

Śniadanie przygotowywał sam. Jego żona wstawiała później, a on musiał wcześniej wychodzić z domu, żeby nie zaniedbać swoich obowiązków. Zjadł dwie pożywne kanapki i wypił kawę. Przypomniawszy sobie, jak jego sąsiad, Kalin, opowiedział mu kiedyś o swoim kuzynie, który miał plantację kawowca w górach na południu Premorii. Ciekawe, czy kawa stamtąd mogła docierać tutaj i czy kiedyś ją pił. Kalin twierdził, że jego kuzyn zna się na produkcji kawy jak nikt; sam kiedyś miał szansę spróbować jego kawy i ponoć była znakomita. W przyszłe lato jego rodzina zamierzała go odwiedzić, i Wans pomyślał, że weźmie wtedy urlop na tydzień lub dwa i odwiedzi nieznane mu góry południa.

Na razie nie myślał jednak o tym zbyt wiele, bo miał o wiele pilniejsze sprawy. Założył mundur komendanta, z którego był bardzo dumny, i na sekundę spojrzawszy w lustro. Oprócz obciętych na wysokość brody brunatnych włosów miał okazałego wąsa, z którego był szczególnie dumny. Inni policjanci z pewnością mu go zazdrościli. W końcu był twarzą policji Maka Bonk.

Założył ciemnoniebieską czapkę z daszkiem, na której widniały wyraźne białe litery „PRAWO TO JA”.

– Prawo to ja – powiedział do lustra, po czym wytknął palec, dodając: – Uważaj, przystojniaku, bo cię aresztuję za tego wąsa.

Usatysfakcjonowany, poszedł do zaparkowanego w garażu auta i wyjechał na zieloną od drzew ulicę Brzozową.

Godzinę później to samo auto zajęło przed komisariat policji Maka Bonk. Szaro-błękitny budynek o szerokich oknach zapewne nie wyróżniałby się, gdyby nie duży, czerwony napis „POLICJA” na białym tle nad schodami wejściowymi. Wans zawsze był zwolennikiem dużych czerwonych napisów. Jasno dawały do zrozumienia, z czym ma się do czynienia.

Komendant pokonał pięć kamiennych stopni dzielących go od wejścia i wszedł do środka.

Wnętrze budynku zaczynało się od wąskiego korytarza, a kończyło się windą i schodami prowadzącymi na wyższe piętra. Komendant pracował na parterze, tak aby w momencie, w którym rozkręcała się jakaś gruba akcja, mógł szybko zareagować. Według Wansa, to właśnie szybka reakcja czyniła policję groźną i gwarantowała bezpieczeństwo w mieście. Ludzie musieli się bać, aby przestrzegać prawa. A kto pilnuje tu prawa?

– Dzień dobry, panie komendancie – odezwał się ktoś przechodzący obok. – Fajna czapka.

– Oczywiście – odrzekł Wans, tak jakby mijający go policjant oświadczył fakt.

Komendant wszedł do swojego biura i zrzucił kurtkę na fotel, po czym rozparł się na nim i włączył służbowy komputer.

– Zobaczmy, kto dziś nam nabroił... – mruknął, gdy ekran zamigał po wpisaniu hasła.

W pierwszej kolejności zajrzał pod raporty. Jak się okazało, już dzisiaj faceci z drogówki zatrzymali cztery pojazdy, i w trzech z czterech przypadków skończyło się to mandatem. Dwa przekroczenia prędkości i jedno zderzenie. Póki co zero uchlanych za kółkiem, ale ci zwykle są najliczniejsi pod wieczór.

Kasa leci, uśmiechnął się Wans. To był dobry pomysł, żeby zdegradować tych dwóch upierdliwych sierżantów. Chłopaki o wiele lepiej radzą sobie na ulicy. Ktoś z dzisiejszych zatrzymań to pewnie ich robota.

Potem otrzymał telefon od jednego z oficerów, który zgłosił napad na niewielki sklepik na obrzeżach miasta. Jak się okazało, za daleko, żeby komendant mógł uczestniczyć osobiście (a szkoda, bo tak by go

urządził, że żadnego dewianta by już nie podkusiło, żeby napadać na choćby najmniejsze sklepiki). Jak się okazało, udało się jednak zidentyfikować samochód uciekającego i bez większych przeszkód wkrótce również jego samego. Chłop miał dość kiepski plan i Wans nawet nie musiał kiwać palcem, a oficer wezwał posiłki, aby zablokować most, którym próbował przejechać sprawca. Na szczęście gość na tyle cenił sobie życie, że nie wyjechał z mostu w rzekę, tym samym czyniąc szkody w moście, a zwyczajnie poddał się policji.

Komendant postanowił, że da oficerowi wyższe (choć nie za wysokie) wynagrodzenie i może nawet pozwoli mu na dłuższy urlop letni – w końcu sam zamierzał wziąć niemały. Przelotnie pomyślał nawet o zabranii oficera ze sobą w nieznaną krainę kawowca, ale tylko przelotnie, bo w końcu urlop ten miał poświęcić rodzinie, a poza tym wątpliwe było, czy Kalin zgodziłby się na dodatkowych gości.

Nad sprawą drania, który wczorajszego dnia zaatakował przechodnia, pieczęć sprawował detektyw Lemmis, którego Wans znał już długo i darzył go sporym (choć nie za dużym) zaufaniem. To Lemmis ustalił, który z dwójki pojedynkujących się ludzi jest sprawcą przestępstwa. Wans nie interesowałby się tak bardzo tą sprawą, gdyby nie fakt, że poprzedniego dnia policja zareagowała zbyt powolnie, żeby zlokalizować i zidentyfikować zarówno sprawcę, jak i uciekającego człowieka. Akcją tą dowodził jeden z tych upierdliwych sierżantów, którzy już wcześniej zaszczyli komendantowi za skórę, a wczoraj wreszcie nadarzyła się okazja, żeby zdegradować drugiego z nich. Lemmis powiedział komendantowi, że według naocznych świadków, obaj podejrzani wsiedli do taksówek. Wans polecił mu wtedy zastosować monitoring, aby znaleźć taksówki, i na tym skończył się jego aktualny udział. Póki co dalszych komunikatów nie było, więc Lemmis prawdopodobnie był w kropce. Przypuszczalnie taksówki zwały się z innymi, co utrudniło śledzenie tych właściwych.

Komendant zamierzał zbadać tę sprawę dokładniej wieczorem.

Tego dnia karczmarz Kein kończył pracę wcześniej niż zwykle. Kiedy wychodził, było późne popołudnie. Słońce zamierzało powisieć na niebie jeszcze kilka godzin.

Kiedy upewnił się, że karczma jest zabezpieczona, ruszył w drogę do swego domu. Mieszkał na tyle niedaleko, że wracał spacerkiem, lecz na tyle daleko, żeby w międzyczasie sprawdzić odebrane wiadomości i z kimś pogawędzić. Najczęściej z dalszymi krewnymi lub przyjaciółmi.

Tym razem jego oczom ukazała się nietypowa wiadomość. Nadawcą był jego odległy kuzyn Sebrid, również karczmarz, i prosił o kontakt, kiedy tylko będzie miał czas.

Chwilę po ujrzeniu wiadomości Kein zadzwonił, po czym z telefonem przy uchu wznowił spacer betonowym chodnikiem.

– Halo?

– Hej, Kein. Nie zajmuję ci czasu? Wybacz, ale to pilna sprawa. Pomyślałem, że powinniśmy to przegadać.

– Nie, tak się składa, że dziś wcześniej zamknąłem karczmę. A czy ty teraz nie pracujesz?

– Tak, ale jestem na zapleczu, a w karczmie pomaga mi żona. Ale przejdźmy do rzeczy. Czy mówi ci coś imię Brond?

Z zaskoczenia Kein uniósł brwi. No tak!

– Ależ oczywiście! Był u mnie kilka dni temu.

– Właśnie. To ten, któremu poleciłeś wpaść do mojej karczmy – uprzedził go Seb.

– Był wielce zainteresowany naszymi przodkami. Odniosłem nawet wrażenie, że znał jednego. Sam wyglądał jak... – „jeden z nich”, chciał powiedzieć, lecz nie dokończył. – Nieważne. Czy dowiedział się czegoś u ciebie?

– Tak, ale najwyraźniej nie tyle, ile oczekiwał. Udało mi się nawet znaleźć dla niego historyczny dokument zakupu karczmy, który nadal przechowujemy w skrytce. Było tam imię Salmina, o którym mu wspomniałeś, i jego ojca... zapomniałem, jakie... jednak to mu nie wystarczyło. Poleciłem mu poszukać tych imion w bibliotece.

– Zależało mu chyba na...

– Nieważne. Nie zaprzątałbym ci tym czasu, gdyby to było wszystko.

– Coś się stało? – spytał Kein, znów zaskoczony.

– To się jeszcze okaże. Oglądałeś ostatnio informacje?

– Tak.

– Te nadawane we wczorajsze południe?

– Nie, wtedy pracowałem. O co chodzi?

– Gdybym nie zainwestował w telewizor w karczmie, to sam bym nie wiedział. A i tak miałem szczęście, że akurat nie zajmowałem się wtedy żadnym z klientów. Wygląda na to, że nasz Brond wdał się z kimś w bójkę.

– W bójkę? Czemu? – Keina przepełniał szok. Dobrze pamiętał, jak przyjazny wydawał się tajemniczy klient, a na dodatek jego synek Neol powiedział, że Brond obdarzył go miłym uśmiechem, co wielce go uradowało.

– Nie wiadomo. Obaj mieli noże i na koniec Brond skaleczył tego drugiego, ale chyba mu uciekł. To było wczoraj rano przy Parku Królewskim.

– Wskazałem mu drogę do zamku. Park jest niedaleko – zauważył Kein, myśląc na głos. – Po co miałby tam kogoś atakować? I to jeszcze na oczach tylu ludzi?

– Nie mam pojęcia. Kiedy był potem u mnie, nic nie wskazywało na to, że mógłby kogoś zranić, a co dopiero zabić, z czystej chęci sprawienia komuś krzywdy.

– Nie mogło też chodzić o pieniądze – dodał Kein. – Na moich oczach odkrył, że jest bogaty, i dowiedział się o punktach wymiany walut.

– Naprawdę? – Tym razem to Kein zaskoczył Seba. – U mnie płacił premiami.

– A więc udało mu się wymienić te stare monety! Wyobraź sobie, że chciał mi nimi zapłacić! Wyglądały jak ze średniowiecza. Do tego trzymał je w sakiewkach!

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

– Nie do wiary... – rzekł w końcu Seb, po czym powtórzył głośniej:
– Nie do wiary...

Przez moment Kein słyszał szumy, spośród których dało się słyszeć: „Nic, nic, wracaj do pracy” i jeszcze coś, po czym Sebrid uniósł telefon z powrotem:

– Jesteś pewien, że mówimy o tej samej osobie?

– A jakżeby inaczej!

– Kiedy był u mnie, miał na sobie plecak podróżny, płacił z portfela. Ubiorem nie różnił się od innych. Na nagraniu w telewizji wyglądał tak samo.

– Czyli musiał to nabyć wkrótce po wyjściu z mojej karczmy – wynioskował Kein. – Wcześniej miał na sobie coś, co mógłby nosić średniowieczny mieszczuch. Do tego miał rany pokryte liśćmi. Zupełnie jakby wyszedł z lasu i ludzka cywilizacja była mu nieznana. – Kein czuł, jakby te myśli wychodziły z głębi niego, mimo że nabierały wyrazistości właśnie teraz. – Z tego, co mi się wydaje, wewnątrz karczmy wywołało w nim autentyczne zdziwienie, choć starał się to ukrywać. Obserwując coś przez okno, przypadkiem wywrócił szklanekę... A, no i myślał, że muzykę lejącą w tle grają na żywo w głębi karczmy!

Po drugiej stronie zapanowała nieco dłuższa cisza. Kein sam przez moment wpadł w zamyślenie, więc początkowo nie zwrócił nawet na to większej uwagi.

– Jesteś tam, Seb?

– Jestem, jestem. Po prostu nie mogę wyjść z oszołomienia. Co to za gość? Chyba nie obcy?

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze Kein.

– Obydwaj mieli noże... – Seb odpłynął myślami w inne miejsce, ale Kein szybko pojął, o co chodzi, zanim dokończył: – Myślisz, że mogli się znać? Albo na siebie polować?

– To miałyby sens – odparł Kein.

– Z tego mogą być niezłe sensacje – rzekł nagle Seb. – Może już za kilka dni dowiemy się więcej z telewizji. Skoro poinformowali o walce, powinni też dać znać, kiedy zagrożenie zniknie... Choć jeśli mam rację, to on wcale nie jest zagrożeniem.

– Cóż, za kilka dni się dowiemy – odparł Kein, nadal w oszołomieniu.

Rozmawiali jeszcze chwilę, ale tak naprawdę na tym skończyli swoją wspólną dedukcję. Do końca dnia jeśli nie świadomie, to w głębi umysłu karczmarz rozmyślał o tajemniczym kliencie i niesamowitych wydarzeniach z ostatnich dni.

Zapowiadał się ciekawy koniec tygodnia. Kein nie zamierzał wyłączyć telewizora.

Sytuacja faktycznie wymykała się spod kontroli. Nie chodziło tylko o to, że nie udało się wysledzić, w którym momencie podejrzani opuścili taksówki. Wprawdzie pojazdy zostały zidentyfikowane, a nawet namierzone, lecz w chwili kontaktu policji z obydwojma taksówkarzami podejrzani już nie przebywali w pojazdach. Jak się okazało, obydwaj opuścili je zaskakująco szybko. Taksówkarz o imieniu Marin potwierdził, że mężczyzna, któremu udzielił taksówki, miał poważną ranę na nodze. Tak naprawdę nie były nawet potrzebne jego potwierdzenia, gdyż po dokładniejszym zbadaniu taksówki policjanci znaleźli niewielkie ślady krwi na fotelu i na wykładzinie. Według zeznań taksówkarza, podejrzany mógł uciekać przed jakimś przewinieniem. Wynioskował, że jeśli tak jest, to drugi, ścigający podejrzany, zapewne chciał uprzedzić policję i samemu dorwać uciekającego, korzystając przy tym z niekonwencjonalnych – z punktu widzenia policji – sposobów.

Na szczęście sugestia ta brzmiała na tyle absurdalnie i nieprawdopodobnie, że detektyw Lemmis mógł ją zignorować. Poszukiwania właściwego sprawcy trwały. Lemmis miał świadomość, że ryzykuje swoją posadę, jeśli ktoś inny przejmnie kontrolę nad tą sprawą, ale wątpił w taki obrót wydarzeń. Problem był niewielki, sprawa miała wkrótce dobiec końca, a obiecane pieniądze były duże. Do tego detektyw miał sporą reputację i wiele doświadczenia, więc komendant nawet nie zwracał sobie głowy tą sprawą.

Kiedy jednak wczesnym popołudniem w krótkiej przerwie w pracy spotkali się w towarzystwie kilku innych policjantów w lokalu naprzeciwko, nastąpiła mała zmiana. Rozmowa zachaczyła o politykę, i jeden z kolegów Lemmisa przytoczył zasłyszaną opinię jednego z polityków o policji.

– Nie wiem, jak mu to w głowie wyrosło, ale mówił, że policja się „rozbisurmaniła”.

Komendant parsknął.

– Co za bzdura – rzekł. – Sami przyznacie, że za mojej kadencji prawo jest na porządku dziennym. Coś takiego! Dokładamy wszelkich starań, żeby przestępczość malała, a tu otrzymujemy opinię, która świadczy o nas coś zupełnie odwrotnego!

– To pewnie jakiś mało znaczący gość, który chciał zwrócić na siebie uwagę kontrowersyjnym stwierdzeniem – powiedział ktoś inny.

– Dokładnie. – Wans wytknął palec w jego stronę. – Dobrze wiemy, jak jest naprawdę, racja? Najlepszym przykładem jest detektyw Lemmis, który szuka sprawcy publicznego ataku na obywatela miasta. Swoją drogą, jak sobie radzisz, detektywie?

Detektyw nie był przygotowany na takie pytanie.

– Cóż... – zaczął – wiemy już o tym, że podejrzani poruszali się tak-sówkami, ale...

– Czy udało się zidentyfikować sprawcę? – wszedł mu w słowo komendant.

– Jeszcze nie – odparł niepewnie detektyw – ale jesteśmy na dobrym tropie.

– To dobrze, jednakże jeśli do wieczoru nie dowiemy się, kto to, zamierzam sam przyłożyć się do tego problemu.

Lemmis uniósł brwi.

– Nie sądzę, żeby to było potrzebne... – zaczął.

– Panie komendancie, dlaczego właściwie ta sprawa miałaby zaprzętać panu głowę? – spytał facet siedzący obok Lemmisa. Gdyby detektyw pamiętał jego imię, przez najbliższe dni na pewno nie wypadłoby mu z głowy. – Są o wiele ważniejsze sprawy, które stanowią większe niebezpieczeństwo dla miasta. Jeśli sprawa będzie wymagała podjęcia większych działań, pan detektyw może po prostu otrzymać dodatkowych ludzi.

– Dobrze wiem, co dzieje się w naszym mieście – rzekł komendant głosem dającym znać, że kolega nieco przecenił swój zakres odpowiedzialności.

Rozmowa nabrała dość nieprzyjemnego akcentu, jednak Lemmis postanowił zaryzykować i wykorzystał tę sytuację:

– Myślę, że ten przestępca może się okazać groźniejszy, niż przypuszczamy – zaczął tak, jak sugerował mu facet od pieniędzy. – Z obrazów wynika, że nie jest mieszkańcem Maka Bonk. To może być wieloletni bieżak, który po niekorzystnym obrocie wydarzeń mógł zaszyć się na dobre.

Ryzyko było większe, niż mogłoby się wydawać, bowiem w rzeczywistości Lemmis nie miał pewności co do pochodzenia podejrzanego.

Wans słuchał uważnie, po czym odparł:

– Dobra. Wyślę ci jeszcze dwóch ludzi i przejrzyście razem wszystkie wczorajsze nagrania z monitoringu w godzinach, które uznacie za właściwe. Mimo wszystko wieczorem wpadnę, żeby zapoznać się z sytuacją.

Lemmis odetchnął z ulgą.

– Dziękuję, panie komendancie. Ta pomoc na pewno się przyda.

Ryzyko się opłacało i Wans już nie myślał o nadzorowaniu prac detektywa, lecz nadal zamierzał się wtrącać. To nie był spory problem, zważywszy na pomoc, jaką detektyw uzyskał, ale ryzyko odkrycia jego „błędów” nadal istniało. A błędy się koryguje. Lemmis nie chciał stać się błędem dla człowieka, który zaoferował mu pieniądze.

Teraz, kiedy sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż się wydawało, chwilami karcił się za to, że nie postawił się tamtemu człowiekowi. Ale to mogłoby go drogo kosztować. Tymczasem trzeba było tylko znaleźć jednego faceta i wsadzić za kratki za jawnie popełnione przestępstwo.

Mimo że miasto miało ogromną sieć monitoringu, wyśledzenie, w którym miejscu główny podejrzany wysiadł z taksówki, okazało się niemożliwe. W pewnej chwili jeden z nowych ludzi wezwał go do kamery na stacji metra, lecz okazało się, że chodziło o drugiego podejrzanego. Nowi uznali, że jego również powinni śledzić, i Lemmis musiał im to wyperswadować. Mógł mieć tylko nadzieję, że komendant się o tym nie dowie podczas wieczornej wizyty.

Praca szła dobrze, gdyby nie uwzględnić tego, że sprawcy ataku nadal nie wykryto. Najpierw sprawdzili wszystkie nagrania z kilku godzin po ataku. Wieczorem, kiedy przyszedł komendant, byli już na nagraniach po godzinie 20:00. Detektyw czuł, że wkrótce miała nastąpić kulminacja jego przemiany w kłębek nerwów, więc nagły odgłos otwierających się drzwi sprawił, że nawet lekko zadrżał. Komendant na szczęście tego nie zauważył (lub nie dał po sobie znać).

– Nie przeszkadzam, panie detektywie?

– Ależ nie, zapraszam. – Ku jego zdziwieniu, Lemmis nadal panował nad swoim głosem. Myśl, że jego kariera mogłaby przepaść przez jeden incydent z jakimś nieistotnym facetem, powodowała niemal trwogę przed wchodzącym komendantem. Dobre wyszkolenie pozwalało mu

jednak zachować kontrolę nad swoimi nerwami. – Dzięki pańskim ludziom w jeden dzień przejrzelśmy większość kamer miasta, poczynawszy od śródmieścia...

– Jeszcze go nie macie? – Wans przerwał sprawozdanie detektywa. – Kurczę, chyba miałeś rację, że gość zaszył się na dobre.

Detektyw, który spodziewał się najgorszego, niemalże odetchnął z ulgą, słysząc wsparcie w głosie komendanta. (Wans wiedział, że dobre – choć nie za duże – wsparcie było ważne w traktowaniu pracowników.)

– Wciąż jest szansa, że go znajdziemy – odparł po chwili. – Moi i pańscy ludzie sprawdzają teraz monitoring z późnego wieczoru.

– Oby się nie okazało, że chłop uciekł z miasta – rzekł Wans. – Nie chciałbym, żeby z miejskiego zbiega stał się ogólnopanstwowym. To mogłoby zniszczyć mi reputację – dodał ciszej.

– Monitoring na ulicach wychodzących z miasta nic nie wykrył – zapewnił detektyw. – Jeśli uciekł, to musiał biec przez las, a i to mało możliwe, bo moglibyśmy wykryć go w drodze.

– Racja. W takim razie chłop nadal siedzi w mieście. – Wans jak zwykle mówił rzeczowo. – Mimo to miejcie oko na ulice wychodzące z miasta. Zawsze może ich...

– Jest! – zawołał nagle jeden z ludzi przeglądających monitoring. Wans i Lemmis szybko do niego podbiegli. Inni też przerwali pracę i pobiegli do ekranu, na którym policjant wskazywał jednego z dwóch ludzi idących wzdłuż ulicy. Wkrótce mieli zniknąć z kamery, więc posterunkowy nacisnął klawisz i obraz się zatrzymał. – Musieli się zatrzymać na tej ulicy, bo na następnej kamerze już ich nie ma.

– Chwila, chwila... – Wans dotknął palcem ekranu w miejscu, gdzie stał drugi człowiek. – Przecież to Denil, stary dobry Denil!

– Zna pan go? – zdziwił się Lemmis. Jego nerwy w tej chwili przechodziły w stan euforii, i tym razem jego głos tego nie ukrywał. Nie było to jednak nic, co musiałby ukryć.

– Ależ tak. – Komendant się uśmiechnął, nadal trzymając palec przy ekranie. – Tak się składa, że znamy się dobrze... choć nie tak dobrze, że bym wiedział, gdzie się teraz zaszył.

– Ale nie poszli dalej. – Posterunkowy odwrócił się do komendanta. – Muszą przesiadywać gdzieś na tej ulicy.

– Wspaniale – uśmiechnął się komendant. – Trzeba jak najszybciej zorganizować przeszukanie. Osobiście będę w nim uczestniczyć. Mam tam ważną rolę do odegrania.

Po szybkim szacunku ilości mieszkań do przeszukania, akcję postanowiono przeprowadzić następnego dnia z samego rana.

VIII

Denil otworzył oczy.

Do pokoju wpadały dopiero pierwsze promienie dnia, kiedy ze snu zbudził go brzęczący dźwięk. Chcąc spać dalej, jeszcze nie w pełni świadomości niedbale zrzucił stary budzik z parapetu za fotelem. Dźwięk, jaki wydał, świadczył o tym, że jego szanse przetrwania spotkania z podłogą były niskie. Budzik był jednym z niewielu przedmiotów, jaki pozostał Denilowi z czasów dzieciństwa, kiedy to otrzymał go po babci. Przyzwyczajenie spowodowało, że – wtedy, kiedy było mu to potrzebne – Denil korzystał z budzika zamiast z telefonu. Pomimo tylu nowych możliwości dźwiękowych telefonu, dźwięk starego budzika pozostał jedynym, który przemawiał do jego podświadomości w jednoznaczny, a zarazem nieirytujący sposób.

Jednak wstając, Denil nie zamierzał sprawdzić, jak ma się jego budzik. Teraz, kiedy jego umysł już zupełnie opuścił krainę snów (jego sen urwał się z szarpnięciem i nic po sobie nie pozostawił), wstał z zamiarem sprawdzenia, kto chciał coś od niego o... – zerknął na zegarek – wpół do szóstej rano?! Przez głowę przemknęły mu możliwości. Dalecy krewni przyjechali z wizytą? Ktoś wybrał nie ten numer? Policja go znalazła?

Ostatnia myśl przysła z oporem i nieproszona usadowiła się wygodnie, wypychając inne z pomocą trudnych do zakwestionowania argumentów. Gdyby krewni chcieli przyjechać, na pewno nie pojawiliby się o tej porze, nie mówiąc o tym, że przyjazd byłby poprzedzony co najmniej jednym telefonem. Poza tym, kogo właściwie powiadomił o zmianie mieszkania? Pamięć dopiero się rozpędzała, lecz w tym czasie pojawiło się więcej wątpliwości: Jeśli to był przypadek, o tej porze ludzie prędzej wychodziliby z mieszkań, niż wchodzili.

Decydujący cios padł, kiedy uświadomił sobie, że gdyby to faktycznie był przypadkowy dzwonek, nie trwałby raczej tak długo.

– Chrzańć to – mruknął do siebie i odebrał. – Słucham?

– Pan Denil, zgadza się? – zapytał rzeczowy głos. Nie było wątpliwości. – Wybaczmy nam pan tę porę, ale mamy pilną sprawę.

Już sam fakt, że jego nowy adres został znaleziony, wzbudzał obawę. Na domiar złego głos powiedział „nam”. To raczej przekreślało możliwość na dobre zakończenie, o ile w ogóle istniało.

Przelotnie rozważył możliwości ucieczki, lecz zaskoczenie, desperacja i przedłużający się brak odpowiedzi z jego strony przytłumiły jego rozważania.

– Już schodzę – odparł, rozłączając się, po czym ruszył po schodach. Nie chciał, aby gliny zobaczyły jego mieszkanie. W wyobraźni zamigotały obrazy gliniarzy odkrywających kradzież telewizora, lub co gorsza nielegalne substancje skrywane na dnie szafki.

Schodził coraz szybciej, a w stresie z głowy wypadały mu kolejne włosy.

*

Wydawało się, że to najlepsza ulica, na której można byłoby się zaszyć. W znacznej części piętrzyły się na niej bloki mieszkalne o rozmaitych wielkościach. Cała północna część bloków musiała niedawno przechodzić czyszczenie ścian i prezentowała się dobrze. Południowa część nie była tak daleko w tyle ze swoimi kolorami. Dodatkowo większość budynków nie była ze sobą połączona, co dawało więcej miejsc do ukrycia. Ulica nie była gęsto zarośnięta drzewami, których cień mógłby utrudnić potencjalny pościg, jednakże potężne cienie rzucane przez wschodzące słońce mogły to rekompensować, zwłaszcza, że lampy uliczne już się nie paliły.

Bloków było wiele, lecz komendant Wans od początku przeczuwał, że jego stary koleżka załągł się w tym najbardziej przeciętnym, szarym boczysku niemytym od lat, stojącym mniej więcej pośrodku ulicy. Był wepchnięty odrobinę głębiej, niż reszta, co w połączeniu z faktem, że był blokiem wolnostojącym, czyniło potencjalną ucieczkę łatwą (choć nie za łatwą, pomyślał Wans). W kilku miejscach ściany pokrywały ciemne plamy, które mogły liczyć sobie nawet dwadzieścia lat. Stan okien świadczył o tym, że niektóre z mieszkań już długo mogły nie być zamieszkałe. Mimo to, kiedy zadzwonili do właściciela bloku, okazało się, że faktycznie, mieszka tu jakiś Denil, i że niedawno minął drugi miesiąc, który tu mieszka, i za który nie zapłacił czynszu.

Wans poprawił włosy, którymi łagodny wiatr musnął go po policzku, kiedy wyszedł z pojazdu. Na czas akcji zamierzał spiąć włosy w kok, lecz wychodząc z domu w pośpiechu zapomniał o tym. Mimo to, dzień zapowiadał się świetnie. Trudno było nie zauważyć uśmiechu na twarzy komendanta, kiedy ten myślał o spotkaniu z dawnym znajomym, a przy okazji z podejrzanym, którego ten zapewne ukrywał. Zapowiadał się pracowity dzień. Po całej akcji komendant zamierzał wypić dodatkową kawę.

Podeksycytowanie nie opuszczało też detektywa Lemmisa, któremu towarzyszyła również ulga na myśl, że tu skończą się jego problemy i na zawsze znikną z jego życia. Po udanej akcji dostanie obiecane pieniądze, zapomni o całej sprawie i będzie wiódł uczciwe, beztrwożne życie.

To właśnie detektyw zadzwonił do właściciela bloku, a potem do samego Denila. Niestety, zanim zdążył przekazać, że chcą przeszukać jego mieszkanie, facet postanowił sam zejść do nich, po czym natychmiast się rozłączył. Słyszając, że jego znajomy schodzi mu na spotkanie, komendant sam stanął przed drzwiami bloku, zanim jego dwuosobowa obstawa opuściła samochód.

Wreszcie drzwi otworzyły się.

– Denil, jak się masz, mój stary kumplu! – zawołał Wans. Przez chwilę wydawało się, że będzie chciał go objąć na powitanie. – Dawno się nie widzieliśmy!

– Ach, to pan, panie komendancie? – Denil szybko ukrył obawę pod maską zaskoczenia. – Jakże miło mi pana widzieć! Tak mnie pan dziś zaskoczył z rana... A czy przypadkiem nie powinien pan teraz ścigać poważnych przestępców?

– Tak się składa, że pracę zaczynam o ósmej. Tymczasem przyszliśmy tu, jak widzisz, razem – komendant omiół ręką otoczenie, a mianowicie trzy wozy policyjne i osiem, nie licząc jego i detektywa, osób w policyjnych mundurach stojących pod blokiem – żeby porozmawiać, ot tak, jak to rozmawiają starzy kumple. Powiedz, czy spotkałeś ostatnio kogoś nadzwyczajnego? Na przykład kogoś, o kim niedawno mówiono w telewizji.

– Może i spotkałem – odparł Denil, nie będąc pewnym, czy może ta wymijająca odpowiedź nie zdenerwuje komendanta. – W końcu tyłu lu-

dzi pojawia się w telewizji! Mogłem kogoś spotkać, nie wiedząc, że był w telewizji.

– Dobra, dobra. Wiesz, o co mi chodzi. Ostatnio doszło do walki ulicznej przed Parkiem Królewskim. Mamy aż nadto dowodów, że masz z tym coś wspólnego. – W rzeczywistości mieli tylko jeden dowód, nagranie z monitoringu, lecz był on na tyle pewny, że komendant mógł sobie pozwolić na wyolbrzymienie.

Bezpośredniość komendanta wydawała się działać. Uśmiech zniknął z twarzy Denila. Teraz sprawiał wrażenie, że spokojnie rozważa odpowiedź, kiedy w rzeczywistości myślał nad najlepszym możliwym rozwiązaniem.

– Przedwczoraj chyba spotkałem kogoś, kto wyglądał na podejrzanego typu, całkiem niedaleko stąd. Chyba próbował mi wmówić, że jest detektywem. Albo tropicielem. Pewnie jeszcze się tu gdzieś kręci.

– Na przykład w twoim domu?

– Ależ, panie komendancie, nie wpuściłbym takiego świra do mojego mieszkania. – Jednak na twarzy Denila pojawił się pot. Pytanie, które zadał Wans, było ryzykowne, lecz trafił nim w dziesiątkę. Nie trzeba było więcej słów, wystarczył pewny wzrok komendanta. – Myślicie, że co, zrobiłem to specjalnie? Że go kryję?! Mówił, że ściga mordercę, ale sam miał taki wzrok, jak jeden z nich. Miał... miał nóż! Groził mi! Mówił, że pójdę do paki, jeśli mu nie pomogę!

– Dlaczego od razu nie zawiadomiłeś policji?

– Ja... bałem się. Bałem się, panie komendancie! Mogłbym przez to stracić życie!

– Bez obaw. Teraz to my się nim zajmiemy.

Detektyw wraz z kilkoma policjantami zwrócili się w stronę wejścia.

– Nie, nie musicie nic robić! Sam tam pójdę!

Wans spojrział porozumiewawczo na Lemmisa. Ten poszedł z policjantami w głąb szarego bloku.

– Nie martw się, Denil. Policja na pewno nie zdemoluje ci mieszkania, unieszkodliwiając przestępcę. Tymczasem my sobie jeszcze chwilę porozmawiamy. Chodź, zapraszam do mojego radiowozu. Mam do ciebie kilka pytań.

Brond obudził się, zastając ciszę.

Z drugiej strony, co mógł zastać o tej porze? Denil pewnie jeszcze spał, choć nie chrapał. Grube ściany i szczelnie zamknięte okno powodowały, że pokój tłumiał dźwięki z zewnątrz i nawet jeśli śpiewały jakieś ptaki, Brond nie mógł ich usłyszeć.

Nie pamiętał dobrze swojego snu, lecz pamiętał, że pod koniec słyszał trzepot skrzydeł. Może nawet je widział – był w stanie wyobrazić sobie wielkie, szarobure, pierzaste skrzydła machające na nocnym niebie. Trzepot chyba przybierał na sile i dawny detektyw podejrzewał, że to właśnie on wybudził go ze snu. Nie wiedział, która godzina – nie kupił sobie zegarka – ale półmrok za oknem wskazywał na to, że dopiero nastawał świt.

Najpewniej z powrotem by zasnął, lecz jakiś słaby, instynktowny głos w jego głowie twierdził, że wyczuwa zagrożenie. Nie pozwalał mu zamknąć oczu, ani uszu. A te drugie nic nie wychwytywały. Ta cisza wydawała się wręcz podejrzana i może to chciał przekazać mu głos.

Może to właśnie nie dźwięk, a jego brak, go obudził.

Poprzedniego dnia Brond nie osiągnął żadnych spektakularnych sukcesów. Zamierzał otworzyć konto w banku, aby móc wymienić resztę starych monet na nowe, lecz okazało się, że brakuje mu czegoś, co nazywają „dowodem osobistym”. Postanowił nie zwracać na siebie uwagi, pytając, czym jest ów dowód, i sprawdził to w internecie. Minęło dużo czasu, aż doszedł do wniosku, że nie wie, czy w ogóle uda mu się wyrobić taki dowód, gdyż nie wie, czy w ogóle przysługuje mu jakieś obywatelstwo. Królestwo Rabzanidów przestało istnieć wieki temu, więc raczej nie mógł ubiegać się o dowód jako jego obywatel, już nie mówiąc o tym, że nie miał żadnego dokumentu, którym mógłby to poprzeć.

Poza tym spędził trochę czasu, zwiedzając miasto (według mapy z telefonu, znajdował się teraz w jego zachodniej części), i poznał podstawowe środki komunikacji miejskiej. Przejechał kilka stacji autobusem, dzięki czemu znalazł się w mniej zabudowanej dzielnicy, gdzie znalazł kolejny park. Nie było w nim jednak kaczek. Nasira też nigdzie nie zauważył. Przez ten brak połączeń z przeszłością, zamiast przyzwyczajając się do miasta, zaczynał się czuć jak duch. Coraz częściej nachodziły go

myśli „co dalej?”, na które nie był w stanie znaleźć odpowiedzi. Na szczęście nowe smaki poprawiły mu humor.

Myślenie o wczorajszym dniu tylko bardziej go obudziło i, nawet gdyby chciał, Brond nie byłby w stanie zasnąć przez dłuższy czas. Zamiast tego wstał, ponaglany ciszą i instynktem.

Powoli otworzył drzwi i zajrzał do salonu. Wzrok nie musiał się przyzwyczajać, bo pierwsze promienie słońca oświetlały już pokój.

Denila w nim nie było.

Przez Bronda przeszło chłodne uczucie obawy. Jego „brat zbieg” chyba nie wyszedł sobie tak po prostu z domu w nocy? A może lunatykuje? Brond jakoś nie wierzył w te przypuszczenia. Ledwie kilka sekund później bystre oczy detektywa spostrzegły leżący na podłodze budzik. Wyglądał na zniszczony. Czy Denil niszczyłby sobie budzik, gdyby planował wstać przed świtem? A może ktoś zmusił go, aby wstał?

Zaraz potem Brond zauważył leżący na parapecie telefon. Może i nie był obyty w nowoczesnej cywilizacji, ale domyślał się, że Denil nie wychodziłby na długo bez telefonu. Gdyby ktoś do niego zadzwonił przez telefon, raczej wzięłby go ze sobą. Brond nabierał obaw, że jego współlokator mógł wcale nie planować tego nocnego wyjścia.

Instynkt poprowadził go na balkon. To tam zauważył przedwczoraj odlatującego ptaka. Głos w jego podświadomości podpowiadał mu, że to właśnie o tym mógł być jego sen. Być może sugerował mu, że Denil nie jest wart zaufania. Że powinien się stąd uwolnić i zniknąć, nie mówiąc nic tajemniczemu facetowi. W końcu Brond nie wiedział, co ten gość miał za uszami.

Balkon wychodził na tył bloku, skąd można było podziwiać majestatyczne widoki równie ciekawego innego bloku. Wyżej, na jednym z balkonów po obu stronach było rozwieszane pranie.

Od razu zastał go dźwięk. Ale nie tylko nocnych ptaków. Brond był pewien, że słyszy głosy po przeciwległej stronie bloku. Nagle nabrał niepodważalnej pewności, że jednym z nich, który właśnie nabrał desperackiego tonu, był głos Denila. Nie musiał długo myśleć, kiedy zauważył, że dół naprzeciwległego bloku mieni się od niebieskich i czerwonych kolorów.

Nie było sensu iść na klatkę schodową, a nie ulegało wątpliwości, że rozmowa z funkcjonariuszami o tym, dlaczego go szukają, to trochę kiepski pomysł. Jedynym sposobem na ucieczkę był balkon.

Balustrada miała poziome pręty i obejście jej nie stanowiłoby wyzwania nawet dla dziecka. Trudniejszą kwestią było zejście z trzeciego piętra tak, aby nie połamać sobie kości. Brond złapał się prętów w balustradzie i zaczął powoli schodzić po nich jak po drabince. Nogi zawisły w powietrzu. Z przerażeniem uświadomił sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie robił czegoś tak niebezpiecznego. Mimo to zachował spokój.

A co z plecakiem? Przecież ma tam wszystko: pieniądze, ubrania, prowiant... Przy sobie miał tylko telefon. Co pomyśli policja, odnajdując wśród premów całą garść starych monet, które nadawałyby się do muzeum? Z czego będzie żyć? Plecak to jego jedyna gwarancja przetrwania!

Nie było czasu, żeby go brać. Zresztą tylko utrudniłby mu ucieczkę. Odłożył myśli o trudnej i nieznannej przyszłości na później i skupił się na schodzeniu.

Dotarł do ostatniego prętu. Wziął głęboki wdech i puścił, po czym złapał się poręczy balustrady na piętrze niżej. Na szczęście była okrągła i nie raniła dłoni. Starał się nie wydawać żadnych odgłosów, mając nadzieję, że dźwięk dłoni uderzających o poręcz go nie zdradzi. Powtórzył manewr ze schodzeniem po prętach i znów skoczył. Potem znowu schodzenie i znowu skok. Wylądował na twardym gruncie. W tej samej chwili usłyszał głosy kilka pięter wyżej. Nie było czasu, żeby cieszyć się z udanego zejścia. Pobiegł w stronę bocznej ściany przeciwległego bloku, mając nadzieję, że go nie widzą. Na szczęście gruntem była trawa i nawet jeśli biegnąc wydawał jakieś odgłosy, wątpił, że ktoś z trzeciego piętra je usłyszy.

Dzięki przerwom między blokami dotarł do równoległej ulicy. Prawie zamarł, uświadamiając sobie nagle, że nawet nie ma pojęcia, w którą stronę się udać. Na tej ulicy z blokami sąsiadowały nieco niższe budynki; niektóre z nich wyglądały na przemysłowe. Po prawej stronie znajdowało się coś, co wyglądało na wielki plac budowy, na którym w tym momencie nie pracowano. Brond pomyślał, że byłoby to doskonałe miejsce, żeby się ukryć, lecz już widział odbijające się w szybach światła radiowozów, które zbliżały się właśnie od tamtej strony. Jechały bez

sygnału, zapewne po to, aby Brond nie wiedział, w którą stronę uciekać. Po ulicy mimo wczesnej pory jechało też kilka innych pojazdów; większość bez świateł.

Nie zastanawiał się długo. Stał najwyżej sekundę, zanim rzucił się do biegu w kierunku przeciwnym do nadciągających radiowozów. Wtedy zauważył, że w ulicę skręca właśnie autobus, jadący prosto w jego kierunku, a między nim a pojazdem jest niewielki przystanek autobusowy.

Brond zamachał (dziękując sobie w duchu, że wczoraj dowiedział się o transporcie miejskim), biegnąc z całych sił w stronę autobusu. Autobus poczekał na przystanku, na który Brond dobiegł sekundę później. Wpadł w autobus jak szalony. Kierowca zamknął drzwi przyciskiem i pojechał dalej jak gdyby nigdy nic. Innych pasażerów nie było, za co Brond chciałby dziękować wszystkim bóstwom, czy istnieją czy nie, tyle że autobus kierował się w stronę, z której nadjeżdżała policja.

Brond rzucił się na podłogę. Była śliska i brudna jak nic, z czym się dotychczas zetknął, lecz było warto. Przez chwilę widział odbicia migających świateł wozów policyjnych, po czym autobus skręcił w lewo, oddalając się od miejsca, z którego nadjechały pojazdy. Możliwe, że policja skierowała się w uliczkę, na której Brond złapał autobus, lecz na wszelki wypadek lepiej było się nie wychylać i sprawdzać.

W międzyczasie głos z autobusu powiedział coś o następnym przystanku, na co Brond zupełnie nie zwrócił uwagi. Zresztą, i tak by nie wiedział, co to za przystanek, prawda? W tej chwili ważne było tylko to, że oddalał się od radiowozów.

Autobus dojeżdżał już do następnego przystanku (którym okazała się „Zajezdnia Lubonk”, cokolwiek mogło to znaczyć). Policja nadal mogła być w pobliżu i Brond nie chciał się wychylać, lecz do autobusu mogli wsiąść nowi pasażerowie, którzy nabraliby podejrzeń, więc postanowił udawać pijaka półleżącego między krzesłami (choć ta metoda równie dobrze mogła zaowocować zwróceniem na siebie większej uwagi); z zabrudzonym ubraniem brakowało mu tylko pustej butelki po alkoholu i przekrwionych oczu bezmyślnie spoglądających w przestrzeń. Nikt jednak nie wsiadł i autobus pojechał dalej. Brond chciał myśleć o tym, jakie miał szczęście, ale wiedział, że było na to jeszcze za wcześnie.

– Następna stacja: Metro Sznykory – powiedział głos z góry. – Przystanek końcowy.

Co?! Przejechali zaledwie dwa przystanki i już koniec? Jest zaledwie dwie lub trzy przecznice od bloku, z którego uciekał! Nie ma szans, że policja tu nie dojechała.

Z drugiej strony, metro... Brond raz przelotnie sprawdził w sieci, czym jest, lecz nie chciał tam iść, bo obawiał się, że przestraszy się takiego skoku technologicznego; pojazdy takie jak samochody czy autobusy już były dla niego czymś niezwykłym i dość oszałamiającym. Teraz jednak nie miało to znaczenia – był gotów posłużyć się jakimkolwiek środkiem transportu, byleby udać się jak najdalej stąd.

Przystanek znajdował się zaraz obok stacji. Brond wstał uważnie i jednocześnie uświadomił sobie, jaki jest zmęczony tą niespodziewaną i jakże wczesną ucieczką. W pobliżu nie ujrzał żadnych radiowozów. Ulicą przejeżdżały tylko zwykłe samochody. Idąc – prawdę mówiąc, niemal biegnąc – do metra, spostrzegł w pobliżu co najwyżej dwie lub trzy osoby, które nie zwróciły na niego uwagi. W końcu mógł się spieszyć z różnych powodów. Jednak nie uspokoilo go to zbyt, ani nie spowolnilo bicia serca, które już co prawda nie łomotało jak szalone jak wtedy, gdy schodził z bloku, lecz do umiaru również było mu daleko. Rozglądając się, przelotnie zastanowił się nad taksówką, lecz nie było żadnych w pobliżu, już nie mówiąc o tym, że nie miał przy sobie pieniędzy.

Nie widząc niebezpieczeństw, zaczął schodzić do stacji metra.

*

Wans zaczynał dopuszczać obawę, że zbieg im ucieknie. Pech chciał, że równoległa uliczka była jedną z mniej znaczących ulic, na których kamery monitoringu zamontowane były co najwyżej na skrzyżowaniach. Do tego, że udał się właśnie tam, doszli bardzo szybko – funkcjonariusze z mieszkania Denila natychmiast przekazali wiadomość o zniknięciu podejrzanego krótkofalówką, a policjanci przecież obserwowali ulicę Kurzną, tą, na której stał blok, z którego uciekł im podejrzany. Musiał więc wymknąć im się dosłownie spod nosa. To było upokarzające. Na szczęście prasa nie musi znać takich szczegółów. Pozostali policjanci

może również ich nie poznają. Wans nadal ma szansę zachować swój wizerunek.

Komendant faktycznie kazał skierować jeden z pojazdów w stronę równoległej ulicy, lecz nic tam nie znaleziono. Było mało prawdopodobne, że zbieg drugi raz przeszedł między budynkami – po drugiej stronie ulica była gęściej zabudowana. Koledzy z monitoringu oświadczyli, że nie widzieli nic przy skrzyżowaniach poza zwykłymi samochodami i autobusem. Jeśli dalej uciekał pieszo, najpewniej udał się przez plac budowy, i to tam Wans nakazał szukać dwóm z trzech grup policjantów; nad tą połączoną grupą dowództwo sprawował detektyw Lemmis. Istniała jednak też możliwość, że złapał autobus, albo – co zupełnie mogło wykluczyć szybkie zakończenie pościgu – autostop.

Wans skarcił się w duszy za to, że nie zatrzymał przejazdu w okolicy na czas, ale skąd miał wiedzieć, że akcja aż tak się rozwinie? Był pewien, że podejrzany obudzi się, widząc jego ludzi zakładających mu kajdanki. Możliwe, że obudzili go, dzwoniąc do mieszkania Denila. Sam Denil siedział na tylnym siedzeniu w towarzystwie dwóch policjantów i zapytany, czy podejrzany był w łóżku, gdy wychodził, stwierdził, że w przeciwnym wypadku musiałby on wyjść niepostrzeżenie i bez zapowiedzi. Ta wersja jednak szybko została wykluczona, kiedy nadeszła dobra wiadomość od funkcjonariuszy przeszukujących mieszkanie, że podejrzany pozostawił po sobie plecak. Jego zawartość świadczyła o tym, że decyzję o ucieczce musiał podjąć spontanicznie. To podniosło komendanta na duchu.

Ruch był na tyle mały, że nie było potrzeby włączać sygnału. Uznał, że dałby w ten sposób tylko przewagę podejrzanemu. To samo poradził reszcie radiowozów jeszcze przed rozpoczęciem pościgu.

Podczas gdy grupa Lemmisa zatrzymała się na placu i obserwowała otoczenie, Wans postawił na drugą kartę i zaczął jechać śladem autobusu, każąc posterunkowym sprawdzić jego rozkład. Zanim jednak otrzymał odpowiedź, dotarła do niego wiadomość od ludzi z zespołu od monitoringu, którzy zauważyli zbiega wchodzącego do stacji metra Sznykory.

Komendant nie myślał dwa razy i skontaktował się z jego ludźmi znajdującymi się na stacji, mówiąc im, aby szukali podejrzanego, o któ-

rego rysopis poprosił Denila, bo w końcu to on miał z nim najbliższy kontakt.

– Tylko nie kombinuj – powiedział przed ponownym włączeniem krótkofalówki.

Denil okazał się współpracować i podał wyjątkowo dużo szczegółów o wyglądzie uciekiniera. Zapewne chciał się podlizać. Wans zamierzał jeszcze z nim porozmawiać, więc nie zamierzał uświadamiać go, że nic z tego nie będzie.

Komendant poprawił wąsa w lusterku, kierując się w stronę stacji.

*

Brond był w kropce.

Nie chodziło o to, że brakowało mu pieniędzy, a nie miał biletów do metra. Mógłby przeskoczyć bramkę i przedostać się na drugą stronę.

Tyle że na tej stacji bramki nie dało się przeskoczyć. Wszystkie bramki były szklane i miały wysokość około dwóch metrów. Nie było innego sposobu, aby dostać się na stację.

Mógłby wspiać się na bramki i próbować je przeskoczyć, lecz w pobliżu byli ludzie. Bardzo dużo ludzi, jak na tak wczesną porę, ku zdziwieniu Bronda. Metro musiało być bardzo popularnym środkiem transportu.

Tak więc metro odpadało. Pomyślał, że mógłby się skryć w jednej z publicznych toalet i przeczekać, lecz jeśli policjanci dowiedzieli się, że jest w stacji, z pewnością zamkną ją i przeszukają każdy kąt. A nawet, jeśli nie, to jak długo mógłby tu zostać? Nie ma przy sobie ani pieniędzy, ani jedzenia. Nie mógł się tu zatrzymać.

Na myśl o wyjściu z metra na otwartą przestrzeń, gdzie byłby bardziej widoczny, zaczęła go ogarniać panika. Wreszcie wpadł na pomysł, żeby zlać się z tłumem, który właśnie podążał do wyjścia. Na szczęście nie było to to samo wyjście, którym wszedł.

Poszedł do tłumy, ale nie mógł znaleźć w nim pełnego kamuflażu. Nie chciał się przepychać. Zresztą i tak już dostatecznie mógł wzbudzać podejrzenie z zabrudzonymi w autobusie spodniami.

Nadzieja prysła, kiedy w wyjściu tłum zaczął się rozchodzić, a on zauważył funkcjonariusza drogówki stojącego i rozglądającego się po

drugiej stronie skrzyżowania. Rozpoznał go po charakterystycznej kamizelce odbłaskowej i dziwacznej czapce. Co gorsza, funkcjonariusz też go zauważył i chyba też rozpoznał.

Nie chcąc wzbudzić podejrzeń, Brond odwrócił się powoli, lecz zanim to zrobił, ujrzał, jak policjant sięga po coś w kieszeni, nadal patrząc w jego stronę. Zaczął przyspieszać kroku, gdy usłyszał, że policjant coś mówi. Być może kontaktował się z innymi i podawał jego położenie. Ta myśl skłoniła go do biegu. Na szczęście wybrał małą ulicę jednopasmową o wąskich chodnikach i gęstej zabudowie, dzięki czemu szybko znikł z pola widzenia policjanta. Jednak co, jeśli postanowi go ścigać? Prawdę mówiąc, Brond miał to gdzieś. Chciał się stąd wydostać. Pomyślał, żeby uciec z miasta, lecz w tak gęstej zabudowie nawet nie widział, po której stronie jest słońce.

Dotarł do skrzyżowania. Gęste zabudowanie ciągnęło się dalej w lewo. Po prawej ujrzał wschodzące słońce. Wybrał lewą stronę i jednocześnie usłyszał za sobą zbliżający się piszczący dźwięk.

To ten funkcjonariusz. Jechał za nim.

Skręciwszy i zniknąwszy na chwilę z perspektywy radiowozu, puścił się biegiem przez uliczkę. Była nachylona w dół, co ułatwiało bieg. Jednak dźwięk sygnału wcale się od niego nie oddalał. Nagle Brond zauważył niewielki odstęp między budynkami za doniczką z drzewkiem. Nie myśląc wiele, wskoczył tam, mając nadzieję, że kierowca radiowozu go nie widział. Szpara okazała się strzałem w dziesiątkę, bo prowadziła wprost do równoległej ulicy. Była za mała, żeby zmieścić się w niej samochód.

Brond przedostał się do ulicy naprzeciwko. Po drugiej stronie ulicy zabudowanie było rzadsze, lecz za nim znajdowała się już tylko większa ulica. Idąc w lewo, zapewne wróciliby do metra. Po prawej ulica szła niemal prosto na zachód i w pewnej chwili przechodziła w drzewa. Wyglądało to prawie jak las.

Skierował się w tamtą stronę z nadzieją, że tu może kończyć się miasto. Jeśli tak, nie kojarzył tego miejsca, ale w końcu miasto się rozszerzyło od jego czasów, czyż nie? Nie było czasu, by sprawdzać mapę i się upewniać. Brond wbiegł do lasu i tu trochę zwolnił bieg, nabierając więcej powietrza. Sygnał policyjny albo osłabł, albo został wyłączony. W przyływie adrenaliny nie zwrócił na to uwagi.

Chyba nawet usłyszał ptaka. Lasek jednak niezupełnie był laskiem, bo z prawej strony Brond nadal mijał budynki, tylko nieco bardziej zarosnięte drzewami, a betonowa czerń drogi ciągnęła się bez końca. Zniknął tylko chodnik. Wkrótce droga poprowadziła go bliżej ulicy. Ciągnęła się dalej, a potem w nią wpadała. Domy się skończyły, lecz lasek był na tyle mały, że Brond dalej widział ciągnącą się tam drogę z zabudowaniami.

Z której biegł w jego stronę policjant.

– Stój! – krzyknął. Był jakieś kilkanaście kroków od niego i zbliżał się od północnego zachodu.

Brond zamierzał skręcić z zamiarem przekroczenia ulicy. Jednak wtedy policjant wyciągnął ręką coś podłużnego i rozległo się kliknięcie. Na ten dźwięk Brond zastygł. Policjant zatrzymał się przed nim z lufą wcelowaną prosto w niego.

– Stój – powtórzył policjant. – Ręce do góry.

Brond przez moment wpatrywał się w nieznaną mu broń. Zastanawiał się, do czego jest zdolna, ale to kliknięcie przesądziło sprawę. Wreszcie posłuchał się i uniósł puste dłonie. Funkcjonariusz wyjął kajdanki.

– W imieniu policji Maka Bonk, jest pan aresztowany za publiczną napaść i uszkodzenie. Ma pan prawo zachować milczenie. Teraz pójdzie pan ze mną.

IX

W radiowozie siedział jeszcze jeden policjant. Po powrocie pierwszego skomunikowali się z centralą i zawiadomili, że złapali uciekiniera. Sam uciekinier został usadowiony na tylnym siedzeniu. Po rozmowie policjanci odjechali.

Przez całą drogę nie odezwali się do niego ani słowem. Tylna część wozu była od nich odgradzona kratkami. Okna były tu zasłonięte, więc cały zewnętrzny świat, jaki Brond mógł zobaczyć podczas jazdy, miał przed kratkami.

W połączeniu z tym, że policjant przeszukał go i zabrał mu telefon, a potem skuł, Brond już teraz czuł się jak więzień. Oprócz przerażenia czuł coś na rodzaj pogodzenia się z losem, jak gdyby od początku było pewne, że właśnie tak skończy. W końcu co mógł zrobić w tym odmienionym świecie? Nie było tu dla niego miejsca. Nie jest już detektywem. Jest zbiegiem. Uciekinierem, który usiłował wyrwać się policji, próbując odgrywać rolę z przeszłości w świecie, w którym rolę tę już dawno przejęli inni.

Nie zapomniał o Nasirze, o tym, od czego się to wszystko zaczęło. Lecz teraz ogarnęły go refleksje na temat tego, jak się zachował. Czy Nasir chciał dalej czynić zło? Może był tak samo zagubiony, jak on? Przez cały czas tylko uciekał przed nim i bronił się. Chciał utrzymać się przy życiu. Gdyby chciał też odbierać życia innych, zajęłyby się tym odpowiednie służby. Brond nie decydował już o jego losie. Próbując go złapać, sam wydał na siebie wyrok.

Tak naprawdę to nie więzienie najbardziej go przerażało. Przerazała go niewiedza o tym, co miało się stać teraz. Czy miał zostać publicznie upokorzony? Czy wszyscy poznają go jako wroga publicznego i tak go zapamiętają? Czy właśnie tak zapisze się w historii? Czy mógł mieć nadzieję, że ktoś pozna prawdę i zostanie uniewinniony w oczach społeczeństwa?

Wreszcie zdecydował, że jest gotowy na najgorsze. Nie chodziło o to, czy zabrakło mu nadziei. Nadal ją miał. Ale był gotów stawić czoło temu, co się wydarzy. Jakkolwiek to się nie skończy, będzie walczył. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby uświadomić tym ludziom, że są w

błądzie. Bo są. W końcu, w przeszłości czy nie, Nasir popełniał zbrodnie, prawda? Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale taka była prawda.

Brond wierzył w prawdę.

Z tą myślą ujrzał przed kratkami wielki, czerwony napis „POLICJA” i schody do miejsca, w którym rządziła prawda.

*

Najpierw stało się coś, czego w ogóle się nie spodziewał.

Dali mu coś do jedzenia.

Nie było takie złe. Podejrzał, że zamówili je z najbliższego lokalu. Policjanci, którzy go przywieźli, gdzieś zniknęli, i teraz pilnował go tylko jeden człowiek. Być może Brond miał teraz szansę uciec, lecz była ona niewielka. Poza tym jak długo przetrwałby z kajdankami na rękach? Postanowił nie uciekać i zachował przy tym zaskakująco dużo spokoju. Gdyby nie kajdanki, wydawałoby się, że jest tu gościem, spokojnie jedzącym posiłek, który zapewne miał pomóc w śledztwie jako świadek czy też informator.

Przynajmniej dopóki nie przyszedł drugi policjant i nie usadowił obok niego Denila.

W przeciwieństwie do Bronda, Denil nie miał na sobie kajdanek. Czyżby po tym wszystkim potraktowali go jak zwykłego, uczciwego obywatela?

Denil nie odezwał się. Z jego twarzy widać było, że nie chciał tu z nim być. Brond też się nie odzywał.

Ale wreszcie ich oczy się spotkały.

– Ty podły gadzie! – warknął Brond i rzucił się na niego.

Przewrócił go z krzesła i obaj zaczęli szamotać się na podłodze. Pomimo kajdanek Brond całkiem nieźle sobie radził. Z wielką chęcią wylupiłby mu oczy, lecz policjanci mu na to nie pozwolili. Jeden podniósł Denila, drugi Bronda, i trzymali ich w bezpiecznej odległości od siebie.

– Daruj! – krzyknął Denil. – Chciałem dobrze! Próbowałem im wmówić, że jesteś moim odległym kuzynem, ale nie słuchali.

– Zamknij pysk. Słyszałem twoje jęki. Wiem, że mnie wydałeś.

Z tymi słowami na ustach Brond poczuł się przez chwilę jak prawdziwy złoczyńca, więc zamilknął. Denil też nie miał nic więcej do po-

wiedzenia. Policjant zabrał go gdzieś indziej i w ten sposób Brond rozstał się ze swym dawnym współlokatorem.

*

Niecałą godzinę później zabrano go pod drzwi, na których widniał napis „Komendant Policji Maka Bonk”.

Pokój był całkiem duży (choć nie za duży, jak powiedziałyby Wans) i schludny. Na jednej ze ścian umieszczono zdjęcia poprzednich komendantów z latami służby, a obok inne, które mogły przedstawiać najbardziej udane akcje i ważne wydarzenia. Niektóre były czarno-białe. Ściana naprzeciwko była pokryta szerokimi oknami. W pokoju były też dwie szafki i dywan.

Jedynym meblem, na którym utrzymywał się względny nieporządek, było biurko, za którym siedział komendant. Po drugiej stronie biurka stało drugie krzesło, na którym usadowiono Bronda. Następnie pozostawiono go sam na sam z komendantem. Wans był pulchnym facetem w średnim wieku o średniej długości brunatnych włosach i wąsie, który nade wszystko zapadał w pamięć.

Przez moment panowało milczenie. Brond nie skomentował czapki „PRAWO TO JA” wiszącej na uchwycie szafki.

– No dobrze – odezwał się wreszcie komendant. Jego głos był władczy i opanowany, a zarazem swobodny. Brondowi niezbyt pasowało to do policjanta. – Jak już pewnie wiesz, nazywam się Wans i to ja rządę całą policją. Wezwałem pana, żebyśmy spokojnie sobie porozmawiali o tym, co zaszło. – Brond wątpił, czy siedząc w kajdankach rozmowa może być „spokojna”. – Detektyw Lemmis i ja mamy wielką nadzieję, że będzie pan chętny do współpracy i odpowie na kilka pytań. Oczywiście może pan zachować milczenie, a nawet poprosić o prawnika, choć to znacznie utrudni współpracę. Moim zdaniem możemy wyjaśnić sprawę o wiele sprawniej teraz i może będzie pan mniej siedział. Zaczniemy od sprawy banalnej. – Brond miał wrażenie, że komendant kładzie zbyt duży nacisk na niektóre słowa (na przykład „banalnej”), przez co na dłuższą metę jego głos trochę go irytował. – Nie znaleźliśmy w pańskich rzeczach żadnego dowodu tożsamości. Kim pan właściwie jest i za kogo się uważa?

Brond nie miał najmniejszych wątpliwości, że komendant wątpi, że wyciągnie z tej rozmowy cokolwiek niezwykłego. Najwyraźniej sprawiała mu przyjemność, a może nawet z niego kpił.

– Nazywam się Brond – zaczął. Z rozmowy z Denilem wiedział już, że nie ma co owijać w bawełnę, więc dodał: – To pełne imię. Nie mam żadnego dowodu, który mógłby to potwierdzić. Nie sądzę, żeby istniał, chyba, że macie jakieś sposoby.

– Cóż, ostatecznie zawsze możemy skorzystać z testu genetycznego – mruknął Wans, jakby zupełnie spodziewał się takiej odpowiedzi. – Zatem może niech pan powie, co pana skłoniło, żeby atakować ludzi na ulicy, hm?

– To nie był byle jaki człowiek.

– Racja – odparł Wans tonem sugerującym, jak gdyby ta odpowiedź w ogóle nie była potrzebna. – Zatem co pana skłoniło, żeby atakować pana Nasira?

Bronda na moment zaskoczył taki obrót wydarzeń, ale zaraz opamiętał się. Przecież policja musiała znać tożsamość Nasira!

Po chwili postanowił nie udzielać bezpośredniej odpowiedzi.

– Zastanawiam się, jak zdobyliście jego tożsamość – odparł.

– Pff, to proste. Porównaliśmy zdjęcia z bazą. Stuprocentowe podobieństwo. – Wans postanowił zachować dla siebie fakt, że dowiedział się o tym od Lemmisa zaledwie w przeddzień pościgu. Powinien był się lepiej przyjrzeć tej sprawie. Ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia. – A zatem?

– Sprawdziliście go? – Brond nie zamierzał ustąpić. – Nie popełnił jakichś zbrodni w przeszłości?

– Oczywiście, że sprawdziliśmy. – Wans skubał wąsa. – To wzorowy obywatel. Całe swoje życie spędził w Maka Bonk, nie popełniając ani jednego przestępstwa. To pan go tak bestialsko zaatakował.

Wans traktował go jak psychopatę udającego zwykłego człowieka, któremu wmawia się na nowo, co zrobił, ale nie to było najgorsze. Coś tu było nie tak. Jak Nasir załatwił sobie tak silną tożsamość? Musi w tym istnieć jakaś luka.

Nie doczekując się odpowiedzi, komendant spytał:

– A kim, w pańskim przekonaniu, jest ów Nasir?

W rzeczywistości zadawał to samo pytanie, tylko innymi słowami. Brond wiedział, że zwykłe stwierdzenie własnej opinii na niewiele się zda. Musiał znaleźć sposób, żeby się przez to przełamać i uświadomić temu osłu, w jakim jest błędnie. Dla spójności, zaczął od odpowiedzi na zadane pytanie:

– W „moim przekonaniu” nie jest tak czysty, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Czy „wzorowy obywatel”, jak to pan ujął, nosiłby przy sobie sztylet?

– Oczywiście doskonale zdaje pan sobie sprawę, że sztylet był wykorzystany w samoobronie.

– Nie wyklucza to możliwości, że mógł być wykorzystany inaczej. Nie próbowaliście w tym celu przesłuchać pana Nasira? Albo naocznych świadków?

– Ach, rozumiem. Wątpi pan w nasze metody? Owszem, przesłuchaliśmy świadków. Żaden z nich nie wątpi, że to pan sprowokował go do walki. Samego Nasira nie przesłuchaliśmy, był dość nieuchwytny. – To również powiedział mu Lemmis. Wansowi trochę nie spodobał się fakt, że jego dotąd niezawodny detektyw przyłożył tak niewielką wagę do sprawdzenia Nasira, i miał taką pewność co do Bronda. Chyba będzie z nim musiał jeszcze o tym porozmawiać.

– Więc nie macie stuprocentowej gwarancji, że Nasir al-Chemia nie popełniał wcześniej żadnych zbrodni?

Wans nagle stał się czujny.

– Słucham? Powtórz pan to nazwisko?

– Al-Chemia. Coś nie tak?

Komendant uśmiechnął się.

– Wymyślił pan to na poczekaniu? Alchemia, też mi coś. Człowiek, którego pan zaatakował, nazywa się Nasir al-Hazad.

– To nieprawda... – Brond był lekko zbity z tropu. – Skąd pan ma takie informacje?

– Już mówiłem, z bazy. Zdjęcie z bazy jest w pełni zgodne z pozostałymi – dodał, jakby sam chciał siebie o czymś zapewnić.

– Ciekawe, czy zdjęcie z bazy powstało w ciągu ostatnich dwóch dni – mruknął Brond.

– Słucham?

Brond nie musiał powtarzać. Wiedział, że komendant usłyszał. Zamiast tego coś sobie uświadomił.

– Nie próbowaliście zweryfikować jego tożsamości jednym z tych testów... genetycznych?

– Nie zaszła taka potrzeba.

– Ani nie macie innych sposobów na potwierdzenie jego tożsamości?

Wans spostrzegł, gdzie to zmierza.

– Myśli pan, że może pan dowieść, że mamy równie tyle powodów, żeby aresztować pana, co Nasira, hm? Wątpi pan w niezawodność naszych baz? – wskazał stojący przed nim monitor ze zdjęciem Nasira, lecz myśl, czy zdjęcie faktycznie mogło zostać zrobione dwa dni temu, już robiła swoje. Przy okazji zauważył, że w bazie nie ma żadnych informacji o stałym miejscu zamieszkania ani o sposobach kontaktu. Koniecznie musi porozmawiać z Lemmisem. – A zresztą, co to ma za znaczenie. Gdyby naprawdę chciał pan współpracować, już dawno powiedziałby mi pan, kim dla pana jest Nasir oraz co pan robił przed i po ataku.

– Jeśli widział pan nagranie, to wie pan, że po ataku zacząłem ścigać mordercę. – Dopiero po wypowiedzeniu tego słowa zauważył, że mówi je po raz pierwszy w towarzystwie komendanta. Nie uszło to również uwadze Wansa. – Zrezygnowałem z pościgu dopiero, gdy okazało się, że szybko opuścił taksówkę, gdy ta była poza zasięgiem mojego wzroku. Zamierzałem tropić go dalej i porozmawiać z taksówkarzem, ale zamiast tego znalazłem się tutaj.

– A więc w pańskim przekonaniu policja ma ważniejsze sprawy niż ściganie groźnych przestępców z nożem.

– Jak pan sądzi, czy policja brałaby pod uwagę kogoś bez dowodu tożsamości, kto sam rzucił się na mordercę? – Brond jednak czuł, że dał się zapędzić w kozi róg.

– Rozumiem pana obawę, ale prawdę mówiąc nie musielibyśmy nawet o tym wiedzieć. Gdyby pan Nasir popełnił jakieś przestępstwo, wystarczyłoby je zgłosić. Jeśli miał pan jakieś szczególne problemy, które uniemożliwiły panu wyrobienie sobie dowodu, pewnie uchylilibyśmy się od sankcji. A nawet jeśli nie, byłyby o wiele łszejsze. – Komendant był najwyraźniej usatysfakcjonowany, bo dodał, wskazując palcem: –

Widzi pan, dlatego położyłem klucz do kajdanek na biurku. Właśnie tyle panu brakowało do wolności.

Brond już ledwo wytrzymał ten cyrk. Irytujący ton głosu komendanta i jego prowokatorskie zachowanie było nie do zniesienia.

– Brakuje panu dowodów, żeby mnie wsadzić – warknął. – Już prędzej sam pan trafi do więzienia!

– Grozi mi pan? – zdziwił się Wans, po czym potarł brodę. – A może groził pan komuś więcej? W końcu skąd się wzięło tyle pieniędzy w pańskim plecaku?

Brond nie zamierzał zmyślać i w tej sprawie.

– Większość z nich niedawno wymieniałem w punkcie wymiany walut. Nie pamiętam gdzie, ale może byłbym w stanie znaleźć na mapie.

– Sami się tym zajmujemy. Moi koledzy już rozpracowują pański telefon. Chociaż byłoby miło, gdyby pan współpracował i podał im kod – dodał sarkastycznym tonem.

– Proszę bardzo. Cztery siedem jeden sześć – odparł natychmiast Brond.

Wans ze zdziwioną miną pospiesznie wyjął karteczkę, zapisał na niej numer i włożył do kieszeni. Brond uśmiechnął się mimowolnie.

– Tak czy owak, nie ma to znaczenia – kontynuował komendant. – Znaleźliśmy też starsze monety. Póki co przypuszczamy, że ukradł je pan z muzeum, tylko że nie zgłoszono w najbliższym czasie żadnej kradzieży.

– Bo i takiej nie było – uśmiechnął się Brond. – Te pieniądze nie zostały wzięte z żadnego muzeum ani nie ukradłem ich w żaden inny sposób. Owszem, mają sporą wartość historyczną, lecz przekonałem się o tym zaledwie trzy dni temu.

– Sprawdzimy też wszystkie dawniejsze kradzieże zgłoszone we wszystkich instytucjach historycznych Maka Bonk.

– Moglibyście też przesłuchać pana Keina Harlona – mruknął Brond.

– Słucham?

– Karczmarza „Inn Validy” na obrzeżach miasta, bodajże na południu. To on powiedział mi o punkcie wymiany walut.

Brond początkowo nie zamierzał o tym mówić, ale jeśli Wans dołożyłby wszelkich starań, żeby powiązać jego pieniądze z jakąś kradzieżą, kto wie, może w końcu coś by znalazł. Tymczasem karczmarz, w którym

Brond widział uczciwość i szczerść, na pewno potwierdziłby jego słowa. Obawiał się wprawdzie, że z racji szczegółowych pytań policji powiedziałyby trochę więcej, ale jeśli Denil już o tym wspomniał, byłyby to tylko kolejny powód, żeby sądzić, że to prawda. Policja oczywiście nie posunęłaby się tak daleko, żeby uwierzyć w magiczny staw, ale Denil i Kein, o ile wiedział Brond, byli ze sobą niepowiązani. Jeśli tak jest, policja może coś z tego wysnuje, i na pewno nie na niekorzyść Bronda.

– A więc wcześniej znajdował się pan na południu miasta – zamyślił się komendant. – Skąd ta nagła zmiana?

– Zwiedzałem – odparł Brond.

– I akurat natrafił pan na swojego wroga.

– Tak. – Była to całkowicie prawda i Brond nie zamierzał wchodzić w tej sprawie w jakieś wnikliwe analizy.

Komendant westchnął.

– Widzi pan, panie Brond, jeśli naprawdę tak się pan nazywa, w pańskiej wersji wciąż widnieje wiele luk. Na przykład co skłoniło pana, żeby nagle przemieścić się na drugi koniec miasta i ukryć się po dokonanym ataku, skoro był pan niewinny?

Na to pytanie odpowiedź była krótka i zwięzła.

– Denil.

Komendant zmrużył brwi.

– Ach tak... – zaczął skubać wąsa. Najwyraźniej Denil powiedział mu coś innego.

– Owszem. Denil poinformował mnie, że to ja, a nie Nasir, jestem ścigany. Szczerze mówiąc, obydwaj byliśmy zaskoczeni tak szybkim podjęciem działań.

Za drzwiami narastał jakiś szum i dźwięki. Coś jakby trzepot.

– Sadzę, że ktoś z was dokonał zbyt szybkiej oceny sytuacji – podsumował Brond. Komendant odwrócił głowę w jego stronę.

– Już prędzej pan dokonał błędnej oceny sytuacji. Podlega pan prawu w równym stopniu, co każdy inny obywatel.

Brond nagle o czymś sobie przypomniał.

– Myli się pan. Mimo że dzień wcześniej Nasir miał włosy do ramion i inaczej się ubierał, poznałem go, a wie pan jak? Po jego charakterystycznych bliznach. To nie są blizny, jakich człowiek dorabia się przy wypadku. To blizny od broniących się ofiar brutalnych morderstw, które

walczyły o życie. Wcześniej osłaniał je włosami, lecz teraz próbował zniknąć mi z oczu i myślał, że uda mu się to, obcinając je. – Komendant się wsłuchał, więc Brond spojrział mu w oczy, nie tracąc spokoju w głosie, gdy wymawiał następne słowa. – Nie jest pan ze mną szczery. Widział pan nagrania. Ktoś taki jak pan musi mieć oko do szczegółów. Nie tylko Denil zauważył zaciekłość w jego oczach, gdy bronił się, zamiast uciec i zawiadomić policję jak „wzorowy obywatel”.

– Wystarczy. Już dość nasłuchiwałem się tych bredni – machnął ręką komendant, po czym coś wywachał. Brond też to poczuł. – Cholera, co to za smród? Już wyjaśniałem Denilowi, że tu się nie pali... Tak czy owak, znów się pan myli, bo Nasir zawiadomił policję, gdy tylko znalazł się w bezpiecznej odległości. Natychmiast go zidentyfikowaliśmy, a o tym, co mi pan właśnie powiedział, dowiedziałem się już wtedy i wiem, że pan kłamie. – Brond zmrużył oczy. Co to mogło znaczyć? – Tak jest, nie oszuka pan policji. Prędzej czy później będzie pan siedział. Jesteśmy...

Dźwięki z korytarza wciąż się nasilały, lecz w napiętej atmosferze nie zwrócili na to uwagi. Teraz rozległ się strzał.

– Do licha! Co tam się dzieje?

Komendant wstał, poszedł do drzwi i je otworzył. Szum z miejsca przerodził się w hałas. Ktoś krzyczał. Coś trzasnęło, chyba o podłogę. A najgłośniejszy był ten trzepot. Chyba ptaków.

Z punktu widzenia Bronda korytarz był niewidoczny. Zobaczył tylko, jak komendant oniemiał, a potem starał się przebić przez hałas. Było tak głośno, że nawet Brond nie słyszał jego słów. Wans musiał wyjść na korytarz. Wkrótce potem drzwi zamknęły się z trzaskiem.

W pokoju znów zrobiło się nieco ciszej, lecz sądząc po odgłosach, na korytarzu rozpętało się istne piekło i nie miało się wkrótce skończyć. Głos komendanta stawał się bardziej odległy, a hałas nie cichł. Może nawet nabierał siły.

Brond doszedł do wniosku, że Wans uparcie będzie trwać przy swoim, a on powiedział wszystko, co mogło w jakikolwiek sposób wpłynąć na sytuację. Dalsze przebywanie tutaj nie miało sensu. Jeśli komendant zmieni zdanie, stanie się to niezależnie od jego dalszych działań.

Wstał i chwycił kluczyk, który komendant w pośpiechu zostawił po drugiej stronie biurka. Wysiłił się, sięgając do dziurki od klucza, ale kaj-

danki były zbyt mocne, żeby wetknąć w nią klucz, a co dopiero przekreślić. Brond sapnął z bólu. Nie docenił tych kajdanek. Co, jeśli komendant wróci i zobaczy, jak on usiłuje się wydostać?

Olać to, stwierdził. Czy ucieknie, czy nie, wyjdzie na to samo. Spróbował jeszcze raz drugą ręką, ale jeszcze zanim zaczął wiedział, że to na nic. Tylko nadgarstki bolały go z wysiłku.

Wreszcie wpadł na inny pomysł. Ostrożnie włożył kluczyk do ust i przytrzymał zębami. Potem zbliżył usta do dziurki od prawej ręki. Klucz wszedł. Następnie Brond przekreślił go zębami. Przez moment był pewien, że wypadnie. W końcu zamek ustąpił i ręka była uwolniona. Z drugą ręką poszło już o wiele łatwiej.

Pod jednym względem Wans miał rację – Brond faktycznie miał niedaleko do wolności.

Przelotnie pomyślał o podeptaniu czapki „PRAWO TO JA”, ale nie wiedział, ile ma czasu, a poza tym mógł zostać oskarżony o niszczenie mienia policji, czy na co ten maniak wpadnie. I tak już dostatecznie go zdenerwował. I z wzajemnością.

Okna były na tyle duże, że wystarczyło je otworzyć i przedostać się nad parapetem. Tym razem nie musiał schodzić z trzeciego piętra. Trawnik ciągnął się jeszcze z dziesięć kroków i kończył płotem, więc mógł odbiec od budynku, zanim dotarł do frontu. Dochodząc do ulicy, przelotnie spojrzął na przednią część budynku.

To, co zobaczył, sprawiło, że omal zapomniał, żeby rzucić się biegiem i stąd uciekać.

Przed wejściem zebrała się cała grupka ptaków, chyba kaczek. Drzwi były otwarte na oścież i niektóre z nich chyba próbowały wejść do środka. Może nawet były w środku. Brond nie miał czasu, żeby o tym myśleć, i biegł wzdłuż ulicy. W tej chwili ważne było, jak najskuteczniej i najszybciej zniknąć policji z oczu.

Uciekał już drugi raz tego dnia, lecz tym razem nie biegł z pustym żołądkiem, a w dodatku minęła już ponad godzina, odkąd zjadł, i jego żołądek nie był już tak zajęty trawieniem. W efekcie miał do dyspozycji całą swoją energię.

Po minucie dotarł do zakrętu i skręcił. Jeśli miał zniknąć policji z oczu, na pewno nie zrobi tego biegnąc główną ulicą. Wans mógł już odkryć, że uciekł, i ogłosić alarm. Policja w całym mieście może być czuj-

na jak nigdy. Szukał więc mniejszych uliczek, w których trudniej byłoby go zlokalizować.

Najlepiej byłoby znowu uciec transportem publicznym, ale nie wiedział w pobliżu autobusu do złapania, a poza tym kto wie, czy i do nich policja by się nie dobrała. Metro zaś mogło być strzeżone, zwłaszcza że tak wielu ludzi z niego korzysta. Najlepszą opcją byłaby taksówka, lecz tu nie obyłyby się bez płatności, a nie miał już przy sobie pieniędzy. Musiał uciekać pieszo.

Skreślił w następną ulicę, ale okazało się, że ta jest większa. W dodatku musiał przejść przez pasy, żeby nie kręcić się w kółko. Stracił tu co najmniej pół minuty. Wreszcie przebiegł i miał skreślić w następną ulicę, kiedy usłyszał za sobą świst opon. Obejrzał się. Radiowozowi brakowało świateł, ale Brond natychmiast rozpoznał wychodzącego policjanta po mundurze.

– Stać!

Policjant zaczął do niego biec z bronią w rękę, ale trzymał ją lufą do dołu. Dzieliło ich co najmniej sto kroków. Tymczasem na światłach pasów przez boczną ulicę właśnie pojawił się zielony ludzik. Jeśli broń działała tak, jak Brond podejrzewał, trafienie go podczas przechodzenia przez pasy zahamowałoby ruch, a kierowcy mogliby przeżyć traumę.

Postanowił biec. Serce łomotało mu w piersi. Przez chwilę wszystko jakby ucichło w oczekiwaniu na strzał, lecz Brond nic nie poczuł. Dotarł do drugiej strony jezdni i nic się nie stało.

Policjant chyba przeklął. Brond nie wiedział. Biegł już boczną ulicą i nie obchodziło go to. Samochody ruszyły. Światła musiały się zmienić na czerwone, ale policja pewnie i tak znajdzie sposób, żeby przejść.

Brond biegł dalej. Adrenalina była na najwyższym poziomie. Gdyby coś lub ktoś wyskoczyło mu nagle przed twarzą, pewnie popchnąłby to bezmyślnie i biegł dalej.

Jednak zamiast przed twarzą, gdy skręcał w następną alejkę, coś zmieniło się pod jego stopami. Właz studzienki przekreślił się i Brond wpadł do środka, uderzając w niego głową. Zanim zdążył krzyknąć, uderzył w coś twardego i stracił przytomność.

X

Firma „Diabeł”, znana z niedawno rozpowszechnionego energetyku o tej samej nazwie, jeszcze się rozwijała i jej lokal był niewielki, tak samo jak liczba zatrudnionych osób. Omawiali właśnie nową strategię marketingową. W zespole pojawiły się dwie nowe babki i szef omawiał pomysł, czy reklama z kobietą może dobrze wpłynąć na konsumentów płci żeńskiej, kiedy zadzwonił telefon Henka.

– Chwileczkę – powiedział.

Henk spojrział na ekran i uśmiechnął się.

– To Dzikie Brond! Mówiłem wam, że się jeszcze odezwie?

– O rany – mruknął szef, któremu właśnie przerwano entuzjastyczną wypowiedź. – Byle szybko.

Henk odebrał połączenie.

– Halo?

– Dzień dobry. – Głos brzmiał inaczej. – Mówi komendant policji Maka Bonk.

Henk osłupiał.

– Komendant? – zdołał tylko powiedzieć. Wszyscy popatrzyli się na niego.

– Zgadza się. Chciałbym zadać panu kilka pytań. Czy ma pan możliwość prowadzenia nieprzerwanej rozmowy?

– Aha... jedną chwilę. – Na moment odsunął telefon od ucha. – Słuchajcie, z numeru Bronda zadzwonił do mnie komendant! Dzikie Brond chyba coś przeszkrobał.

– Cóż, dzicy ludzie raczej nie przestrzegają prawa – mruknął szef. – Dobra, wychodź, tylko nie spędź tam kilku godzin.

Szef mruknął coś jeszcze, chyba że komendant „nie mógł sobie wybrać lepszej chwili”, ale Henk już zamykał drzwi na zewnątrz.

– Dobra, już mogę rozmawiać – rzucił do telefonu.

– Nie będę wdawał się w zbędne szczegóły. Najpierw proszę mi powiedzieć, jak przedstawił się panu człowiek, któremu podał pan swój numer.

– Nazywa się Brond. Ale ja ochrzciłem go Dzikim Brondem.

– To pełne imię? – Komendant zupełnie zignorował drugie zdanie.

– Nie wiem. Przedstawił mi się po prostu jako Brond.
– Jak długo go pan zna i kiedy ostatnio się widzieliście?
– Poznaliśmy się trzy dni temu, kiedy zaprosiliśmy go do reklamy naszego napoju. W nagrodę otrzymał telefon, który jak rozumiem jest teraz pana. Potem się nie widzieliśmy.

Komendant chwilę milczał.

– Gdzie się widzieliście?

– Bodajże na Klonowej. To na południowym skraju miasta. Myślę, że szedł od strony granicy.

– A ta reklama. O czym była? Czy można ją gdzieś znaleźć?

– Oczywiście. To najnowsza reklama napoju energetycznego „Diabeł”. Sam ją nagrywałem. Tego samego dnia zmontowaliśmy i opublikowaliśmy filmik. Najpierw przedstawia szefa, który potem rzuca Dzikiemu Brondowi napój, a on gra główną rolę. Spodoba się panu. Co właściwie stało się z Brondem?

– Dzień po tym wydarzeniu zaatakował cywila w pobliżu Parku Królewskiego. Obecnie badamy wszystkie kontakty Bronda. Czy zauważył pan coś podejrzanego w jego zachowaniu?

– Kurczę. – Henk był zaskoczony. – To niemożliwe, żeby Brond był przestępcą. Nie jestem pewien, czy nawet wiedział, co z nim nagrywamy. Był zdezorientowany i wyglądał, jakby właśnie wyszedł z dziczy. Myśli pan, że dlaczego nazwałem go Dzikim?

– Czy mówi panu coś nazwisko Nasir al-Hazad... albo al-Chemia?

– Nic a nic. Ani jedno, ani drugie.

– Dziękuję. Pańska pomoc może się okazać kluczowa.

Z tymi słowami komendant rozłączył się.

*

Wans siedział w swoim biurze, tym, z którego przed paroma godzinami dał uciec przestępcy, kompromitując się przed całą policją. Już nie mówiąc o tym, że to nie on ani jego ludzie złapali wtedy Bronda. Zrobili to ci dwaj, których dopiero co zdegradował do drogówki. Ten niezmierny przypadek przyprawiał go o wściekłość. Ta sprawa zaczynała go przerażać. Czuł, że Brond staje się epicentrum trzęsienia ziemi, które dokony-

wało się na jego wizerunku, a które w ostatecznej fazie mogło doprowadzić nawet do końca jego kariery w policji.

Jakiś cichy głos w głowie podpowiadał mu, że Brond mówi prawdę i zbyt szybko podjęli działania. Tyle że wszystko inne wręcz temu przeczyło. Komendant wiedział, że ten głosik miał rację bytu tylko dlatego, że Brond nieustannie próbował mu wmówić, że nic nie wiedzą o tym Nasirze. Wans powinien był przeprowadzić to przesłuchanie w towarzystwie Lemmisa (do licha, gdyby tak było, pewnie nie musiałby teraz po raz kolejny ścigać Bronda!), lecz nie sądził, że Brond będzie aż tak skory do wytrącenia go z równowagi. W końcu co powiedział mu Lemmis o Nasirze? Dał mu dość wymijające odpowiedzi, na przykład, że nie mogli go przesłuchać, bo był „nieuchwytny”. O jego tożsamości też mówił niewiele. Dopiero dzień po ataku w ogóle o nim wspomniał, zupełnie jakby wcześniej go pomiął. W konfrontacji z Brondem powiedziała by więcej, niż to, co „potrzebował” wiedzieć komendant. A, jak zaczynał sądzić Wans, detektyw nie podał mu wszystkich szczegółów. To już kolejny błąd ze strony komendanta.

Tymczasem Brond był taki spokojny i przekonujący. Pasowałyby to do seryjnego zabójcy. Tylko coś tu się nie zgadzało: dlaczego Henk powiedział o nim, że był „zdezorientowany”?

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Komendant uruchomił wyszukiwarkę i wpisał „napój energetyczny Diabeł najnowsza reklama”. Wyskoczył mu kilkusekundowy filmik.

Zgodnie z opisem Henka, filmik zaczynał się od wypowiedzi szefa firmy, który samym zachowaniem przypominał świra, a jego gadanie o „powrocie do korzeni” tylko pogłębiało to wrażenie. Potem rzucił napój Brondowi.

Przez chwilę komendant był pewien, że to był ktoś inny. Jednak głos i twarz pasowały do Bronda. Teraz zrozumiał, dlaczego ten Henk mówił o nim „Dziki Brond”. On faktycznie wyglądał, jakby wyszedł z dziczy.

Początkowo komendant nawet się nie zorientował, że filmik dobiegł końca, i dopiero po chwili przewinął do początku i zatrzymał w chwili, w której Brond łapie energetyka. Przesztypany był w autentycznym zaskoczeniu, ale akurat na tej klatce było to zrozumiałe. Przewinął trochę dalej i zbliżył w chwili, gdy kamera zaczęła się odsuwać z powrotem do ekscentrycznego szefa firmy. W tej klatce zaskoczenie uszło już z Bron-

da, lecz na jego twarzy nadal widniało całkowite zdezorientowanie i brak pewności siebie, co było stuprocentowym przeciwieństwem wrażeń, które sprawił na komendzie... Może z wyjątkiem tego, że nie słyszał wcześniej o testach genetycznych i bazach policyjnych. Kim tak naprawdę mógł być?

Wans przypomniał sobie zeznania Denila. Wspominał, że Brond próbował mu wmówić, że... jak to szło? Że ściga mordercę z zaświatów?

Było coś jeszcze. Po dokładniejszym przyjrzeniu się klatce reklamy, komendant zauważył, że jedna ręka i noga Bronda były pokryte liśćmi. Zupełnie, jakby zrobił sobie z nich opatrunek. Henk wspominał, że mógł iść od granicy miasta. A co jest na południu miasta?

Wans doznał olśnienia. Wszystko składało się w całość! Gość autentycznie pochodził z lasu i najwyraźniej spędził w dziczy większość swojego życia. Bo niby dlaczego nie miał dowodu tożsamości? Ani nawet nazwiska, jak twierdził? To wydawało się niemożliwe w dzisiejszych czasach, ale najwyraźniej tak było.

Pozostawało tylko wyjaśnić, czemu zaatakował Nasira. Oczywiście z powyższymi wnioskami można by mówić nawet o schizofrenii, ale gdyby był psychiczny, nie myślałby tak trzeźwo i racjonalnie podczas przesłuchania, prawda? Właśnie, nie wszystko składało się w całość. Zrozumienie jego motywu wydawało się nieosiągalne.

Wans skupił się na tym, co zbieg powiedział mu na przesłuchaniu. Powiedział wtedy o Nasirze, że wcześniej inaczej się ubierał. A więc zarówno Brond, jak i Nasir zmienili swój wygląd... Chyba że Brond kłamał – świadomie lub nieświadomie – i w rzeczywistości tylko on się zmienił. Tyle że zgodnie z tym, co opowiedział Denilowi – a, jak mówił Denil, próbował to najpierw ująć w łagodniejszy do zrozumienia sposób – ci dwaj znali się już dawniej. Pozostawało więc pytanie: czy ten gość wierzył w to całą swoją duszą, mimo że była to nieprawda? A może była to prawda i obydwaj są psycholami z lasu, tylko że jeden zdążył wyrobić sobie fałszywy dowód tożsamości? Czy to w ogóle możliwe?

I skąd, u licha, wzięły się kaczki na komendzie?!

– Panie komendancie – odezwał się głos z krótkofalówki. – Mamy już pełną kontrolę wokół miejsca, w którym ostatnio widziano zbiegłego podejrzanego. Prowadzimy aktywną współpracę z kamerami monitoringu i wiemy, że nie opuszczał tej lokalizacji, ale na żadnej z ulic nic nie

znaleźliśmy. Czy powinniśmy sprawdzić mieszkania osobiste, jeśli zajdzie taka potrzeba?

– Jasne, przeszukajcie cały teren. Przecież nie zapadł się pod ziemię!

Policjanci dalej nic nie znaleźli, ale czego mógł się spodziewać? W końcu za drugim razem zbieg zachowa tylko większą ostrożność.

Przynajmniej nie potrzebowali go już w celach informacyjnych, a przynajmniej w znacznie mniejszym stopniu. Zdobyli wszystko, co mogłoby się przydać w dokładniejszej ocenie sytuacji.

Wans wyszukał w bazie danych nazwisko Keina Harlona. Rzeczywiście go znalazł i nawet wpisał jego numer, lecz wstrzymał się z naciśnięciem przycisku połączenia. Jako że Kein był w kontakcie z Brondem, komendant nie mógł go przeoczyć, jednak wcześniej miał ważniejszą rozmowę do przeprowadzenia.

Z Lemmisem.

*

Szумы. Chyba jakieś bulgotanie. Coś leje się strumieniami. Zapewne krew wszystkich tych, których zawiódł. Zawiódł wszystkich i nastąpiło Żniwo, a teraz mógł tylko leżeć nieruchomo i patrzeć. Przedziwny paraliż wymuszał na nim bezruch. Może tylko patrzeć. Patrzeć i pokutować.

– Brond...?

Detektyw-zbieg. Uciekinier, który zostawił wszystkich na pastwę losu. Teraz to los pastwi się na nim. Zmusza go, aby patrzył. Aby widział pełnię swojej porażki.

Jakieś odległe kapanie, jakby z wnętrza jaskini. To deszcz; wcześniej lał jak szalony, teraz przycichał. Wkrótce Żniwo miało dobiec końca. Błyski i grzmoty ustały; przygasający ogień kończył już trawić miasto. Szalony wicher zastąpiły szepty martwych dusz. Atmosfera przycichła i została tylko ciemność, pochłaniająca ostatnie żyjące istoty poszukujące schronienia.

– ... wstawaj, do jasnej...

To już koniec. Nie spełnił swojej misji. Mógł tylko umierać w bezruchu na szarej łacie, z której uszło wszelkie życie. Może już czas, aby zejść ze sceny. Czas, aby...

– Brond!

Otworzył oczy. Znajomy głos niósł się echem.

Nic nie widział. Pewnie dotarł do tego miejsca, gdzie trafia się po śmierci, miejsca, gdzie są wszyscy jego dawni znajomi. Może wreszcie odnajdzie swój ulubiony bar, Wrednego Smakosza, albo odwiedzi „Inn Validę”, taką, jaka była za dawnych czasów. Porozmawia z Rab-Dawim; może zjedzą razem królewski posiłek. Ten nowy, a zarazem stary świat na pewno był o wiele piękniejszy. Wszystko pewnie się mieni od światłości i czystości. Tylko czemu tak tu śmiedzi?

Poczuł stające na nim zimne, mokre, trójpalczaste kończyny, i natychmiast się poderwał. Nadal ledwie cokolwiek widział.

– Umarłem? – zapytał, pólżąc.

– A gdzie tam! Przecież widzę, że żyjesz.

Oczy przyzwyczajały się do ciemności. Niewielki kształt stojący przed nim nabierał wyrazistości. Jego kolor mniej, lecz Brond nie miał wątpliwości.

– Żłota Kaczka.

– We własnej osobie!

Brond próbował zrozumieć, co się dzieje. I gdzie jest.

– Ty też wszedłeś do Studni Aghroru?

– Że jak? Nie wszedłem do żadnego Agdolu. Znam lepsze przejścia niż studzienki. Wstawaj, nie możemy tu siedzieć zbyt długo.

– Miałem na myśli ten staw, w którym cię uwięzili. – Brond podniósł się z twardego gruntu i rozejrzał się. Żałował, że nie miał przy sobie telefonu, na którym mógłby włączyć latarkę, ale oczy same jakoś sobie poradziły.

Był w jakimś ogromnym kanale.

Tuż obok niego lał się strumień wody. Tunel był długi; jego koniec ginął gdzieś w ciemności. Początku też nie było widać. Nie był pewien, jak się tu znalazł. Pamiętał tylko, że coś otworzyło się w chodniku, uderzył w to głową, a zaraz potem stracił przytomność.

Dotknął czoła. Zasychająca krew była na nim wszechobecna.

– No tak, pamiętam! – wykrzyknęła nagle kaczka. – Chyba myśleli, że będę jakąś tam ich atrakcją czy coś. Słuchaj, nie wiem, jak się tu znalazłeś, to nie moja sprawa. Chodź, może mi opowiesz. Lepiej tu nie zostawać, bo jeszcze przyjdą jakieś świry i nas zjedzą.

– Czekał – zatrzymał go Brond. – A skąd ty się tu wziąłeś?

– No jak to skąd? Może i nie było mnie tu cały czas, ale przecież nigdzie nie zniknąłem. Fakt, niektórzy chcieli zabić boga, nawet kaczkę, ale nikomu się to nie udało.

– Zaraz. Chcesz mi powiedzieć, że... żyłeś przez te wszystkie wieki?

– No jasne! A tak między nami – dodała ciszej – to nie wiem, czemu tak jest. Niby oczywiste, że jestem bogiem, ale trochę zmyślałem z tymi początkami wszechświata. Urodziłem się w tych czasach, co ty, i od tamtej pory żyję. Myślałem, że tylko ja tak potrafię.

– Bo tak jest. Ja żyję zaledwie trzydzieści lat. Jestem tu, bo Nasir, o ile go jeszcze pamiętasz, wylał coś do stawu, w którym wcześniej siedziałeś, i chyba zapadliśmy w jakiś dziwny sen, po którym obudziliśmy się kilkaset lat później.

– O kurczę. Czyli to jednak moja sprawka. Nie wiedziałem, że potrafię uzyczać boskiej mocy stawom.

– Co? Nie, nie rozumiesz. To dzieło Nasira. Coś wykombinował z tą księgą, którą na chwilę mi dał. Chyba postawiłem go w sytuacji bez wyjścia i przeniósł nas w przyszłość.

– To ty nie rozumiesz. Nie widzisz, że to była boska interwencja? Obaj jesteśmy tu dzięki moim mocom.

– Nieprawda. Nie żyję kilkaset lat, bo nie miałbym tego. – Brond odsunął rękaw i pokazał ranę po cięciu z groty, której daleko było jeszcze do zniknięcia. – Widzisz? Pamiętasz, jak mi to zrobili? Powiedziałeś wtedy, że to „fanatycy religijni”.

Kaczka uniosła łebek i przyjrzała się ranie.

– A niech mnie. Rzeczywiście pochodzisz sprzed wieków. To cud, że tak długo sobie tu poradziłeś.

– Prawdę mówiąc – rzekł szczerze Brond – chyba byłbym gotów to zakończyć, gdybyś się tu nie pojawił. Myślałem, że już nikt mi nie został.

– Wiem – odparła kaczka. – Dobra, lepiej wynośmy się z tego smrodu.

– Racja – odparł Brond i ruszył za kaczką.

Szli przez chwilę w milczeniu. Brond próbował pojąć, jak to się stało, że Kaczka tu w ogóle jest i go znalazła. Towarzyszył im wszechobec-

ny dźwięk szumiącej wody, a czasami jakieś odległe kapanie. Te kanały musiały być duże.

– Obserwowałeś mnie przez cały czas. – Ich głosy niekiedy odbijały się echem, więc mówił trochę ciszej. W końcu ktoś jeszcze mógł się tu kręcić. Może nawet policja?

– Przez większość czasu – przyznała kaczka. – W końcu dysponuję największą siecią szpiegów na świecie. Trochę pomogłeś, gadając do kaczek w parku.

– Właśnie. Czemu cię tam nie było?

– Wiesz, minęło sporo czasu. Teraz to nie ty znajdujesz Kaczkę, to Kaczka znajduje ciebie – rzekła Żłota Kaczka. – Za bardzo rzucałem się tam w oczy. Kto wie, co szaleni ludzie chcieliby zrobić z malutkim bogiem. Nie każdy zasługuje, żeby widzieć takie stworzenie, jak ja.

– Pod jednym względem się nie zmieniłeś. – Kaczka spojrzała na niego. – Nadal uważasz się za centrum wszechświata.

– No, jakoś jestem jedyną nieśmiertelną istotą. Trudno nie zauważyć, że wszystko kręci się wokół mnie.

Tunel dochodził do rozwidlenia i kaczka wybrała prawą odnogę. Po chwili Brond kontynuował:

– Ale właściwie to nie wiesz, czy jesteś nieśmiertelny. Żyjesz setki lat, ale może kiedyś to się skończy?

– Wiem coś o starych kaczkach. Znałem ich wiele i wiele pochowałem. Zawsze byłem silny i młody, nigdy się nie kończyłem, niczym bogowie wymyśleni przez ludzi. Tyle że w przeciwieństwie do mnie oni byli fałszywi. Tylko idiota nie zauważy, że to kaczki są ponad ludźmi, mimo że ci ciągle próbują się wywyższać.

– Chcesz powiedzieć, że większość ludzi to idioci?

– Owszem – odparła kaczka bez namysłu. – I dlatego nic nie mam do króla Rab-Dawiego, który zakładał się ze mną o to, kto dłużej przeżyje.

– Król nie żyje... – westchnął Brond. To jego najbardziej mu brakowało.

– Tak jak wielu innych przed i po nim. Choć żył całkiem długo jak na króla.

– Właśnie – zauważył Brond. – Skoro żyłeś przez te wszystkie lata, jesteś największą skarbnicą wiedzy o historii królestwa.

– Największą i najbardziej zlekceważoną. Ludzie budują całe muzea dla rzeczy, które działały się na moich oczach, wyobrażasz sobie? Popęłniają mnóstwo głupich błędów, ale ich to nie przejmuje. Niektórzy wręcz próbują pisać historię na nowo.

– To musi być oburzające.

– Co ty. Prędyż czy później ich muzea padną, a ja będę żył dalej. Po co miałbym się przejmować nietrwałymi tworam i rasy, która woli się zapewniać o swojej dominacji niż spojrzeć prawdzie w oczy i zobaczyć, że ich pobyt jest tu ograniczony.

Oczami detektywa Brond widział, że wszystkie te wieki odcisnęły na Kaczce swoje piętno. Musiała wiele myśleć przez ten czas. I wiele doświadczyć. Jednak mimo wszystko wciąż bywała uparta i zarozumiała.

Dotarli do większego rozwidlenia. Tunele tworzyły tu wręcz skrzyżowanie, po którym niektóre z nich dzieliły się dalej. Każdy ginął w mroku, przez co Brond czuł się tu niebezpiecznie. Kaczka szła dalej naprzód, mijając wszystkie boczne przejścia, ciągle idąc w górę strumienia.

– Dokąd właściwie idziemy? – spytał Brond.

– Myślisz, że żyję w tych kanałach? Może i mam większą odporność na smród i ciemność, ale to nie moje klimaty. Mam jedną bazę we wschodniej części miasta. Jest prawie na pograniczu, więc tak łatwo nas tam nie znajdą. Całe szczęście w tym państwie nie ma autorytarnej władzy, która chciałaby kontrolować wszystkich swoich obywateli.

– Właśnie. – Brond przypomniał sobie, co widział, czytając artykuły.

– Co się stało z królami? Czy to wina Rab-Dawiego?

– Nie, on był naprawdę dobry, oczywiście dzięki moim radom. Ale, jak mówi popularne powiedzenie, Rab-Dawi naprawił, a inni zepsuli. Ktoś dał ludziom więcej, więc przy okazji zgarnęli sobie całe królestwo. Chyba wkurzyli się na kóregoś z królów, nie wiem, już mnie tu wtedy nie było.

– Uciekłeś? Dlaczego?

– Wiesz, z upływem czasu bogowie byli coraz bardziej zniechęceni, nie tylko przez ludzi. Zaczęło się od tego, że Rab-Kirai, prawnuk Rab-Dawiego i wyjątkowo pusty łeb, uznał mnie za zagrożenie i kazał mnie ścigać. To były dla mnie ciężkie czasy, wiesz? Mijały pokolenia, a to się nie kończyło. Potem pojawiły się te kolorowe kaczki – te, które

widziałeś w parku – przez co niektóre z kaczek uznały mnie za fałszywe bóstwo. W końcu wśród kaczek też mogą zdarzyć się debile. Zaczęły powstawać różne kaczę frakcje wewnątrz królestwa i niektóre z nich opowiadały się po stronie króla, mimo że to tylko ja znałem ludzki język. To był naprawdę wielki burdel. Zwinąłem się po tym, jak jedna z frakcji kolorowych usiłowała mnie uprowadzić. Rozumiesz, uprowadzić boga? Co za absurd, oczywiście im się nie udało. Rozkazałem moim zwolennikom rozpocząć krucjatę na ziemi kolorowych. Pewnie nie słyszałeś o „wielkim przejściu XVI wieku”; wśród ludzi niewiele się o tym mówi. Przemieszczaliśmy się przez co najmniej kilkanaście... Chwila, ty też to słyszysz?

Brond nie usłyszał od razu, lecz zauważył zmianę w oświetleniu. W pobliżu było jakieś źródło światła.

– Czy zbliżamy się do...

– Ćśśś! – uciszyła go Żłota Kaczka. W miarę zbliżania się do światła jej pióra coraz bardziej mieniły się złotem.

W miarę, jak podchodzili bliżej, do uszu Bronda zaczęły dochodzić odległe szумы. Początkowo nie słyszał ich przez strumień wody, ale teraz były już głośniejsze, a światło stawało się bardziej obecne.

Tunel, który wcześniej lekko skręcał, teraz ukazał boczne przejście, z którego to światło biło. Szумы przerodziły się w jednolite pomruki. Brzmiały trochę niepokojąco, lecz tunel nie miał innych odnóg i musieli iść na wprost. Kaczka spoglądała na niego porozumiewawczo. Poruszali się cicho i powoli.

Przystanęli przy odnodze i zajrzeli do środka tunelu. To, co tam było, sprawiło, że Brond poczuł, jak włosy lekko stają mu dęba.

Odnoga w rzeczywistości była otworem w pomieszczeniu wyglądającym jak jedno z większych rozwidleń, które wcześniej pokonywali, lecz przywodzącym na myśl grootę. W jej centrum znajdowało się coś, co mogło być ołtarzem, a przed nim w półokręgu klęczał tłum ludzi. Jednak nie wyglądali jak ludzie z tego świata; bardziej przypominali Brondowi ludzi z jego czasów, choć w rzeczywistości wyglądali na jeszcze starszych. Ich szaty były podarte do tego stopnia, że ukazywały niemal połowę pleców. Poza tym nosili tylko pasy osłaniające biodra. W rękach trzymali coś na kształt podłużnych patyków. Z ich pochylonych głów

ciągnął się szereg słów, wypowiedzianych jednostajnym i obojętnym głosem. Brzmiało to mniej więcej tak:

– *Omm szana szana sunkarei, nem para tokos lotom...*

Podłużną broń chylili w stronę ołtarza, powtarzając modlitwę raz za razem. Sam ołtarz wyglądał jak sterta kamieni rozrzuconych w niedbały stosik na wpeł zasypany ziemią, pod którym rozrzucono kilka garści mniejszych kamyczków. Na samym szczycie stosiku ułożono czerwony kształt z czymś zielonym wystającym u góry. Brond zmrużył oczy w niemym przerażeniu.

– Czy to jest...

– Sekta Upadłego Buraka.

Nigdy wcześniej nie słyszał, jak kaczka szeptała. Brzmiało to na wpeł ludzko, na wpeł kaczo. Teraz nie miało to jednak znaczenia. Brond patrzył z niedowierzaniem na coś, co wyglądało jak prymitywne obrządki. Rab-Dawi byłby przerażony, pomyślał.

Po bokach i w mało wyróżniających się miejscach stali ludzie dzierżący pochodnie; oni też wymawiali modlitwę. Pochodnie te stanowiły jedyne źródła światła w pomieszczeniu.

Brond poderwał się odruchowo, gdy ci nagle zmienili położenie. Jedni pojawili się bliżej otworu, na szczęście jednak nie zwrócili wzroku w ich stronę. Inni pojawili się przy ołtarzu, gdzie bocznym przejściem naprzeciw ludowi wyszła postać w kapturze. Gdyby nie bliskość pochodni, Brond pomyślałby pewnie, że to Nasir, lecz – pomijając, że dawny pomocnik Doktora Prunda już się tak nie ubierał – szaty tego człowieka były w niewiele lepszym stanie, niż reszty zebranych. Nawet kaptur był porwany i postrzępiony, tak jakby stanowiło to część wyznania. W przeciwieństwie do reszty miał na sobie również buty, prawdopodobnie sandały, choć trudno było to stwierdzić z pewnością. Jego głos był równie jednostajny, choć nieco głośniejszy od reszty.

– Święty, pamiętamy o Tobie i o duszy Twojej. Łączymy się z Tobą i czujemy, że słyszysz modły nasze i częstujesz się krwią naszą.

– Święty, czuwaj nad nami – odparła reszta.

– Nadeszła pora uczczenia trzeciego miesiąca trzysta czterdziestego piątego roku od Dnia Podpalenia. Żeby połączyć się z Tobą w bólu, ofiarujemy Tobie część naszego ludu.

– Żeby połączyć się z Tobą w bólu – powtórzyła reszta.

Zaczęły bić bębny, ustawione gdzieś poza zasięgiem wzroku Bronda. Lud dołączył do bębnow, uderzając pałkami o ziemię w ich rytm.

Potem przyprowadzono związaną ofiarę. Ustawiono ją przed ołtarzem, tak, aby replika Buraka pozostała widoczna. Następnie dwaj ludzie stojący obok pochylili pochodnie w stronę ofiarowanego.

Brond odwrócił wzrok od miejsca, z którego zaczęły dochodzić nie-ludzkie jęki. Kaczka była już trochę dalej. Z niepokojem oddalił się od miejsca kultu i podążył za nią.

Nie wiedział, co powiedzieć. Przez pewien czas szli w milczeniu. Oddalili się już od bicia bębnow, od światła i pomruków. Nieludzkie jęki najwidoczniej ustały. Teraz znów szli przez ciemność, a jedynym towarzyszącym im dźwiękiem był strumień deszczówki, teraz nieco mniejszy i cichszy.

– Co właściwie stało się ze Świętym Burakiem? – spytał wreszcie Brond.

– Pewnie myślisz, że go zdeptałem. Niestety zdołali mnie uprzedzić. Akurat byłem wtedy po drugiej stronie świata i nie zdążyłbym wpaść na imprezę. O ile wiem, wyrwali go z korzeni, a żeby powstrzymać próby wsadzenia go tam z powrotem, został publicznie spalony. To stało się mniej więcej wtedy, kiedy lud wkurzył się na królów. Pewnie nakazywano im fałszywą wiarę i wreszcie nie wytrzymali.

– Czyli wiara upadła pod wpływem nacisku...

– No, nienajlepszy koniec – przyznała kaczka. – Po tym wydarzeniu fanatycy musieli się jakoś pochować, i w końcu znaleźli sobie miejsce w kanałach. Raz miasto próbowało ich usunąć, ale zrezygnowali, bojąc się większych strat w ludziach. Ja też nie chciałbym mieć większych strat w kaczkach, więc siedzą sobie dalej.

– Tylko tyle z nich zostało?

– Właściwie to nie, jest tego więcej. Do tego przemieszczają się z miejsca na miejsce, więc nigdy nie wiesz, gdzie ich spotkasz. To przez nich podziemia są takie niebezpieczne. Nawet menele się ich boją. Ale to też oni najczęściej wstępują do sekty. Pewnie niektórzy uznają to za godny sposób na dopełnienie samobójstwa.

Brond tylko westchnął z przerażenia. Miał nadzieję, że wkrótce się stąd wyniesie, i że nie spotkają kolejnego miejsca modłów. Nie chodziło tylko o samo niebezpieczeństwo; obserwowanie i słuchanie tego było

dla niego wystarczająco niepokojącym doświadczeniem i nie chciałby tego powtarzać.

W oddali znów zaczynało świtać, jednak tym razem nie towarzyszył temu miarowy pomruk. Zbliżali się do wyjścia. Dotarli do miejsca, w którym kanał skręcał, lecz z drugiej strony był inny, mniejszy tunel, z którego biło światło. Ze ściany obok wystawały rury, którymi woda wpadała do kanału.

– To przejście stworzyły kaczki – rzekła Złota Kaczka, patrząc w stronę tunelu.

– Chcesz powiedzieć, że wykopaliście to sami?

– Wątpisz w możliwości kaczek?

Brond zaprzeczył, choć sam już nie wiedział, w co wierzyć, a w co wątpić. Po dzisiejszym dniu, począwszy od pościgu i przesłuchania, a skończywszy na kilku godzinach spędzonych w mrocznych kanałach ściekowych będących miejscem modlitw fanatyków, jego światopogląd uległ znacznej zmianie. Nie wiedział, czy kiedyś zasymiluje się z nową rzeczywistością. Nie myślał już nawet o przyszłości, brzemię teraźniejszości było bowiem zbyt ciężkie.

Tunel był ciasny i lepki, lecz światło i świeże powietrze zapraszały na zewnątrz i Brond nie potrzebował dodatkowej zachęty, żeby wydość się z kanałów.

XI

Komendant stał przed małym, wolnostojącym domem.

Wcześniej był tu tylko raz, kiedy omawiał z detektywem kwestię pewnego dawnego agenta, który sfingował swoją śmierć, a potem stanął po niewłaściwej stronie i pragnął zaszkodzić temu miastu, włączając w sprawę rosnącą wtedy mafię. Swego czasu ta sprawa była dla nich całym życiem. Wans nie był wtedy jeszcze komendantem; wraz z Lemmisem rozpracowali tu lokalizację, w której agent trzymał broń i łupy. Nie wszystkie ciała ofiar odnaleziono. Mafia zaś nie ucierpiała od całej akcji, a od tamtego czasu chyba tylko rosła w siłę.

Pomimo swojej długiej współpracy i jeszcze dłuższej znajomości, detektyw nigdy nie był komendantowi bliski i wiązały ich tylko sprawy służbowe. Tak naprawdę Wans wiedział bardzo niewiele o życiu prywatnym swojego kolegi. Nigdy nie zawracał sobie głowy tym, dlaczego detektyw nie jest żonaty, ani że mimo swojej pozycji mieszka w domu, który mógłby należeć do przeciętnego policjanta. (Wans nie myślał o Lemmisie w kategoriach innych niż „policjant”, nie mógł go więc porównać do kogoś, kim nie był.)

Nie zmieniało to jednak faktu, że musiał z nim porozmawiać. Komendant nie widział go od czasu, gdy przesłuchiwał Bronda. Wszystko zmieniło się w chaos, kiedy na komendę niespodziewanie wpadła gromada kaczek. Ostatecznie cała akcja skończyła się bez strat w ludziach, i w kaczkach chyba też. Ten dzień był dla niego katastrofalnie absurdalny i towarzystwo dawnego znajomego, jakim był detektyw, podziałałoby teraz jak środek na uspokojenie.

Jednak detektyw nie dawał żadnych oznak życia. Nie odbierał telefonów, a kiedy Wans dotarł pod jego mieszkanie, nie odbierał również domofonu. Wreszcie ściągnął dwóch funkcjonariuszy (nie tych z drogówki, którzy złapali Bronda, bo to byłoby już kuriozum) i nakazał przeszukać mieszkanie.

Kiedy weszli do środka, zastali dom w takim stanie, w jakim Wans zapamiętał go sprzed ośmiu lat. Lemmis był zadbanym człowiekiem, który zawsze utrzymywał dom w czystości, mimo że nikt do niego nie przychodził. Na jego miejscu komendant pewnie by oszalał.

Dom nie posiadał nawet holu wejściowego i zaczynał się od razu salonem. Czerwona kanapa z czerwonymi poduszkami stała naprzeciw zgaszonego telewizora. Ściany były zajęte obrazami, plakatami, szafkami i szufladami. Na podłodze rozpościerał się zdobiony dywan przedstawiający skomplikowane wzory. Na ogół salon był schludny i gustowny.

– Sprawdźcie salon, kuchnię i łazienkę – powiedział Wans. – Ja zajrzę do biura detektywa.

Biuro, a zarazem sypialnia, było jednym z mniejszych pokoi w domu. Wans w ogóle nie rozumiał, jak można tak żyć. Dla niego sypialnia była czymś wielkim, z podwójnym łóżkiem, w którym można się rozpychać, z szerokim oknem, z którego można podziwiać gwiazdy, i z jego cudowną żoną oczywiście. Tymczasem detektyw miał malutkie okienko nad biurkiem, ciasne łóżko w kącie, a co gorsza w pokoju brakowało kobiety. Jak tak można było żyć? Może powinien porozmawiać z resztą policjantów o stanie ich życia? Tylko czy to nie zbyt prywatny temat? W końcu nie chciał przesłuchiwać swoich podwładnych, bo to świadczyłoby o jego braku poszanowania intymności, czyż nie?

Przeszukując biuro detektywa, musiał się jednak okazać pewnym brakiem poszanowania jego intymnych spraw. Z drugiej strony, przeszukując biurko natknął się tylko na dokumenty związane z pracą oraz osobiste. Nie było tu czegoś, co detektyw chciałby ukryć.

W końcu czego mogłeś się spodziewać?, odezwał się głos z tyłu głowy. Że Lemmis prowadzi za twoimi plecami prywatne dochodzenie, które chciałby zataić? Oszukujesz sam siebie. Pewnie wyjechał na moment do jakiejś restauracji czy innej knajpki, żeby przemyśleć ten szalony dzień i odpocząć od pracy, a ty zabrałeś się za przeszukiwanie jego prywatnych rzeczy! Sprowadzasz na siebie nieszczęście.

Wans zlekceważył głos. Był przekonany, że miał on za zadanie jedynie zbić go z tropu, zwrócić uwagę na słabości, które miałyby się znajdować w jego osobie. Przecież jego działania są w pełni uzasadnione, czyż nie?

Szperając dalej w biurku, usłyszał nagle jakiś szmer. Po chwili dźwięk powtórzył się. Coś jakby... skrzypienie? A może trzeszczenie?

Ktoś tu był. Wans wyjął broń. W tej samej chwili usłyszał szmer tuż za sobą. Odwrócił się z wyciągniętym pistoletem.

– To tylko ja, panie komendancie. – Zaskoczony policjant podniósł rękę. – Przeszukiwałem salon, tak jak pan kazał.

– Chyba dostaję paranoi – mruknął Wans, opuszczając broń. – Wpadłeś na jakiś trop?

– Póki co, nie. Trudno określić, kiedy detektyw był ostatnio w mieszkaniu. Może...

– Panie komendancie! – zawołał drugi policjant.

Wszyscy trzej spotkali się w kuchni. Policjant wskazał jedzenie pozostawione na blacie.

– Jest jeszcze ciepłe.

Wans wziął na palec resztkę sosu z talerza.

– Racja, ciepłe. – Wsunął palec do ust. – I całkiem dobre.

– To znaczy, że detektyw mógł przebywać w mieszkaniu nawet godzinę temu – ocenił policjant.

Wans spojrział na kuchenny stół, przy którym osiem lat temu omawiał z młodym detektywem motyw zdradzieckiego agenta, potwierdzone miejsca, które odwiedził, i ludzi, z którymi się kontaktował. Przerabiali to przy tym stole do późnej nocy. Innymi razami umawiali się po pracy w knajpach, parkach, czy nawet u komendanta, ale to właśnie tu rozpracowali kluczowy element, który złożył poszlaki w całość. Wans potarł wężą na myśl o tych wspomnieniach.

Wszystko wymykało mu się spod kontroli. Najpierw Brond, teraz Lemmis. Co dalej? Czy policjanci mają go za świra? Ci dwaj chyba nie, ale... kto wie? Może świat tylko czeka, aż jego rządy dobiegną kresu? W końcu ilu przestępców ostatnio złapał?

Dobra, dosyć tego roztrząsania swoich błędów. Wyszedł przed dom. Samochód Lemmisa stał sobie w najlepsze, tak jakby nic się nie wydarzyło. Tyle że jego samego tu nie było. Gdyby miał gdzieś się udać bez samochodu, to raczej niedaleko, a do tego czasu zapewne już by wrócił. Tymczasem detektyw zniknął, nie dając żadnych oznak życia.

Co, u licha, się tu dzieje?

*

– Wstęp wzbroniony – przeczytał Brond na starej uchylonej bramie.

– Nie dla nas – oznajmiła Złota Kaczka.

Budynek znajdował się w mało zabudowanym otoczeniu na pograniczu miasta. W sąsiedztwie znajdowało się co najwyżej kilka budynków, a niemal cały teren okalał las. Zieleń znacznie pokrywała również ceglane ściany budynku. Nieopodal znajdowały się tory, biegnące dalej wzdłuż rzeki Onk i wpadające w pograniczny las.

Brond podążył za Żółtą Kaczką, która wfrunęła już do budynku.

Budynek składał się z jednego, ogromnego pomieszczenia, które wyglądało na opuszczone. Biorąc pod uwagę przedmioty, jakie się w nim znajdowały, budynek mógł dawniej pełnić rolę jakiegoś magazynu. Jednak był on używany na tyle dawno, że ściany zarosły zielenią, która teraz wdzierała się na podłogę, a światło wpadało do środka setkami dziur w zniszczonym drewnianym dachu. Sama konstrukcja jednak pozostała stabilna.

W magazynie zebrała się już grupka kaczek, beztriosko krążących po kątach, zapewne w poszukiwaniu pożywienia.

– Oto jest moja baza – oświadczyła Żółta Kaczka. – Niezła, nie?

– I to wszystko do nikogo nie należy? – spytał Brond, rozglądając się po przedmiotach.

– Z tego, co wiem, nie. Ostatni raz ten magazyn używano podczas wielkiej wojny, która ogarnęła cały świat parędziesiąt lat temu. Po wojnie żołnierze przenieśli większość sprzętu gdzieś indziej, więc po dokładnej ocenie sytuacji postanowiłem się tu wprowadzić. Nie wiem, czy zamierzają zburzyć to miejsce, ale mam jeszcze kilka baz w zanadrzu, choć ta jest najlepiej wyposażona. Większość tego, co tu widzisz, sprowadziliśmy sami zaraz po wojnie. Ludzie nawet się nie orientują, co my tu kombinujemy tuż pod ich nosem. Wystarczy siedzieć cicho, aby nikt nic nie podejrzewał.

Brond z podziwem rozglądał się po pomieszczeniu. Mebli było niewiele i większość przedmiotów wałała się w nieporządku na podłodze, lecz nie miało to teraz znaczenia. Wielu z nich Brond nigdy nie widział na oczy. Małe i duże pudełeczka, apteczki z mnóstwem malutkich przedmiotów, coś dużego w kształcie miski, co mogło być częścią ubioru, coś, co mogło być bronią. Było też co najmniej kilka noży z ładnymi rękojeściami. W kącie stały jakieś pudła, raczej szczelnie zamknięte, zapewne pozostawione przez wojsko. Podczas gdy Brond podziwiał „bazę”, Kaczka chyba czegoś szukała.

– Jak udało wam się przemieścić coś tak dużego? – Brond utkwił wzrok w helikopterze. A właściwie w śmigle.

– To cudenka potrafi się wznosić w powietrze – odparła Złota Kaczka z pewnym zachwytem.

– W powietrze? – zdziwił się Brond.

– A, no tak. Zapomniałem, że ty nic nie jarzysz – westchnęła kaczka. – Widzisz, sporo się zmieniło od czasów Rab-Dawiego, zwłaszcza w ostatnim stuleciu. Nadszedł czas, kiedy ludzie zaczęli się wznosić wyżej niż kaczki. Zbudowali wielkie stalowe ptaki, które potrafią się wznosić w górę i pruć przez powietrze. Ludzie uważają je za cud techniki, mimo że nawet nie nauczyli ich machać skrzydłami, przez co musi nimi kierować kilku ludzi, bo z jednym mózgiem ta marna replika ptaka po prostu by zgłupiała. Do tego nazwali to samolotem, mimo że samo to mogłoby sobie tylko postać. A to tutaj działa w jeszcze ciekawszy sposób. Uruchamia się ten wielki wirnik na górze i szasta powietrzem jak szalony, co pozwala całości wznieść się w górę. W końcu oprócz szybkości musieli pokazać, że mogą też wisieć w powietrzu.

– Niewiarygodne – odparł Brond. Tylko na tyle mógł się zdobyć.

– Ale to też im nie wystarczyło – ciągnęła Złota Kaczka. – Chcieli się wznosić wyżej niż cokolwiek, i to tak na bank. W tym celu wynaleźli wielki pierdykający patyk. Kilka z nich nawet trafiło w księżyc! Były na tyle mocne, że nawalali się nimi między sobą, a gdy sam patyk okazał się za słaby, wyposażyli go w taką fajną bombkę. Po trafieniu puszczał ogromnego bąka, przez który miasto śmierdziało tak, że jeśli przy nim byłeś, smród dosłownie zcierał cię z powierzchni. Dopiero potem pomyśleli, że może być szkodliwy.

Brond nie wiedział, co o tym myśleć. Brzmiało to jak coś ze snu, ale w końcu co już zobaczył? Błyskające ekrany, środki transportu osiągające zawrotne prędkości, tajemniczą broń w kształcie patyka z niebezpiecznie brzmiącym kliknięciem... Może uwierzyłyby w prujące przez powietrze stalowe ptaki, ale coś, co dotarłoby aż do księżycy? Póki co wolał się ograniczyć do stojącego przed nim helikoptera.

– Skąd właściwie go wytrzasnąłeś? Jest kradziony?

– Właściwie to nie. Pochodzi z lat sześćdziesiątych; walczyliśmy wtedy z partyzantką Czerwonych Dziobów. Tę wojnę przegraliśmy, lecz przegraliśmy ją z dumą. Powstał tam taki bajzel, że gdy ludzie już

stwierdzili, że lepiej się związać, to nikt nie zauważył jednego odlatującego w inną stronę helikoptera. Wcześniej należał do jedyne go człowieka, z którym utrzymywałem wtedy kontakt. W sumie to zostaliśmy przyjaciółmi. Niestety zginął podczas walk i co rok zbieramy się nad jego grobem.

– Kurczę – odparł tylko Brond, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Spoko, nie musisz współczuć bogowi. Przeżyłem już wielu przyjaciół, w tym dziesiątki bardzo oddanych kaczek. Świat musi iść do przodu, po trupach do celu.

Z tymi słowami kaczka powróciła do poszukiwań, przeczesała nóżkami całą gamę przedmiotów. Brond uświadomił sobie, że mimo że był jednym z niewielu, a teraz pewnie jedynym człowiekiem, z którym Złota Kaczka utrzymywała kontakt, tak naprawdę nigdy nie byli sobie bliscy. Dla kaczki minęły setki lat i miała przez ten czas wiele bliskich sobie ludzi i paręset razy więcej kaczek. Dawniej łączył ich tylko wspólny cel, a teraz ich cele mogły być różne. Co prawda dla Bronda kaczka była jedynym, co pozostało mu z przeszłości, lecz dla kaczki Brond był tylko kolejnym człowiekiem, który do tego nie wiedział, co zrobić ze swoim życiem, i wciąż nie odnalazł się w nowej rzeczywistości. Wiedział tylko, że nie może tu zostać na długo. Policja nie szukała kaczki, ale szukała jego. Jeśli tu zostanie, kaczka może utracić swoją najlepszą bazę. Lepiej skupić się na swoim celu i nie obciążać kaczki.

Rozejrzał się ponownie.

– Skoro to magazyn wojskowy, musi tu być jakaś broń na Nasira – mruknął. Gdzieś chyba widział noże...

– Jasne, mamy tu wszystko, od broni ręcznej do palnej. Dla mnie nie jest zbyt poręczna, więc bierz co chcesz.

Brond odszukał i wziął do ręki nóż z ozdobną rękojeścią. Ostrze wyglądało na niezawodne. Broń dobrze trzymała się w dłoni. Wrzucił ją do pustej pochwy przypiętej do pasa, z której zabrali mu jego dawny nóż z przeszłości. Rozejrzał się, czy nie potrzebuje czegoś jeszcze. Przy okazji przez dziurawy dach zauważył, że słońce nie widnieje już wysoko i raczej zbliża się zachód.

– Myślisz, że policja nie zacznie węszyć w tych okolicach? Zastanawiałem się, czy nie zostać na noc.

– Na noc? Kolego, pomyśl lepiej, jak się tu znalazłeś. Wpadłeś do ścieków. Przebyliśmy ponad pół miasta, żeby tu dotrzeć. Oni pewnie nadal myślą, że zaszyłeś się gdzieś tam. Prędzej przypuszczają, że uciekłeś z miasta, niż wpadną do tej starej graciarni. Jeśli w ogóle o niej wiedzą, a stawiam, że znają miasto gorzej niż ja.

– Dobra. Przenocuję, a z rana wyruszę złapać Nasira.

– Chwila, chwila, nie zapędzaj się tak – odrzekła Żłota Kaczka. – Wyruszysz, i co? Będziesz szukać wiatru w polu?

– Może sieć jakoś mi pomoże. – Brond wziął do ręki leżący na półce telefon i nacisnął przycisk na obudowie. Blask ekranu rzucił promienie światła na ciemniejący pokój.

– Sieć internetowa? Wątpię, żebyś cokolwiek tam znalazł. Nie pomyślałeś, żeby skorzystać z kaczjej sieci szpiegów?

– A pamiętasz w ogóle, jak wyglądał Nasir? Minęły setki lat, odkąd go widziałeś.

– Właściwie to nie. Widziałem go wczoraj.

Brond znieruchomiał.

– Wczoraj?

– Tak. Swoją drogą, wygląda paskudniej, niż go zapamiętałem. Ale to nie wszystko. Mam coś jeszcze... – Kaczka jeszcze chwilę przetrząsała zbiorowisko przedmiotów, aż w końcu znalazła. – Jest! To coś może nam sporo podpowiedzieć, tylko... A niech to. – Kaczka kopała urządzenie palcami, lecz nic się nie działo. – Chyba zniszczyli mi podsłuch.

– Czekaj, miałeś podsłuch w kryjówce Nasira?

– Lepiej. Miałem podsłuch u tych, którzy mu pomagają. Widać są bardzo spostrzegawczy. Sprawdzę historię nagrań. – Brond patrzył, jak kaczka w przedziwny sposób radzi sobie z urządzeniem, przełączając je nóżkami. – Urywa się dziś w południe. I to tak bez słowa. Słyszysz?

Kaczka puściła nagranie. Przez chwilę szumiało, po czym szum po prostu się skończył.

– Możesz przeszukać całą historię? – spytał Brond.

– Oczywiście. Mogę puścić dowolny moment. – Kaczka chwilę wysilała nóżki. – Na przykład ten.

Pierwszy głos Brond rozpoznał od razu. Należał do Nasira.

– ...nie zajęło zbyt wiele czasu. Tym dłużej ten człowiek pozostaje na wolności, tym gorzej dla nas obu.

– Zapewne ma pan rację, panie al-Chemia. Rozważę, czy zagrożenie jest realne i zdecyduję, czy należy podejmować się poważniejszych kroków. A tymczasem może się pan nie martwić o swoje zdrowie.

Z kimkolwiek rozmawiał, ten człowiek zwracał się do niego „al-Chemia”. Brond mógłby przedstawić to w komendzie jako dowód swoich wcześniejszych słów, ale wolał tam nie wracać po jego umyślnej ucieczce. W końcu teraz legalnie klasyfikował się jako przestępca. Może uda mu się przekazać ten dowód, nie ujawniając się.

W tym drugim głosie było coś aż przerażająco spokojnego i przekonującego. Moznaby pomyśleć, że to ci ludzie zwrócili się do Nasira, a nie on do nich.

– Kim właściwie jest ten drugi?

– To przywódca mafii. Jeden z najgroźniejszych oprychów na ziemi. To aż dziwne, że temu średniowiecznemu zbójowi tak po prostu pozwolono z nim rozmawiać.

– Racja, dziwne. – Brond zamyślił się, przypominając sobie słowa Denila. – To dlatego policja tak szybko zaczęła mnie ścigać. Mafia musi mieć tam swoje wpływy i postanowiła je wykorzystać. To stąd Nasir wziął się w ich bazie danych.

Kaczka znów majstrowała ze sprzętem.

– O – rzekła nagle. – To z dzisiaj, tuż po twojej ucieczce.

– ...uciec z komendy policji – mówił jakiś inny głos. – To niesamowity zbieg okoliczności...

– Sam jesteś zbieg – rzuciła Złota Kaczka.

– ...Ale to nie wszystko. Policja wręcz miała go na dłoni, ale znów im zniknął, tym razem na otwartej przestrzeni. Nikt nie ma pojęcia, co się z nim stało.

– Niekompetencja organów ścigania nie stanowi uszczerbku na naszym autorytecie. – To był głos przywódcy. – Myślę, że dobrze będzie wykorzystać nasze kontakty, aby zdobyć jak najwięcej informacji odnośnie obecnego miejsca przebywania Bronda.

Brond zadrżał, słysząc, jak ten ciepły, niewinnie brzmiący głos wymawia jego imię.

– Dzwoniłem już do detektywa Lemmisa – powiedział ktoś inny. – Nie odzywa się. Opuścił komendę wcześniej niż zwykle, ale domofon też nie działa. Sądzę, że celowo unika kontaktu do czasu, aż cała sprawa się wyjaśni.

– Dobrze, przekazcie zadanie odpowiednim ludziom, a wszystkim się zajmą. Detektyw pewnie myśli, że wykonał swoje zadanie. Dopilnujcie, aby zrozumiał, że tak nie jest.

– A co, jeśli policja zacznie coś podejrzewać? – spytał pierwszy.

– Komendant Wans to zwykły impulsywny dupek. Byle jaka rzecz może odwrócić jego uwagę. – W głosie po raz pierwszy zabrzmiała pogarda.

– Rozumiem. Podejmiemy działania już dziś.

Pożegnali się i zapadła cisza.

– Dwie godziny później urywa się nagranie – oznajmiła Złota Kaczka. – Nie sądzą, żeby było tam coś jeszcze, ale na wszelki wypadek zostawię włączony sprzęt.

Brond przemyślał sobie wszystko, co dotąd usłyszał.

– Mówiłeś, że widziałeś wczoraj Nasira. Gdzie to było?

– Moi szpiedzy ciągle mają go na oku. Wiemy, że przesiaduje w wielkim laboratorium całkiem niedaleko stąd. Pewnie załatwili mu tam pracę czy coś.

– Laboratorium... – zastanowił się Brond. – W końcu zna się na chemii. Nie mógł sobie znaleźć lepszego miejsca. Pewnie zechce odtworzyć swój chemiczny potencjał. Nie możemy mu na to pozwolić. Zwłaszcza, że może użyć swoich substancji mafii, a wtedy całe miasto może mieć kłopoty. To dlatego jest dla nich taki ważny. – Brond zapatrzył się w ciemniejące niebo. – Musisz mnie tam zaprowadzić. Ale już nie dzisiaj. Po tym szalonym dniu jestem zmęczony jak nigdy. Gdzie tu można spać?

– Zaraz ci powiem, tylko zabiorę cię w jeszcze jedno miejsce.

– W jakie miejsce? – zdziwił się Brond. Czyżby znowu mieli tłuc się po kanałach?

– Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale strasznie śmierdzisz – oznajmiła Złota Kaczka. – A tuż obok nas jest rzeka.

XII

Południowo-wschodnie rejony Maka Bonk były rzadko zamieszkane i gęsto zalesione. Znajdujący się niedaleko park narodowy ograniczał możliwości inwestycyjne, przez co miasto rozszerzało się tu powoli i niechętnie. W dodatku rekordowe upały zniechęcały do wyjścia z domu, więc nikt nie był w pobliżu, gdy właz studzienki na ulicy Krzymskiej uniósł się, a z wnętrza wyrzwała głowa Bronda. Kaptur zasłaniał mu wielką ranę na czole, której miniona doba i przemycie w chłodnej rzece nie wystarczyły do szybkiego zagojenia.

– Czysto – oświadczył.

Zostawił właz na chodniku i wydostał się z kanału. Tuż za nim wyleciała Żłota Kaczka. Następnie Brond szybko zakrył studzienkę.

Miał na sobie specjalny kamuflujący strój wojskowy wzięty z magazynu. Nie byli pewni, jak bardzo się przyda, ale na pewno stałby się pomocny w przypadku, gdyby zostali zmuszeni uciekać – w końcu w pobliżu znajdował się las.

Stanęli pod zarośniętym ogrodzeniem.

– Łał! – krzyknęła Żłota Kaczka. – Nawet przy tych zaroślach jesteś praktycznie niezauważalny!

– Naprawdę? – Brond popatrzył na ogrodzenie.

– Przypomina mi to dawne wojny. Nie ma to jak kolejna akcja.

Wokół nich zebrała się już niewielka grupka kaczek, które jednak nie kręciły się na tyle blisko, żeby wzbudzać czyjeś podejrzenia. Choć na razie nie było czyich podejrzeń wzbudzać.

– No to wchodzimy – rzekł Brond.

Wspiął się po zardzewiałym, zarośniętym ogrodzeniu, podczas gdy kaczka podleciała w górę i przeleciała na drugą stronę. Koło Bronda przelatywało jeszcze kilka kaczek, kiedy zeskakiwał na drugą stronę.

Działkę obficie porastała roślinność o sporej różnorodności, głównie przy granicach, a zwłaszcza na rogach. Znajdowali się całkiem blisko bramy, za którą po krótkiej uliczce rozciągał się szeroki parking, z obu stron ograniczony drzewami. Niższa roślinność była bujniejsza na skrajach działki niż przy stojących w rzędach samochodach.

Kaczka prowadziła. Poruszali się cicho i bezszelestnie wśród krzaczków i zarośli. Brondowi przypomniał się moment, kiedy wychodził z lasu ścieżką, którą mógł podążać Nasir. Wtedy go zgubił; teraz miał go odnaleźć.

Brond skrupulatnie trzymał się instrukcji kaczki. Ostatni odcinek przebył na kolanach. Przystanęli i wynurzył głowę zza zarośli.

– To tutaj – powiedziała cicho Żłota Kaczka.

Przed ich oczami znajdował się róg budynku o szarych, gładkich ścianach i co najmniej czterech kondygnacjach. Z lewej strony rogu widzieli chodniczek przed parkingiem oraz łagodne, kamienne stopnie prowadzące do wejścia.

– Myślisz, że dojeżdża do pracy samochodem? – spytała kaczka.

Brond parsknął cicho.

– Nie no, żartuję – dodała. – Według moich szpiegów, nie ruszał się stamtąd od wczorajszej nocy.

– Nie? – zdziwił się Brond.

– Właśnie nie. Najwyraźniej zwrężył zagrożenie. W końcu jako bóg i władca przeznaczenia bywam wywęszalny, co nie?

– Pewnie tak – mruknął Brond, który czasem miał już dosyć zarozumiałstwa kaczki. – To jak? Wkraczamy?

– Czekać, czekać. Chyba nie zamierzasz tam tak po prostu wejść?

Brond spojrział na kaczkę.

– Co w takim razie zamierzałeś zrobić?

– Skąd wiesz, że on nie ma ochrony? W końcu jeśli mafiozom tak na nim zależy, to raczej dali mu znać, że jesteś na wolności i podesłali mu kilku knypków.

Brond się zastanowił.

– Pewnie jest wściekły na mafię, że nie podjęli się drastyczniejszych środków w stosunku do mnie. Tym razem mogą być ostrożniejsi. Pewnie masz rację. Ale co w takim razie zrobimy? Będziemy czekać, aż wyjdzie?

– Nie musimy tu siedzieć – odparła Żłota Kaczka. – W końcu mam od czegoś sieć szpiegów.

– Racja. Ale co, jeśli w ogóle nie zechce wychodzić? Z czasem może nawet zacząć obserwować teren? Nie lepiej zaatakować, póki się tego nie spodziewają?

– Owszem, ale pamiętaj, że nawet bez ochrony może mieć broń. I to nie jakiś tam nóż; dzisiejsza broń jest o wiele skuteczniejsza. Puff... i nie żyjesz. Widziałem to na własnych oczach.

Bronda zmroziło na wspomnienie chwili, gdy policjant wymierzył w niego broń podczas ucieczki z komendy. I jeszcze wcześniej, gdy go zatrzymano. W następnej sekundzie miał już w głowie obraz Nasira mierzącego do niego z broni. Przez chwilę widzi przed oczami czarne wnętrze lufy. Potem następuje ciemność.

Odwrócił wzrok od budynku. Mimo że też miał przy sobie broń palną od kaczkę, nie potrafił się nią zwinnie posługiwać. Poza tym mafia mogła zapewnić Nasirowi dobry trening. Jeśli tak, w bezpośredniej konfrontacji poniósłby śmierć.

– Mówiłeś, że masz doświadczenie z wielu wojen. Znasz taktyki nadające się na różne pola walki. Czy mamy coś, co mogłoby odwrócić ich uwagę?

– Cóż, w takiej sytuacji moglibyśmy spróbować ich otoczyć i zagłodzić, ale włączenie w to kaczek na dłuższą metę wzbudzi pewne podejrzenia. Nie mamy innych oddziałów do dyspozycji, więc ta opcja odpada.

Dla Bronda wniosek był prosty: nie było żadnych skomplikowanych strategicznych posunięć, które mogliby wykonać. Mogli tylko przypuścić atak albo czekać na dalszy rozwój wypadków. Decyzję trzeba było podjąć szybko.

– Pozostaje atak, ale sam pewnie mam nikłe szanse. Co moglibyśmy zrobić? Zanim włączymy w to policję, sprawa może urosnąć do większych rozmiarów i może wybuchnąć krwawa walka, zwłaszcza jak dowiedzą się, że tu byliśmy. Inne kontakty też raczej nie pomogą.

– Nie obchodzą nas zniszczenia, co nie? – spytała Żłota Kaczka. – Pamiętam jeden sposób, który gwarantuje skuteczną eliminację wrogich jednostek. Za wielkiej wojny pół wieku temu wykorzystywaliśmy w tym celu elitarne oddziały kamikacze. Żeby uniknąć wrogiej artylerii przeciwlotniczej, kamikacze brały ładunki w łapki i same się z nimi wysadzały.

– Jak to? Nie popełniały w ten sposób samobójstwa?

– Owszem. Ale nie liczyły się życia, tylko wyrządzone szkody.

– I chcesz to wykorzystać tutaj? Nie popadaj w obłąd, to załedwie jeden człowiek.

– Miewaliśmy większe straty. Nawet nie wiesz, jak skłonne do poświęceń potrafią być kaczkki.

– Nic z tego. Nie zgodzę się na zbędne poświęcenia.

– No to stracisz okazję do zemsty, czubku. A tak byłeś blisko.

– Nic nie tracę. Poza tym cicho. Mogą nas usłyszeć.

– Ja jestem cicho – zaoponowała kaczkka.

Brond rozglądał się po bokach.

– Dobra, zwijajmy się stąd, zanim nas zauważą i cały plan weźmie w łeb. Postawimy na szpiegów. W międzyczasie pokażesz mi jak właściwie korzystać z tego ustrojstwa. – Wskazał broń przy pasie.

Kaczkka niechętnie się zgodziła i po cichu zaczęli się wycofywać.

– Mam swoje lata i wiem, co mówię – mruknęła. – Kamikacze rozwiązalıby sprawę.

*

Było wpół do ósmej, kiedy Wans niechętnie podniósł się z łóżka. Jego żona wciąż spała, ale on powinien już się zbierać do pracy. I tak wstał pół godziny później, niż zwykle. Prawo nie śpi. Prawo musi brać tyłek do roboty, bo poddani nie będą czekać.

Ledwie wstał, a jego głowę zaczęły oblegać wspomnienia z poprzedniego dnia. Wszystko zaczęło się od nieudanej akcji ze złapaniem Bronda w bloku, kiedy to doskonale przewidział, gdzie się to wydarzy, miał do dyspozycji trzy wozy policyjne, ale i tak nie udało mu się zatrzymać podejrzanego. Gdyby nie zdegradowani drogówkarze, w ogóle by go nie miał na komendzie. Jedynym sukcesem było zatrzymanie Denila, który w dodatku wszystko mu ładnie wyśpiewał, a przynajmniej do chwili, gdy nie uświadomił mu, że i tak zamierza postawić mu zarzuty i pokisić chwilę w więzieniu. Potem Brond omal nie wyprowadził go z równowagi, po czym wykorzystał to przedziwne wydarzenie, którym było wpadnięcie stada kaczek do komendy, a które Wans próbował sobie racjonalnie wytłumaczyć, żeby uciec. Jakby tego było mało, tym razem zaszył się na dobre i nawet monitoring nie pomógł. Na koniec okazało się, że Brond może mieć rację, a Lemmis, który był odpowiedzialny za rozpo-

częście tego bałaganu, niespodziewanie zapadł się pod ziemię. Przez resztę dnia komendant próbował się z nim skontaktować na różnorakie sposoby, między innymi dzwoniąc do ich wspólnych znajomych i przepytując funkcjonariuszy w różnych częściach miasta. Myślał nad wykorzystaniem monitoringu, ale doszedł do wniosku, że zaczyna szaleć, a detektyw pewnie wkrótce się pojawi, cały i zdrowy, dziwiąc się, co komendantowi się stało, że zaczął go tak śledzić po pracy.

Tyle że kiedy Wans dotarł do pracy, detektywa nadal nie było. Nikt go nie zauważył, a w dodatku Lemmis nie odebrał ani jednego połączenia w ciągu ostatniej doby.

Wans odkrył, że jest wyczerpany, i od razu po dotarciu do biura zamówił drugą kawę. Na szczęście dla jego wyczerpanego mózgu praca komendanta oznaczała więcej spraw, niż tylko jedną i tę samą kwestię, którą by się katował bez końca, i postanowił na chwilę zapomnieć o swoim największym problemie, a skupić się na paru mniejszych – rutynowych złamaniach prawa i innych błahostkach.

Raporty mówiły o niespokojnej sytuacji w północno-zachodniej dzielnicy Prokwidy. Ostatnio znaczna ilość raportów pochodziła stamtąd. Wans kazał tam wysłać więcej funkcjonariuszy, lecz rezultat był niepewny. Za to w okolicach centrum zbierała się manifestacja i tam też musiał wysłać kilku swoich, aby nie doszło do zamieszek. Ostatnio demonstracje nabierały na sile, a opozycja stawiała się coraz bardziej zwarda. Póki co jednak przemiany polityczne nie wskazywały na obniżenie się płac policjantów, więc wychodziło na plus.

Było w pół do dwunastej, kiedy dotarł z powrotem do sprawy Bron-da. Jeśli Lemmis faktycznie dokonał złej analizy sytuacji, co nigdy mu się nie zdarzało, to Wans musiał mieć na to jakieś dowody, inaczej po prostu nie przyjąłby tego do wiadomości. Tak więc zaczął szukać sposobu, aby skontaktować się z Nasirem. Doszedł do tego, że pracuje w laboratorium doktora Kena Hankessa, pełniącego tam funkcję dyrektora spółki i kierownika badań, więc wybrał jego numer.

Po pięciu sygnałach połączenie odebrano. Przywitała go cisza.

– Dzień dobry, mówi komendant policji Maka Bonk. Mam do pana kilka pytań. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w badaniach?

Chwila ciszy.

– Ależ nie – odparł głos po drugiej stronie. Nie wiedzieć czemu wydawał się rozdrażniony. Możliwe, że jakiś eksperyment się nie powiódł.
– Przeprowadzaliśmy właśnie pewien eksperyment, ale w obecnej chwili ponieśliśmy niepowodzenie i jesteśmy w kropce.

Może to przez słabą jakość dźwięku, ale Wans miał wrażenie, że było coś nietypowego w tym głosie. Może pewna wyniosłość? Poza tym w zdaniu, które powiedział, było coś nietypowego. „W obecnej chwili ponieśliśmy niepowodzenie”. Czy tak się w ogóle mówi? Może gość zbyt dużo czasu spędza w otoczeniu naukowym.

– Przykro mi z tego powodu. – Wans zachował obiektywny ton. – W każdym razie, prowadzę śledztwo i myślę, że może się przydać pańska pomoc.

– Mhm – odparł niespodziewanie głos.

– Chodzi o jednego z pańskich pracowników. Nazywa się Nasir al-Hazad. – Przez moment komendant myślał, czy nie wspomnieć o drugim nazwisku, lecz uznał to za nieistotne. To pewnie jakieś przezwisko, które Nasir wymyślił sobie, kiedy Brond go poznał. Z pewnością nie przedstawiałby się tak w pracy.

– Ależ dzwoniście już do mnie w tej sprawie.

– Kto dzwonił?

Głos chwilę milczał.

– Detektyw Lemmis, trzy dni temu. Wszystko już mu powiedziałem. Czy to nie on zajmuje się tą sprawą?

– Wczoraj detektyw Lemmis zaginął. Być może nie o wszystkim się dowiedziałem, przejmując sprawę. – Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Przecież Lemmis ma doświadczenie i nie mógł przeoczyć takiej kwestii. Z drugiej strony, przeoczył poinformowanie go o tym, co powinno należeć do jego obowiązków.

– W takim razie powinien pan wiedzieć, że pan Nasir nie dopuścił się żadnej zbrodni. Jak sam pan już zapewne widział, został zaatakowany z zaskoczenia i tylko się bronił.

– Zgadza się. Ale mimo wszystko wolałbym porozmawiać z nim osobiście. – Komendant podkreślił ostatnie słowo. – Czy zna pan sposób, aby umożliwić mi taki kontakt?

– W tej chwili nie mam możliwości, aby się z nim skontaktować. Ale mogę pana powiadomić, kiedy Nasir znajdzie się w pracowni. Ma zmienne godziny pracy i nie jest w tej chwili obecny.

– Rozumiem, dziękuję za kontakt. Będę wdzięczny, jeśli mi to pan umożliwi – odparł Wans i rozłączył się.

To dziwne. Szef powinien mieć chociaż numer telefonu swojego pracownika. Tymczasem Nasir faktycznie jest nieuchwytny, tak jak mówił Lemmis.

Nagle uderzyła go myśl. Co on właściwie robi? Detektyw przekazał mu już to, czego się tu dowiedział, i podążając dalej tą drogą niczego nowego nie odkryje. Nie wiedział tylko, czy Lemmis ostatecznie skontaktował się z Nasirem, ale idąc jego krokami, natknie się na to samo i dojdzie do tych samych wniosków. Jego wątpliwości co do detektywa to kolejny błąd, na jaki sobie pozwala. Co go napadło, żeby myśleć, że detektyw go oszukuje? Czy naprawdę aż tak bardzo dał się otumanić słowami Bronda?

Ostatnia myśl wprowadziła go w zdenerwowanie. Miał dosyć czucia się jak matoł. Potrzebował przerwy.

Poczuł, że zasycha mu w gardle, więc udał się do pobliskiego lokalu, gdzie zamówił sok. Trzecia kawa o tej porze wydawała się absurdem, w końcu dopiero dochodziło południe. Przy okazji zamówił też udka z kurczaka w sosie. Czuł, że przez to zdenerwowanie musi coś pogryźć, a udka doskonale się do tego nadawały. Nie zaspokajały w pełni głodu, tak aby mógł potem zjeść większy obiad, a jednocześnie mógł je wziąć do ręki i dziabnąć. To z pewnością przywróci mu spokój.

Ogółem, wszystko wskazywało na to, że wina leżała po stronie Bronda, a Wans odkopywał tylko to, co wcześniej w skrócie wyłożył mu detektyw. Jendak jeden element niezbyt pasował do tej tezy. Czemu Nasir nie był zainteresowany ich pomocą? Skoro napastnik zatakował go tak niespodziewanie, czemu nie poprosił ich o ochronę? Przecież Wans miał do dyspozycji wielu ludzi, którzy mogliby zadbać o jego bezpieczeństwo. Nie rozumiał tego. Może Nasir powiedział coś Lemmisowi, ale on o tym nie wie? Tylko co to mogłoby być? Chyba nie liczy na to, że ochroni go jego praca. Ostatecznie może być też tak, że pracuje też jako agent i przysługiwała mu już ochrona, lecz Wans był skłonny wykluczyć tę opcję. Gdyby tak było, kwestia Bronda pewnie zostałyby im

odebrana i przekazana jakiejś agencji, a przecież nic takiego nie miało miejsca.

Wans zabierał się już za kurczaka, kiedy do lokalu wpadł jeden z posterunkowych.

– Panie komendancie, co pan tu robi?

– Robię sobie tylko krótką przerwę – zdziwił się komendant. – Coś się stało?

Pytanie było zbędne. Widział to już po twarzy policjanta.

– W mieszkaniu detektywa Lemmisa nastąpił wybuch.

*

Odnoga kanału prowadząca w stronę miejsca, gdzie znajdowało się laboratorium, miała nierówny grunt, i Brond wolał wykorzystać latarkę w telefonie, żeby oświetlić sobie drogę. Przy okazji przekonał się w ten sposób, że większość tunelów pokrywa ogromna ilość brudu. Mimo to, przyzwyczajony już do światła, nie wyłączał go również w drodze do magazynu. Złota Kaczka nie oponowała, jako że była jeszcze wrażliwsza na światło.

Na początku drogi kaczka nadal wykladała, na jakie sposoby mogłyby zatrzymać Nasira. Niektóre z nich modyfikowała, ale wszystkie uwzględniały pewne straty i dla Bronda były nie do przyjęcia. Gadanina kaczki ustała dopiero wtedy, gdy Brond zgodził się, żeby przedyskutować możliwości jeszcze raz, kiedy poszperają w bazie i zastanowią się nad możliwym wykorzystaniem w akcji wszystkich przedmiotów, jakie się tam znajdowały.

Szli w milczeniu. Doszli do rozwidlenia, kiedy Brond przystanął. Kaczka też przystanąła.

– Co to? – szepnął Brond.

Po drugiej stronie tunelu wylaniało się jakieś światło i zbliżało się w ich stronę. Z oddali dochodziły jakieś głosy.

– Sekta – syknęła kaczka. – Przemieszczą się. Zmieńmy drogę.

Tyle że z tunelu obok też wylaniało się światło.

– Zawracamy! – powiedział Brond, ale z tunelu za nimi chyba też pobrzmiwały jakieś głosy.

– Cholera! Jesteśmy otoczeni!

Brond rozglądał się dookoła. W czwartym tunelu światło też odbijało się już od ścian, a głosy narastały. Wyglądało na to, że wszyscy szli w ich stronę. Może sekta zaplanowała tu jakieś zebranie? Kto wie, jakie mają teraz zwyczaje.

Z drugiej strony mogli iść do nich po prostu dlatego, że Brond nadal miał włączoną latarkę w telefonie, a jej światło było silniejsze od pochodni, co mogło wzbudzić ich ciekawość.

A skoro już ich zaciekawili, to nie było szans, żeby odeszli bez konfrontacji.

– Nie ma na co czekać – powiedziała kaczką. – Wzywam pomoc.

Kaczka miała już zakwakać, ale Brond gestem nakazał jej ciszę.

– Cicho. Mam pewien plan.

Ekran telefonu zaświecił i Brond uruchomił sieć.

*

Erhedrar był przywódcą jednej z grup Sekty Upadłego Buraka. Nie było to imię, które nosił od czasów narodzin; dołączając do sekty, każdy musiał przyjąć nowe imię z dawnych lat, aby tym sposobem oderwać się od przeszłości i w pełni poświęcić swoją przyszłość bogu. Erhedrar nie wiedział wiele o zewnętrznym świecie; ostatnie kilkanaście lat spędził w ciemnych kanałach, żyjąc i służąc Jedynemu Burakowi. Nigdy nie zachorował, a poza wodzem był najstarszy w swojej grupie, więc został wyznaczony jako następca i wyszkolony w prowadzeniu buraczanej mszy. Nową funkcję pełnił już trzy lata.

O ile przebywanie w ciemności przez całe życie należało do zwyczajów tego odłamu sekty, Erherdarowi nic nie było wiadomo o zwyczajach innych odłamów. Wyznanie było zdecentralizowane i nie wykorzystywało nowoczesnych środków komunikacji, takich jak telefon, więc inne odłamy mogły się od nich znacznie różnić. Mimo to nie doszłoby między nimi do walk, ponieważ znajdowali się w zbyt dużej odległości od siebie. Każdy z przywódców odłamów sekty musiał na własną rękę decydować, jaki sposób uważa za najlepszy na połączenie się z Burakiem. Między Dniem Podpalenia a rozpadem religii na odłamy najbardziej wyróżniła się metoda krwi i tak też zostało w Maka Bonk.

Teraz Erhedrar szedł na czele swojej grupy przez tunel z pochodnią w rękę, kiedy nagle w dalszej części tunelu ukazały się jaskrawe promienie światła, silniejsze od ich pochodni.

– Ktoś jest przed nami – powiedział ktoś obok niego i wkrótce głosy rozeszły się po całej grupie.

– Jesteście pewni?

– Może to nasi bracia?

– Mają za silne światło, to może być ktoś z góry.

– Ciszej – rozkazał Erhedrar. – Idziemy do przodu.

Szli dalej, a wtedy usłyszeli wysokie śpiewy dochodzące ze strony błyszczącego światła.

– Słyszycie to? – szepnął ktoś z tyłu.

– Co tam się dzieje? – Jeszcze dalej ktoś się przepychał.

– Brzmi jak boskie śpiewy – oznajmił inny.

Erhedrar szedł dalej z pochodnią wyciągniętą przed siebie. Śpiewy nabierały na sile. Brzmiały czysto i bosko, były jednostajne i nieprzerwane.

Wódz był kilka kroków od rozwidlenia, gdy usłyszał:

– Nie podchodźcie. – Głos był głęboki, wszechobecny, przestrzegający. – Nie podchodźcie.

– Panie, czy to Ty? – zapytał ktoś z innego tunelu. Nie byli jedyną grupą, która zauważyła światło.

– Tak. Nie podchodźcie bliżej, nie jest wam bowiem dane widzieć mnie w tej postaci.

Wśród ludu rozległy się odgłosy zadziwienia. Erhedrar sam nie krył w sobie zaskoczenia. Złapał się za klatkę piersiową, zaparło mu dech. To musiał być On. Jego głos brzmiał majestatycznie, nieludzko, prześwietnie. Nikt nie mógłby go naśladować.

Erhedrar gestem zatrzymał lud i kazał mu uklęknąć. Sam również uklęknął.

– Panie – powiedział lekko drżącym głosem pełnym pokory. – Kłękamy przed Twoją wspaniałością. Nie ważymy się spojrzeć na Ciebie w tej postaci, bowiem byłoby to dla nas grzechem niewyobrażalnym.

Wódz wiedział, że ponad wszystko musi wierzyć swoim oczom i uszom. Gdyby nie wierzył, tu skończyłaby się jego służba bogu. To była jedyna w życiu szansa, by udowodnić swoje oddanie.

– Klękamy przed Tobą – potwierdził drugi wódz z innego tunelu. – Proszę, nie opuszczaj nas. Nasz wzrok nie obejmie Ciebie, tak jak każesz.

– Dobrze – odparł Jedyne Burak. Jego głos brzmiał tak pełnie, tak pięknie. – Jestem w stanie okazać się wam tylko dzięki waszemu oddaniu. Tylko na tyle starczy mi sił.

W kanałach znów rozległy się okrzyki zadziwienia.

– Wybrałem was, gdyż pozostaliście najliczniejsi i najwierniejsi. Czuję w waszych duszach głębokie oddanie mej osobie, i odwzajemniam je.

– Panie – odezwał się ktoś z innej strony. – Nie jesteśmy warci Twojego cierpienia. Zachowaj swą moc, by odżyć w przyszłości!

– Cenię sobie wielce twe oddanie, lecz musiałem się wam objawić, by was przestrzec.

Tunele znów pobrzmiały okrzykami.

– Zanim nasz czas nastanie na nowo, dane wam będzie przetrwać trzy nieszczęścia. Następować dane im jest w przeciągu setek lat, lecz pierwsza z nich nastąpić ma już za życia waszego, może nawet za dnia tego. Nie jest ona moim dziełem – nie zasłużyliście bowiem na żadną karę – lecz dziełem tych, którzy się mnie sprzeciwiają. Możecie jej więc zapobiec.

– Jak? – spytał w oddali ktoś zniecierpliwiony, kogo natychmiast skarcono.

– W tym celu zsyłam dla was przedstawiciela mego. Zwie się Brond i zaspokoi ciekawość, która rozpała się w duszach waszych.

Sądząc po półgłosach niosących się w kanale, niektórych przerastała wspaniałość tego wydarzenia. Erhedrar się im nie dziwił.

– Pozostańcie wierni, a może za życia waszego jeszcze się spotkamy.

Chór zaczął cichnąć, po czym zupełnie przygasł. Erhedrar otworzył oczy. Ich pochodnie znów stanowiły jedyne źródło światła.

Tunel wypełnił się okrzykami. Niektórzy się radowali, inni ubolewali nad cierpieniem boga. Niektórzy szli do przodu, by ujrzeć bożego wysłańca. Erhedrar widział już jego sylwetkę na tle naprzeciwległych pochodni.

Wszyscy zebrali się wokół Bronda. Jeden z nich się pokłonił i wszyscy podążyli w jego ślady. Rozległ się zbiorowy pomruk.

– Nie musicie się mi kłaniać – oświadczył Brond. – Powstańcie.

Wyznawcy powstali i wpatrzyli się w Bronda jak zaczarowani. Nikt nie zauważył Złotej Kaczki nurkującej kanałami.

– Pochodzisz z zaświatów? – spytał jeden z wodzów.

– Tak. Burak wysłał mnie, zatapiając w wodzie. Musiałem przetrwać wiele, aby się do was przedostać. – Pokazał rany na ręce i na łydce, a także na czole. Nie miał już na sobie stroju wojskowego i wyglądał jak zwykły człowiek.

Rozległy się głosy podziwu i zachwytu. Niektórzy prosili, by opowiedział im więcej.

– Nie wolno mi zdradzać wam wszystkich sekretów świata, ale o mojej historii mogę wam opowiedzieć, jeśli nadarzy się okazja. Teraz jednak musimy się zebrać, aby przeciwdziałać heretykom.

– Właśnie, słuchajcie, co mówi wam wysłannik boży – Erhedrar uci-
szył grono wyznawców, po czym zwrócił się do Bronda: – Co mamy
zrobić, aby uratować nasz lud przed nieszczęściem?

Na to Brond odpowiedział:

– Musicie podążać za mną.

XIII

Fillis był zwyczajnym pracownikiem laboratorium. Doktor Hankess przyjął go na staż niecałe dwa lata temu, a po krótkim czasie sam zaproponował mu pracę. Wkrótce potem Fillis ukończył studia i poświęcił się tej pracy całkowicie. Był ambitny i pragnął to wykazywać na każdej okazji. Trudno się więc dziwić, że zaczął traktować laboratorium jako swój drugi dom.

Teraz czuł, że ta wizja zaczyna mętnieć. Niecały miesiąc temu przełożony zaproponował mu udział w najważniejszym, jak twierdził, eksperymencie, który mógł zaważyć na losach laboratorium, a pewnie i czegoś więcej. Haczyk polegał na tym, że Fillis nie został w pełni wtajemniczony w wizję swojego szefa. Pomagał w interpretacji różnorodnych źródeł mających wskazać kierunek badań i uczestniczył w samych badaniach, lecz nie był pewien, do czego dążyły i czemu szefowi tak bardzo na tym zależało. Zdarzało się, że zakres badań wykaczał poza jego kompetencje i musiał polegać bardziej na niejasnych źródłach niż na zdobytej wiedzy. Mimo wszystko, ciągle otrzymywał lepsze wynagrodzenie, co w połączeniu z jego naturalnym zaangażowaniem nie mogło wytrącić go z pracy, jakkolwiek ona wyglądała.

Jednak ostatni tydzień był inny. Pojawił się nowy pracownik, Nasir. Miał kompetencje, których wymagał szef. Natychmiast przeskoczył do ich grupy. Był efektywny i skuteczny. Lepiej interpretował źródła, zwłaszcza te starsze. Fillisa to intrygowało. Jeszcze bardziej intrygujące były plotki, które wokół niego krążyły. Znajomy wspomniał mu, że Nasir pojawił się w telewizji jako ofiara nieudanego ataku nożownika ledwie dzień przed przyjęciem do pracy. Fillis myślał nad pytaniem szefa, czy jedno ma jakiś związek z drugim, lecz brzmiało to wątpliwie, a młody absolwent nie chciał się narażać na kompromitację, zwłaszcza że nowy pracownik mógłby go zastąpić. To pogorszyłoby jego obecny stan życia, a Fillis wolał zagwarantować sobie spokojną przyszłość niż krążyć z miejsca do miejsca w poszukiwaniu pieniędzy. Tak jak większość, bał się niepewności związanej z szukaniem nowej pracy. Wolał wybierać to, co racjonalne i słuszne. Dlatego nie zamierzał przestać walczyć o swoją pozycję.

Nasir okazał się mieć większe wpływy, niż Fillis mógłby sobie pomarzyć. Za jego propozycją do laboratorium przyjęto dodatkową kadrę. Fillis nie wiedział, jaką pełnili funkcję. Ponoć byli czymś na rodzaj nadzorców badań. Przez większość czasu albo obserwowali ich poczynania, albo znajdowali się poza główną salą badań. Jednak propozycja Nasira musiała okazać się skuteczna, bo szef nie oponował. Fillis nie widział więc powodu, żeby kwestionować dotychczasowe zmiany.

Wczoraj Nasir pracował do późnej nocy i Fillis próbował mu dorównać. Jednakże na koniec Hankess powiedział mu, żeby się nie przemęczał i skończył na ten dzień. Początkowo Fillis był skłonny się przeciwstawić, lecz uznał, że przełożony ma rację. Podczas gdy on się wyczerpywał, Nasira nie opuszczała cierpliwość. Fillis nie wiedział, jak długo jeszcze został on w laboratorium tamtego dnia.

Tego dnia Fillis czuł się na siłach, aby dokończyć rozpoczęty wczoraj eksperyment i dowieść swojej wartości. Wstał wcześniej, choć wypoczęty, z zamiarem wcześniejszego pójścia do pracy. Liczył na to, że wyprzedzi Nasira i znów stanie się centrum zainteresowania, mimo że to były tylko jedne głupie badania, które miały wkrótce dobiec końca. Czasem zastanawiał się, czy nie popada w obsesję. W końcu jego możliwości miały granice, z którymi musiał się pogodzić. Lub szukać pracy gdzie indziej. Czemu w ogóle znowu o tym pomyślał? Nie, ktoś taki jak on jest niezastąpiony. Dziś przypomni, na co go stać.

Pchnął drzwi do głównej sali badań, a w środku był już Nasir. Właśnie kończył jego eksperyment.

*

Brond nie znał imienia „Erhedrar”, musiało ono pochodzić z czasów dawniejszych niż jego. Mogło mieć to samo pochodzenie, co Aghror.

Wódz opowiedział mu wiele rzeczy o zwyczajach tego odłamu, mimo że w ogóle o nie nie zapytał. Na przykład powiedział mu, że sekta zmienia miejsce mszy co miesiąc, albo że zdrajców nie traktowali tak, jak dobrowolnych ofiar. To ułatwiło nieco sprawę i Brond przestał się obawiać, że sekta ostatecznie się mu sprzeciwi. Widocznie przez życie tak długi czas w podziemiach stali się na tyle prymitywni, że byli skłon-

ni uwierzyć w sztuczkę, jaką wykombinował na poczekaniu z nagraniem chóru i modulatorem głosu.

Udało mu się też wyjaśnić, oczywiście trochę zmyślając, w jaki sposób Nasir i mafia zagrażają sekcje. Chyba najbardziej przekonał ich, mówiąc, że w laboratorium pracują nad specjalnymi substancjami, które zmieszano by ze ściekami, aby ich zdziesiątkować. Samego Nasira przedstawił jako zdrajcę Buraka, który w ramach pokuty został wysłany na ten świat, mając o nim niewielką wiedzę, lecz udało mu się sprzymierzyć z mafiozami-heretykami, i razem pragną oczyścić świat z wyznawców, aby raz na zawsze zapomniano o Jedynym Buraku. To wprawiło ich w szczególny gniew i żądzę krwi heretyków. Byli zaskakująco podatni na jego wpływ. Gdyby spędzili choć trochę czasu na zewnątrz, zapewne myśleliby inaczej i teraz już by nie żył. Brond martwił się trochę, że po całej akcji może pozostać centralnym punktem sekty, ale najwyżej z pomocą kaczkę uda mu się upozorować odejście z tego świata.

Tym sposobem znaleźli się pod studzienką, którą wcześniej tego dnia Brond wychodził ze Złotą Kaczką.

– Chwila, chwila. Mówisz, że mamy wyjść na górę? – spytał jeden z wodzów.

Teraz to sobie uświadomił, pomyślał Brond.

– Inaczej się do nich nie dostaniemy. Musimy wyjść ten jeden raz i zawalczyć o przyszłość naszego ludu – odparł, po czym dodał: – Burak tak chce.

Ostatnie zdanie miało decydujący wpływ. Sekta zaczęła się wspinać, prowadzona przez Bronda. Sądząc po ich twarzach, było to dla nich największe wydarzenie, jakiego mieli doświadczyć w całym życiu. Naprawdę nieźle ich otumaniał.

– Dobra, ale jeśli nasz atak ma się udać, musimy zachować ciszę – przestrzegł.

Sekta potraktowała to jak rozkaz boży. Cisza zapadła błyskawicznie.

Brond wyrzwał na zewnątrz, lekko uchylając włącz do góry. Gestem dał znać, aby poczekać. Kiedy przechodnie zniknęli z otoczenia, dał znać, aby wychodzić.

Pomimo ich chudych, niemal patyczkowatych ciał, wyznawcy Buraka wydobywali się zręcznie i bezgłośnie. Większy problem mieli ze wspięciem się po zarośniętej bramie. Dopiero teraz, gdy nie szli już sze-

regiem przez tunel, Brond uświadomił sobie, jak liczne jest grono, które za nim podąża. Z pewnością nie przekraczali stu, ale z pewnością dałoby się naliczyć z pięćdziesiąt. Prędzej czy później zostaną zauważeni. Kiedy więc wśród przedostałych się na drugą stronę członków sekty znaleźli się wszyscy czterej wodzowie, Brond przekazał im, że idzie dalej.

– Wielki Brondzie! – zawołał półgłosem jeden z przywódców. – Proszę, zaczekaj na nas. Nie możemy dać ci umrzeć. Obronimy cię przed tymi szubrawcami!

– Muszę iść przodem – oświadczył Brond zdecydowanym głosem. – Zadbam o to, aby ta kanalia miała sprawiedliwy los.

Czuł, że ryzykuje życiem, ale jeśli w środku byli uzbrojeni mafijni ochroniarze, sekta nie miałaby z nimi dużych szans. Ich prawdziwym zadaniem było tylko odwrócenie ich uwagi. Brond liczył się z dużymi stratami po ich stronie, ale nie widział innego sposobu, aby to rozegrać. Poza tym kości już zostały rzucone i raz podburzona sekta nie ustąpi. Z drugiej strony, prędzej czy później, ci menele sami by się pozabijali w ofierze.

– Okrążcie cały budynek i wejdźcie od wielu stron.

Zamierzał im też wyjaśnić, żeby nie atakowali zwyczajnych pracowników laboratorium, lecz w obliczu ataku uświadomił sobie, że sekta tego nie pojmie. Z drugiej strony, zaletą był większy zamęt.

Wodzowie nie zatrzymywali go i Brond ruszył w stronę budynku, przeczesując krzaczki i zarośla. Ku jego zdziwieniu, członkowie sekty za nim również zachowali względną ciszę. Być może uda mu się znaleźć włącznik bramy, aby każdy miał szansę dostać się do środka.

Zakradł się za ścianę. Parter był usytuowany dostatecznie nisko, by wejść przez okno. Skradał się przez zarośla, patrząc, które pokoje są puste. Wreszcie zauważył idealną okazję, kiedy w jednej z mniejszych sal jedyny znajdujący się w niej badacz otwierał okno. To, co miało się teraz dokonać, było dla Bronda bolesne, lecz musiał to zrobić.

Niespodziewanie wypadł z krzaków z bronią wcelowaną w naukowca. Drugą ręką nakazał mu ciszę. Człowiek zastygł, jego twarz wypełniło przerażenie. Brond gestem kazał otworzyć mu okno na całą szerokość. Wszedł, wciąż grożąc mu bronią.

– Gdzie jest Nasir? – szepnął. – Tylko cicho.

Przerażenie opuściło twarz badacza, lecz nie jego oczy.

– Trzecie piętro – wyszeptał niemal bezdźwięcznie.

Wciąż z uniesioną bronią i wzrokiem wpatrzonym w badacza, Brond skierował się cicho do drzwi. Za oknem zauważył kręcących się już członków sekty.

– Jeśli się odezwiesz, wrócę tu.

W ciągu jednej sekundy schował broń, wyszedł na korytarz i dyskretnie zamknął drzwi. Korytarz oświetlały jedynie promienie słońca wpadające szybami z przodu i z tyłu budynku. Nikogo nie było w środku. A przynajmniej na to wyglądało.

Brond szybko odnalazł krętą, białą klatkę schodową zlokalizowaną na tyłach. Skreślił w nią i w tym samym momencie usłyszał strzał. Kula śmignęła tuż za jego plecami i przebiła szybę.

Wtedy się zaczęło.

Brond usłyszał podburzone głosy członków sekty, którzy stali tuż za oknem. Nie wiedział, czy coś się stało któremuś z nich. Pędził już po stopniach i nie oglądał się do tyłu. Dochodząc na pierwsze piętro, usłyszał z dołu brzęk tłuczonego szkła i więcej strzałów. Biegł dalej, rozglądając się dookoła.

W połowie drogi na drugie piętro zauważył człowieka z bronią wcelowaną w jego stronę, lecz było za późno, aby zareagować. Tuż obok siebie usłyszał brzęk kuli uderzającej w stalowy pręt poręczy. Drugi pocisk trafił w stopień tuż pod jego nogami i też się nie przebił. Potem Brond był już poza zasięgiem mafiozy. Usłyszał za sobą kroki, ale zaraz potem rozległ się zduszony krzyk i odgłosy świadczące o tym, że ktoś z sekty mógł pójść za nim i go ochronić.

Na drugim piętrze Brond znów zastał ciszę, lecz wolał być przezorny. Słyszając kroki na piętrze wyżej, wślizgnął się przez otwarte drzwi do jednej z pustych sal obok klatki schodowej i ostrożnie przymknął drzwi. Stał tuż za nimi i nasłuchiwał, jak na dół schodzi więcej ludzi. Mafia nie wysłała tu raczej jakiejś ogromnej ilości ochrony, więc równie dobrze Nasir mógł być teraz bezbronny.

Odczekał jeszcze moment i wyrzwał za drzwi. Korytarz był pusty. Nie było miejsca, w którym mógłby się ukryć ochroniarz z bronią, chyba że za drzwiami. Brond po cichu pobiegł z powrotem do klatki schodowej i przedostał się na trzecie piętro. Tu schody się kończyły. Jeśli Nasir jakimś cudem próbowałby mu się wyrwać, musiałby zejść na dół, gdzie

grzmiało od starć. Tym razem nie istniał żaden sposób, żeby mu się wywinął, chyba że próbowałby stąd skoczyć na drzewa rosnące po bokach laboratorium. Stamtąd jednak mogliby go łatwo ściągnąć, o ile sekta zachowa dominację na dole.

Korytarz na trzecim piętrze wydawał się pusty, lecz zza rogu mogli się wyłonić kolejni ochroniarze, więc Brond uznał, że lepiej poruszać się między pokojami, które były ze sobą połączone. Ostatni ochroniarze pojawili się na dole stosunkowo szybko, więc Nasir nie mógł być daleko.

Brond obszedł salę z uniesioną bronią. Były na niej stoliki z przeróżnymi przyrządami laboratoryjnymi i szufladami, w których mogło być ich jeszcze więcej. Sala była doskonale oświetlona dzięki ogromnym oknom zajmującym dwie trzecie wysokości ściany.

Rozejrzył się ostrożnie, choć było już pewne, że nikogo tu nie znajdzie. Drzwi do następnej sali miały dostatecznie dużą dziurkę od klucza, by zauważyć, że w niej również nikt się nie czai. Mimo wszystko zachował ostrożność, kiedy ją przekraczał.

Przez następną dziurkę od klucza zobaczył szerokie okno i stoły. Potem zobaczył jego.

Otworzył drzwi i załadował pocisk do broni.

– Ręce do góry – powiedział, przypominając sobie policjanta, który aresztował go dzień wcześniej.

Nasir otworzył usta ze zdziwienia, po czym uniósł ręce. Po raz pierwszy na jego twarzy malowała się prawdziwa trwoga. Drugi badacz znajdujący się w pokoju wpatrzył się w scenę zaskoczony, a potem uciekł. Brond nie zamierzał go gonić. Zwrócił wzrok z powrotem na złoczyńcę.

– Tu kończy się twoja gra.

Nasir próbował się cofnąć.

– Nie próbuj się ruszyć, bo nie daruję życia takiej kanalii jak ty.

– Nic mi nie zrobisz – syknął nienawistnie Nasir, lecz w jego głosie zabrzmiała nuta przerażenia. W następnym zdaniu jego głos już się załamał: – Dorwą cię i skończysz w więzieniu!

Brond puścił jego słowa mimo uszu. Jego wzrok padł na jego pas.

– Wyjmij broń powoli i wyrzuć w moją stronę.

Nasir jęknął, po czym sięgnął do pasa.

– Powoli – warknął Brond. – Albo stracisz tę rękę.

Usłyszał. Ostrożnie wyjął pistolet i z przykrością na twarzy rzucił go w stronę Bronda, który podniósł ją i rzekł:

– Policja już wszystko wie. – Złota Kaczka z pewnością zajęła się już nagraniami. – A teraz ręce za plecy.

Brond właśnie miał się rozejrzeć w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jako kajdanki, kiedy tuż przy lewym uchu usłyszał dźwięk przeładowywanej broni.

– Nie tak szybko, panie Brond.

Dobrze znał ten głos. Aż za dobrze. To niemożliwe.

– Doktor Prund...

– Zgadza się. A teraz wypuść te pukawki. Nie dorosłeś, aby się nimi posługiwać.

Brond nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Z goryczą puścił obydwa pistolety na podłogę i kopnął w stronę Prunda. Doktor Prund nie podniósł ich, tylko kopnął dalej w odległe miejsce.

– A teraz podejdź trochę bliżej w stronę Nasira.

Brond z niedowierzaniem podszedł bliżej okna, gdzie Nasir złapał go za rękę i podciągnął mu rękaw.

– No, no, jeszcze świeża. – Prund skomentował jego ranę. – I z takim czymś chciałeś strzelać? Ręka mogła ci się omsknąć.

Nasir parsknął. Z bliska wyglądał jeszcze brzydziej. Jego obcięte włosy ukazywały niezagojone blizny na twarzy w pełnej krasie.

Brond obejrzał się i teraz ujrzał go na własne oczy. Może i głos nie uległ zmianie, ale sam Doktor Prund nabrał wieku. Jego ciemne włosy siwiały, a na twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki. Jego nikczemny wyraz twarzy nabrał pewnej powagi.

– Wzrok cię nie myli, doszło mi parę lat. – Prund pochwycił jego spojrzenie. – A raczej kilkanaście. Ale to bez znaczenia. Ten łajdak Rab-Dawi kiedyś musiał stracić mnie z oczu.

– Studnia nie przestała działać – zauważył ze zdziwieniem Brond.

– Właściwie to przestała. W miarę, jak ilość obcej substancji się zmniejszała, odległość między światami malała. Jednak dostałem się tu na tyle szybko, żeby nie zejść wam ze sceny.

– Tu nie będzie wam tak łatwo – rzekł Brond, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. – W tym świecie metody ścigania przestępców są

efektywniejsze, a urządzenia mniej zawodne. Zabijanie ludzi przyjdzie wam z większą trudnością.

Nasir patrzył na niego szyderczo.

– Kiedy oprzytomniejesz? Kto ci powiedział, że chcemy mordować niewinnych ludzi?

– Dobrze wiesz, że już to robiliście. Poza tym, w jakim innym celu sprzymierzałybyście się z mafią?

Prund i Nasir popatrzyli po sobie. Tego najwyraźniej się nie spodziewali.

– Nasze interesy z mafią nie mają zbrodniczego wydźwięku – rzekł Doktor Prund. – Mamy między nami prostą umowę, z której obydwie strony czerpią korzyści.

– Nie sądzę, żeby ta umowa długo przetrwała. Prędzej czy później mafia się od was odwróci, a wtedy staniecie w obliczu prawa.

– Błąd, panie Brond. Jak pan widzi, to laboratorium funkcjonuje w pełni zgodnie z prawem. Nikt nie zastanawia się, kto finansuje badania. Mija trzynaście lat, a nikt nawet nie pomyślał, aby złożyć na nas pozew do sądu. A dlaczego? Właśnie dlatego, że przez cały ten czas nikomu nie zaszkodziłszy.

– Nie rozumiem. – Brond nie cierpiał zmieszania, które teraz czuł.

– Oczywiście, że pan nie rozumie. Za życzeniem al-Chemii miał pan to nawet pod nosem, lecz pański ubytek w intelekcie był zbyt wielki, aby to pojąć. – Prund podszedł do stołu z wciąż uniesioną bronią, i uniósł coś drugą ręką. – Może pamięta pan, panie Brond, księgę, którą panu pożyczaliśmy w grocie. Wciąż ją mamy, przytargałem ją całą drogę, choć troszkę na tym ucierpiała.

– Całą drogę, którą obraliśmy tylko przez ciebie – dodał Nasir. – Nie zapominaj, że to ty byłeś powodem, przez który musieliśmy zwinąć cały nasz poprzedni interes i się ewakuować. Tylko i wyłącznie z twojego powodu znaleźliśmy się w tym czasie.

Brond zrozumiał. Całe to Maka Bonk przyszłości, pełne nieznannej technologii oraz zmian kulturowych i politycznych, było losem, który sam sobie zgotował, próbując zatrzymać al-Chemię i Doktora Prunda i wydać ich Rab-Dawiemu. Ale czy mógł postąpić inaczej? Ci dwaj przecież niszczyli jego świat, mordowali ludność, aby osiągnąć swoje tajemnicze cele.

Brond nie mógł postąpić w inny sposób, niż wykonać swoje obowiązki. Przeniesienie się tutaj było więc czymś nieuniknionym i – czy tego chciał, czy nie – to on ponosił za to odpowiedzialność.

– Po co to wszystko?

Prund odłożył książkę i spojrzał na niego pytająco.

– Czemu od razu mnie nie zabiliście?

– Od początku zabijaliśmy tych, których trzeba było zabić.

– Nie o tym mówię. Macie tu ochroniarzy z mafii i sektę siejącą zamęt po całym budynku. – Brond był już podirytowany. – Po co mi to wszystko opowiadacie, kiedy możecie mnie po prostu zabić? Dlaczego niby miałbym się przejmować waszymi motywami i tym, w jaki sposób tu trafiliście? Po co dalej w to grać?

– Nigdy nie zamierzałem wyrządzić panu szybkiej śmierci – odparł bez większego namysłu Prund. – Każdy ruch był tylko ostrzeżeniem, a teraz nadeszła pora kary. – Wrócił złowieszczy uśmiešek. Wydawało mu się, że jest kimś, kto powinien dawać nauczkę. – Nie zabijemy pana, tylko wydamy policji na gorącym uczynku. Bo w końcu kto wśród nas był jedynym człowiekiem jawnie łamiącym prawo, który znalazł się na miejscu zbrodni w momencie ataku? Ja i al-Chemia jesteśmy czyści. Nikt nie skojarzy naszych połączeń z mafią. Możesz próbować tego dowieść, ale trudno będzie podważyć praworządność spółki, która działała zgodnie z prawem przez kilkanaście lat.

Brond uświadomił sobie, że faktycznie tak jest. Jeśli mieliby kogoś posądzać o cały ten bardak, znajdował się w centrum podejrzania. To on jawnie złamał prawo i próbował się mu wymknąć. To on podburzył sektę do walki, nawet jeśli śledzy mieliby się o tym nie dowiedzieć. Mafia sprawnie zatuszuje swój udział w sprawie. Cała sytuacja może zostać sprowadzona do zorganizowanego ataku meneli na laboratorium. Zorganizowanego przez niego.

Jedynym dowodem mogącym go wesprzeć były nagrania kaczkki. Ale nawet jeśli miał przejść przez proces sądowy, jaką przedstawiłby wersję wydarzeń? Że znalazł się w laboratorium przypadkiem? To nie miało sensu. Nawet gdyby Nasir miał pójść do więzienia, on poszedłby z nim, a Prund pozostałby na wolności. Już nie mówiąc o tym, że z pomocą mafii w taki czy inny sposób odbiliby sobie Nasira, zgodnie lub niezgodnie z prawem, a Brond pozostałby w więzieniu. Wszystko sprowadzało

się do jego porażki, niezależnie od tego, jak potoczyłby się proces sądowy.

Wszystko sprowadzało się do tego, co miało się wydarzyć teraz.

– Pewnie się zastanawiasz, czy nie powstrzymają nas ci maniacy, których ze sobą przyprowadziłeś – kontynuował Prund. Brond nie odwzajemnił jego spojrzenia. – Widziałem ich jeszcze, zanim wtargnęli do laboratorium. Nie mogli nie zwrócić na siebie uwagi. Dzięki nim tylko przyspieszyłeś pojawienie się tu policji.

– Należą ci się podziękowania – dodał szyderczo Nasir.

Brond spojrział na niego, próbując opanować gotującą się w nim furję. Przywołał wspomnienia ostatnich dni.

– Powiedz, jakie to uczucie, cały czas uciekać przed walką, przed konfrontacją? Jakie to uczucie, chcąc działać zgodnie z prawem, a móc prosić o pomoc tylko u źródeł bezprawia?

– Za to również dziękuję. – Humor nie zniknął z jego twarzy. – Emocje mnie nie opuszczają.

– Twoje uwagi nic nie znaczą – dodał Prund. – Jak już wspomniałem, nie popełniliśmy żadnej zbrodni, i nikt nie wytoczy nam żadnego procesu. Jesteśmy tylko niewinnymi naukowcami zaatakowanymi przez świra, który chciał się bawić w stróża prawa. – Wzruszył ramionami. – Którego odważyliśmy się obezwładnić. Właściwie to należą się nam wyrazy uznania, prawda, al-Chemia?

– Helikopter – zauważył Nasir.

Brond obejrzał się. Rzeczywiście, na niebie unosił się helikopter, zbliżając się w ich stronę. Jego śmigło szastało powietrzem jak szalone, dokładnie tak, jak wspomniała Złota Kaczka.

– O, policja już dociera, doskonale. Szybko zareagowali – odparł Prund. – Jak pan widzi, panie Brond, nie ma szans, aby mógł pan uciec w obliczu prawa.

Brond zmrużył oczy. To nie była policja. To...

– Uwaga, uwaga! – usłyszeli wzmocniony przez megafon głos Złotej Kaczki. – Nadszedł czas, aby spełniła się zemsta boga. Przygotujcie się na marny koniec swojej fanatycznej chciwości. Brond, uciekaj!

– Jasna cholera – powiedział Prund wpatrzony w stado kaczek kierujące maszyną. – Jak... to w ogóle możliwe?!

– On chyba zamierza... – zaczął Nasir.

– Nie obchodzi mnie, co zamierza.

Doktor Prund skierował broń w stronę helikoptera i zaczął strzelać. Kule z trzaskiem przebijały szybę laboratorium, lecz szyba helikoptera była bardziej wytrzymała i maszyna pruła dalej z niesamowitą prędkością. Zaabsorbowany strzelaniem, Prund nie usłyszał ruchu obok niego. Skupił się na tym, aby za wszelką cenę przebić szybę helikoptera. Musiał przeładować magazynek i w tym samym czasie ujrzał, jak kaczkę jak na rozkaz całą chmarą opuszczają helikopter wciąż lecący w ich stronę.

– Uciekać!! – wrzasnął, nie wiedząc, że tylko on stał w miejscu.

Próbował namierzyć wśród ptaków Żółtą Kaczkę, oddając przy tym dwa strzały, po czym odwrócił się z zamiarem ucieczki. Widząc Bronda biegnącego w oddali przez sale laboratoryjne, oddał w jego stronę jeszcze jeden strzał. Usłyszał ból. To mu wystarczyło. Rzucił się w stronę korytarza i popędził jak najszybciej mógł.

Kilka sekund później, z tyłu rozległ się donośny szcęk helikoptera uderzającego w ścianę. Towarzyszyły mu trzaski rozpryskującego się szkła. W następnej chwili podłoga zatrzęsła się i zachwiała. Fundamenty ścian i dachu opierały się dłużej, lecz wkrótce cała konstrukcja straciła trwałość.

Epilog

Wans próbował pojąć, co się dzieje.

Znajdował się w środku kolumny radiowozów wysłanej w stronę laboratorium. Ktoś zgłosił napad wkrótce po tym, jak zauważył grupę co najmniej kilkudziesięciu bezdomnych przedostających się przez płot do środka w biały dzień. Według ich kontaktu, w laboratorium wybuchł zgiełk, a nawet doszło do strzałów. Komendant dowiedział się o tym ledwie po powrocie na komendę, zanim jeszcze w pełni przyswoił sobie informację o ataku na dom Lemmisa. Wyjeżdżając w drogę, zadzwonił do doktora Hankessa, lecz włączyła się poczta głosowa. Przypuszczalnie mógł paść ofiarą ataku. Wans usiłował pojąć, kto jest za niego odpowiedzialny. Brond nie mógł być przecież w obu miejscach – ataki nastąpiły jeden po drugim, a dom Lemmisa był co najmniej kilka kilometrów od miejsca, w którym pracował Nasir. Czyżby pracował w zmowie? Może to jakiś spisek anarchistów, chcących podburzyć miejską ludność do przeciwstawienia się władzom?

Potem jednak otrzymał jeden telefon, który przegnał wszystkie te myśli i przypuszczenia w niepamięć.

– Szefie. Właśnie otrzymaliśmy nagranie z nieznanego źródła. Wygląda na podsłuch, ale nie byle jaki. Proszę posłuchać.

Wtedy usłyszał. Nagranie zostało ucięte do najważniejszych rozmów, ale same zdania nie mogły być edytowane. Nie było żadnych przerw w środku rozmów, a jakość dźwięku wskazywała na to, że użyto profesjonalnego narzędzia do podsłuchu, prawdopodobnie wojskowego. Poza tym nagrania pochodziły z ostatnich dni. Gdyby były obrobione, proces trwałby zdecydowanie dłużej. Każde zdanie niosło ze sobą głęboki sens, który odtwarzał rzeczywistość na nowo.

Brond nie wysłałby mu tego nagrania, bo brakowało mu takiej wiedzy podczas rozmowy na komendzie. Chyba że zdobył nagranie później. Ale wtedy nie mógłby wysłać nagrania i jednocześnie spowodować jeden z dwóch niemal równoległych w czasie ataków. Zbyt wiele by wtedy ryzykował. W tą sprawę był wmieszany ktoś trzeci.

Rozmowy w nagraniu były ułożone chronologicznie. Po kilku minutach usłyszał, jak Nasir kontaktuje się z mafią i o czym rozmawiali. Na-

tychmiast pojął, że wszystko, co powiedział mu Brond, było prawdą. Reszta tej części nagrania tylko bardziej wbijała mu to do głowy. Jednak to nie było najgorszym, co miał z tego wyciągnąć. W następnej części nagrania dowiedział się o prawdziwym obliczu detektywa Lemmisa. Człowieka, któremu ufał bardziej niż komukolwiek w policji, a może nawet bardziej niż własnej żonie. Jak ktoś taki mógł zejść na ścieżkę bezprawia i przyłączyć się do panującej w policji korupcji? Z nagrania wynikało, że trochę go przycisnęli do muru. Wans wywnioskował, że w takim razie wybuch w jego domu musiał być odwetem za nieudaną akcję. Albo za ucieczkę – w końcu detektywa wciąż nie odnaleziono.

Kiedy zbliżali się do laboratorium, jego wnioski przypieczętowała dalsza część nagrania. Wans już wiedział, co zrobić, gdy dojadą na miejsce. Zachowa ostrożność, gdy spotka doktora Hankessa i nie zdziwi się, jeśli okaże się, że w budynku znajduje się też Nasir. Jeszcze nie wiedział, jak potraktuje Bronda.

– *A co, jeśli policja zacznie coś podejrzewać?* – spytał głos w nagraniu.

– *Komendant Wans to zwykły impulsywny dupek. Byle jaka rzecz może odwrócić jego uwagę.*

– Co proszę? – zdziwił się Wans. – Że co takiego?

Dojeżdżali od bocznej strony laboratorium i Wans z wyczekiwaniem wpatrywał się w punkt, w którym miała się ukazać jego przednia część.

Nie spodziewał się, że jego oczom ukaże się helikopter, który właśnie zderzał się z budynkiem.

*

Dochodziło późne popołudnie. Kein, karczmarz „Inn Validy”, miał dziś wolny dzień i gotował sobie obiad przy akompaniamencie telewizji w swoim apartamencie na drugim piętrze bloku mieszkalnego kilka przecznic od miejsca, w którym ostatnio mieszkał Denil, kiedy nagle głos w telewizji urwał się, po czym zastąpił go inny, poważniejszy:

– Przerwywamy program, aby nadać specjalne informacje.

Kein zatrzymał się w połowie drogi do garnka. Zostawił na chwilę gary i wpatrzył się w ekran jak zahipnotyzowany, kiedy pokazano na nim obraz zniszczonego budynku. Wybuch był świeży – z wnętrza bu-

dynku nadal dymiło, choć ognia nie było widać. Prawdopodobnie strażacy właśnie się z nim uporali.

– Jesteśmy na południowych obrzeżach Maka Bonk, gdzie niecałe dwie godziny temu w dość znanym laboratorium dr Hankessa nastąpił zorganizowany atak, o którego sprawcę podejrzewa się sektę stowarzyszoną z historycznym wyznaniem Buraka – mówił reporter. – Liczba ofiar wciąż nie jest znana, lecz mówi się o nawet kilkudziesięciu rannych i co najmniej kilku zabitych. Policja twierdzi, że nie udało się odnaleźć wszystkich sprawców ataku, więc mieszkańcy proszeni są zachować ostrożność. Wciąż nie określono, jak liczna jest organizacja, ani jakie posiada uzbrojenie. Policja podjęła współpracę z wojskiem w celu odnalezienia głównej siedziby tej organizacji, lecz w obecnej chwili ona również pozostaje nieznana. Z tych powodów policja i wojsko spodziewają się, że może dojść do następnego ataku. Najnowsze sugestie mówią, że najprawdopodobniej mamy do czynienia z organizacją terrorystyczną lub anarchistyczną, lecz żadna z tych teorii nie znalazła dotąd solidnej podstawy, którą można by je wesprzeć.

– Rany – powiedział Kein, choć był na tyle wsłuchany, że nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Według oficjalnej narracji sekty, w laboratorium znajdował się człowiek mający zagrażać porządkowi publicznemu, bowiem kierownictwo laboratorium miało być rzekomo powiązane z co najmniej jedną organizacją działającą szkodliwie w obliczu prawa. Policja twierdzi, że znaleziono niepotwierdzone źródła, które ponoć są w zgodzie z tymi założeniami. Znaleziono również powiązanie między dzisiejszym atakiem, a publiczną napaścią sprzed trzech dni – na ekranie pokazał się obraz Bronda. – Policja nie zgodziła się jednak wyjawić tożsamości ani motywów podejrzanego.

Kein z niedowierzaniem patrzył w ekran, na którym powtarzano teraz informacje o sekcie i sugerowano, aby następnego dnia dla bezpieczeństwa pozostać w domach, i zastanawiał się, co Brond może mieć z tym wspólnego? Czyżby uczestniczył w ataku? Kein byłby nawet skłonny założyć, że Brond dołączył do sekty, gdyby nie to, że na jego oczach odkrył, że jest bogaty. Czyżby wykorzystał pieniądze, aby zfinansować atak na laboratorium? Czy Brond wyglądał mu na wariata?

Kiedy drugi raz o tym myślał, jedząc obiad, przypomniało mu się, co telewizja mówiła o „oficjalnej narracji sekty” i podejrzeniach skierowanych w stronę dr Hankessa. Kein nigdy nie spotkał doktora, którego spółka w ostatnich latach zaczęła się wyróżniać na tle instytucji badawczych, lecz słyszał o nim bardzo różne opinie. Niektórzy z tych, którzy mieli możliwość z nim porozmawiać, mówili, że to wspaniały człowiek, który utoruje drogę do nieznanymi technologii; inni zaś mieli go za strotniącego od ludzi dziwaka, który w podejrzany sposób nagle stał się bogaty, przejmując niemal upadłą spółkę i przekształcając ją w instytucję stojącą na czele postępu. Poza tym czego on właściwie dokonał? Czy był znany tylko ze względu na to, że był jednym z niewielu ludzi, którzy w tak szybkim tempie się wzbogacili? Kein przypomniał sobie rozmowę, którą kiedyś zasłyszał w swojej karczynie, właśnie na temat doktora. Z tego, co słyszał, mimo sporów, rozmówcy doszli wreszcie do wspólnych wniosków, że doktor Hankess korzystał z pieniędzy z zewnątrz. Karczmarz nie przypominał sobie jednak, żeby taką informację kiedykolwiek podano do publicznej wiadomości ani w gazetach, ani i w telewizji. Czy Brond mógł zaatakować laboratorium i próbować uprzedzić policję w zatrzymaniu przestępcy? Chyba brzmiało to zbyt nieprawdopodobnie.

Po obiedzie zadzwonił do swojego kuzyna Sebrida, który też widział specjalnie nadawane informacje. Rozmawiali przez długi czas, ale nie doszli do niczego nowego i stwierdzili, że lepiej czekać na dalsze informacje. Potem przeszli na inne tematy i rozmawiali do wieczora.

*

Fillis sam zgłosił się na komendzie policji.

Wciąż uznawał za cud fakt, że udało mu się ująć z laboratorium z życiem. Najpierw ten cały Brond, o którym już wcześniej coś wspominali, z nienacka znalazł się kilka kroków od niego z bronią w ręku, i nawet nie kiwnął palcem, gdy Fillis dał dyla z sali badań. Jednak na tym się nie skończyło. Na dole wciąż panował hałas i Fillis podejrzewał – jak się okazało, słusznie – że zejście w tej chwili nie byłoby mądrą decyzją. Pamiętał, że siedł przez korytarz, niemal się skradając. Nawet jeśli nikogo nie było w pobliżu, wolał nie zdradzać swojej obecności w obliczu tego harmidru. Korytarz na trzecim piętrze był pusty i panowała w nim zupeł-

na cisza, gdyby nie liczyć głosów od strony miejsca, gdzie uczestniczył w badaniach.

Właśnie wtedy go minął. Doktora Hankessa. Szef położył palec na ustach, nakazując mu bezwzględną ciszę, a sam skradał się bezgłośnie w stronę Bronda. Wodząc za nim wzrokiem, Fillis ujrzał, jak z wnętrza płaszcza powoli wyciąga broń. Wtedy instynkt podpowiedział mu, żeby odwrócić wzrok i za wszelką cenę nie dać po sobie znać, że go obserwował. Nie wiedział, czy szef oberzał się później w jego stronę. Dochodząc do schodów, usłyszał jego głos w sali z Brondem.

Reszta drogi była dość chaotyczna i Fillis nienajlepiej ją pamiętał. Drugie piętro było jeszcze spokojne. Na pierwszym piętrze zobaczył ciało, a hałas nie ustawał. Dzięki obawie przed schodzeniem na parter uniknął konfrontacji z kimś, kto okazał się wchodzić na pierwsze piętro. Fillis na szczęście był już wtedy przy oknie. Przy upadku doznał chyba lekkiej kontuzji, ale już nie pamiętał, bo wszystkie zmysły miał skupione na tym, czy ktoś go nie goni. Dopiero gdy oddalił się o jakiś kilometr, zauważył, że towarzyszy mu ból w nodze, ale mimo to zignorował go.

Na komendę dotarł z pomocą taksówki. Z niezrozumiałego powodu bał się, że w transporcie publicznym ktoś chciałby go zaatakować. Myślał zbyt irracjonalnie, żeby móc siebie przekonać do innych wniosków.

Kiedy znalazł się na komendzie, minęła już co najmniej godzina od wydarzenia i Fillis trochę się opamiętał. Spytano go, czego był świadkiem, więc opowiedział wszystko, co widział, z uwzględnieniem broni u doktora Hankessa. Nie zaprzeczył przypuszczeniu, że Nasir również mógł posiadać broń, choć sam na własne oczy jej nie widział. Na zadane pytanie otrzymał odpowiedź, że doktor Hankess nie miał uprawnienia do posiadania broni. Wniosek był prosty.

Jego szef łamał prawo.

*

W pokoju panowała niemal zupełna cisza. Musiała minąć chwila po tym, gdy odzyskał przytomność, żeby Brond uświadomił sobie, że żyje. Nie wiedział, jak długo to trwało. Czuł się, jakby mógł spać przez kilka dni, ale czy to na pewno było kilka dni?

Otworzył oczy. Tym razem nie musiał wynurzać się na powierzchnię stawu, aby złapać oddech. Powietrze było wszechobecne. Znajdował się w jakimś białym pokoju. Przez moment sądził, że tym razem na dobre znalazł się w tym miejscu, gdzie trafia się po śmierci, ale w takim miejscu nie miałyby obok siebie tylu ustrojstw. Obok niego znajdowało się jeszcze kilka łóżek, na których leżeli ranni, więc musiał się znajdować w jakimś nowoczesnym szpitalu.

Próbował wstać, ale poczuł silny ból w wielu częściach ciała, zwłaszcza na łydce, gdzie już wcześniej miał sporą ranę. Zobaczył, że na sobie kilka bandaży, jeden na nodze, inny na ręce. Trudno było się temu dziwić w obliczu tego, co przeszedł.

Ktoś zauważył, że się obudził, i wskazał go komuś innemu, kto wziął do ręki telefon i zadzwonił. Brond chciał im coś powiedzieć, ale poczuł się słabo i wkrótce znów zapadł w ciemność.

Minęła godzina lub dwie, kiedy znów się obudził, czując przy sobie czyjąś obecność.

– Dzień dobry, panie Brond – powiedział przyjaznym głosem facet w mundurze. – Jestem komendant Flens. Miło mi wreszcie pana poznać.

– Komendant? – zdziwił się Brond. – A co z...

– Po ostatnich wydarzeniach pana Wansa uznano za niewłaściwego do dalszego pełnienia stanowiska komendanta i został odwołany. Nie zdziwiło nas, gdy tym samym porzucił pracę w policji.

– Jak długo tu leżę?

– Mija już trzeci tydzień od pańskiego wyczynu.

Po przeżyciach takich, jak Studnia Aghroru, na dawnym detektywie nie zrobiło to wielkiego wrażenia. W tej chwili nie było to istotne. Brond wpatrzył się ostrożnie w nowego komendanta.

– Zamierzacie mnie aresztować, gdy tylko opuszczę to miejsce, prawda?

– Niekoniecznie – westchnął komendant i usiadł na krześle obok niego. Był chudszy niż Wans, miał krótko ucięte jasne blond włosy, a jego twarz pokrywał rzadki zarost. – Pańska sprawa jest nadzwyczaj intrygująca i wciąż jej do końca nie rozpracowaliśmy. Udało się panu powstrzymać kwitnący interes, który zrecznie skrywał swoje połączenia ze światem przestępczości. Gdyby nie pan, prawdopodobnie mielibyśmy spore problemy z uporaniem się z zagrożeniem, które urosłoby do znacznie

większej skali. Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, ale udaremnił pan plany, które mogły mieć wpływ na życie całego miasta, a może nawet państwa.

– A więc mafia nie zatuszowała swojego udziału. – Brond przypomniał sobie, jak pewny siebie był Prund, kiedy zapewniał go, że tak się stanie. Swoją drogą, czy udało mu się przeżyć? Brond pamiętał, że Doktor pozostał w sali na długi czas po jego ucieczce. Dosięgnęła go nawet jego kula i wciąż czuł ból po pocisku tuż nad lewą kostką. Nie wiedział, jakim nazwiskiem posługiwał się Prund w nowym świecie, więc nie mógł spytać bezpośrednio o niego. – Co się stało z Nasirem?

– Tak naprawdę to nie wiemy. Wciąż nie udało nam się zlokalizować ani jego, ani doktora Hankessa.

– Hankess – mruknął bardziej do siebie niż do komendanta.

– Tak, zapewne pan już wie, że to nie jego prawdziwe nazwisko. Przeprowadziliśmy szczegółowe dochodzenie i wiemy, że zarówno on, jak i Nasir mieli fałszywe dokumenty tożsamości. Doszliśmy do wniosku, że wiemy o nich tyle, co o panu. Dlatego właśnie będziemy musieli dłużej ze sobą porozmawiać. Wciąż brakuje nam kilku luk i z chęcią usłyszę od pana, w jaki sposób zlokalizował pan laboratorium i dostał się niepostrzeżenie aż na trzecie piętro. Zwykły człowiek by tego nie dokonał, więc podejrzewamy, że ma pan pewne kompetencje w tej dziedzinie.

– Cóż... – zaczął Brond, ale komendant przerwał mu gestem.

– Teraz niech się pan nie przemęcza. W końcu nie zamierza pan znowu uciekać, prawda? – uśmiechnął się Flens. – W odpowiednim czasie wszystko mi pan opowie. A wtedy rozważymy, czy nie nadawałby się pan na detektywa. W końcu ostatnio zwolniło się jedno miejsce.

Brond spojrział na niego ze zdziwieniem.

– To byłoby dla mnie zaszczyt.

– Tak też sądziłem – komendant klepnął go lekko po ramieniu. – W takim razie do zobaczenia wkrótce, panie Brond.

Brond uśmiechnął się i zamknął oczy. Po raz pierwszy od dawna mógł odpoczywać, czując, że nic mu nie grozi.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ